

Karolina Wilczyńska

*Dasz rade,
Nataszko*



Dasz rade,
Nataszo

Karolina Wilczyńska

*Dasz radę,
Nataszo*



Zasady Nataszy

[Prolog](#)

[I. Bądź szczerą!](#)

[II. Pytaj, gdy chcesz wiedzieć!](#)

[III. Proś o pomoc!](#)

[IV. Uwierz, że będzie dobrze!](#)

[O autorce](#)

[Polecamy](#)

Prolog

– Witam panią. Nazywam się Janusz Podkański. Co panią do mnie sprowadza?

– Dobrze pytanie. – Staralam się sprawiać wrażenie wesołej, ale tak naprawdę czułam się niepewna, zdenerwowana i miałam ochotę uciec. – Nie wiem, od czego zacząć...

– Może od tego, co przychodzi pani do głowy. Potem samo się ułoży. – Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie uśmiechał się trochę służbowo, ale w jego oczach dostrzegłam skupienie i zainteresowanie. A tego mi brakowało i chyba właśnie dlatego pojawiłam się w gabinecie terapeuty. Żeby ktoś się naprawdę mną zainteresował i z uwagą wysłuchał. To spostrzeżenie dodało mi odwagi.

– Bardzo chciałabym, żeby się ułożyło. Powie mi pan, jak to zrobić?

– Jestem pewien, że sama pani będzie wiedziała, co robić. Znajdzie pani swoją drogę, a ja postaram się być przydatnym towarzyszem.

– Dobrze, skoro pan w to wierzy...

– Wierzę. I mam nadzieję, że pani też uwierzy. – Zazdrościłam mu tego spokoju i pewności. Przynajmniej jedno z nas ją miało. Na początek może wystarczy.

Rozglądałam się po gabinecie. Sprawiał miłe wrażenie. Meble w kolorze wiśni – kilka regałów wypełnionych książkami, biurko i niewielki stolik. Na blacie panował porządek. Dostrzegłam tylko metalowy pojemniczek z długopisami i kilka czystych kartek. Fotele, na których siedzieliśmy, były dosyć wygodne, ale pan Janusz podłożył sobie pod plecy wałek z wełny merynosa. Najwyraźniej miał problemy z kręgosłupem. Ten wałeczek sprawił, że terapeuta stał się bardziej ludzki, taki normalny. Nie żaden wszechwiedzący ideał bez skazy.

Patrzyłam na bonsai ustawione na parapecie i regałach. Skoro ma cierpliwość do kształtowania miniaturowych drzewek, może wystarczy mu jej także do wysłuchania mojej historii? – myślałam z nadzieją. To mnie ośmieliło. Nabrałam powietrza i zaczęłam swoją opowieść.

Mówiłam nieco mechanicznie, bez emocji, bo wszystko już raz opowiedziałam samej sobie. Może nawet nie raz. Przecież pewne fragmenty mojej przeszłości analizowałam wielokrotnie, szukając ciągle momentu, w którym popełniłam błąd. Za wszelką cenę pragnęłam odnaleźć przyczynę mojej życiowej porażki. Decyzję, od której wszystko się zaczęło. Chwilę, kiedy nastąpiła zmiana i nic nie było już takie, jak kiedyś. I chciałam wiedzieć, co pominęłam. Dlaczego nie dostrzegłam tych wszystkich zmian prowadzących do totalnej katastrofy, do całkowitej ruiny moich marzeń, szczęścia i związku.

Nastał taki czas, kiedy te poszukiwania stały się swego rodzaju obsesją. Nie potrafiłam zająć się niczym innym. Całymi dniami siedziałam na kanapie, wyciągając z najdalszych zakamarków pamięci każde wspomnienie, odtwarzając szczegóły i grzebiąc w przeszłości. Euforia pierwszych godzin po

rozwodzie okazała się złudna i szybko zastąpiło ją rozczarowanie, żal, poczucie winy. To one zaczęły mną rządzić, a ja wymyśliłam sobie, że muszę znaleźć przyczynę swojego niepowodzenia, żeby po prostu dalej żyć. Już sama nie wiedziałam, czy szukam jej w sobie, czy też potrzebuję dowodów, żeby móc oskarżyć kogokolwiek o swoją porażkę. Po prostu siedziałam i wspominałam.

W końcu przestałam nawet się ubierać. Większość czasu spędzałam w łóżku, zamawiałam jedzenie przez telefon, a dni upływały mi na płaczu w poduszkę lub wykrzykiwaniu w nią pretensji do rodziców, Darka, dawnych znajomych i samej siebie.

Coraz częściej miałam ochotę się napić. Natrętnie wracało przekonanie że kilka kieliszków wina albo kolorowe drinki pomogłyby odegnać złe myśli. Zdawałam sobie sprawę, że to nieprawda, ale chęć sięgnięcia po alkohol pojawiała się coraz częściej. I muszę się przyznać, że niewiele brakowało. O, ironio, uratował mnie telefon od Darka.

Odbierałam właśnie zamówione zakupy, kiedy zadzwonił mój były.

– Czego chcesz? – warknęłam do słuchawki, słysząc jego głos. Odebrałam tylko dlatego, że właśnie płaciłam dostawcy i nawet nie zerknęłam na wyświetlacz.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy żyjesz. Spotkałem kilku znajomych i nikt cię nie widział od dwóch tygodni, więc...

– Tak, pewnie miałeś nadzieję, że umarłam i nie będziesz musiał mnie spłacać. – W to stwierdzenie włożyłam tyle jadu, ile tylko mogłam. – Muszę cię rozczarować. Wszystko w porządku i świetnie mi się żyje. I nie życzę sobie twoich telefonów, jasne? – Nie czekając na odpowiedź, rozłączyłam się.

Podając dostawcy pieniądze, napotkałam jego spojrzenie i zobaczyłam w nim mieszankę zdziwienia i współczucia. W ułamku sekundy zarejestrowałam wystającą z reklamówki szyjkę butelki i swoje odbicie w lustrzanych drzwiach szafy – potargane włosy, podkrążone oczy, byle jak zawiązany szlafrok. Wtedy dotarło do mnie, że nie jest dobrze, że to ostatnia chwila na zawrócenie z tej drogi, że stoję na krawędzi i za chwilę runę w przepaść.

Bardziej instynktownie niż z rozsądku sięgnęłam po butelkę. Podałam ją mężczyźnie.

– Proszę to zabrać – powiedziałam.

– Ale ja nie mogę zmieniać rachunku. Nie mam takiej możliwości, ja tylko dostarczam towar...

– Nie chcę pieniędzy. Proszę to po prostu wziąć. Dla siebie, dla znajomych albo wyrzucić. Jak pan woli. Do widzenia.

Prawie wypchnęłam go za drzwi i z ulgą przekręciłam zamek. Wygrałam. Ale co będzie dalej? Zapewniałam Darka, że świetnie sobie radzę, ale siebie oszukiwać nie mogłam. Nie było dobrze. Co prawda, uznałam to za małe zwycięstwo. Tylko czy następnym razem też będę potrafiła się powstrzymać?

Stałam oparta o drzwi i płakałam. Uświadomiłam sobie, jak niewiele brakowało, a znalazłabym się w tym samym punkcie, co pięć lat wcześniej. A przecież miałam zacząć nowe życie – lepsze, w zgodzie ze sobą, szczęśliwe. Budować coś, a nie dalej niszczyć. Poczułam, że potrzebuję pomocy, że sama nie dam rady. Dlaczego jestem taka słaba? – myślałam. – Przecież kiedyś miałam tyle siły, potrafiłam walczyć o swoje marzenia. Tak jak na początku studiów. A przecież wtedy miałam tylko dziewiętnaście lat. I poradziłam sobie.

Podniosłam wzrok i wymieniłam spojrzenie ze swoim odbiciem. Nie patrzyłam na kobietę, którą tam widziałam, skoncentrowałam się tylko na oczach. Nataszo – pomyślałam. – Wiem, że tam jesteś. Muszę cię odnaleźć, ale ta droga to ślepa uliczka. Czas znaleźć inną. Najwyższy czas. I pamiętaj – powiedziałam

głośno, patrząc sobie samej w oczy: – Dasz radę, Nataszo!

Tak to właśnie było. Podkańskiego znalazłam jeszcze tego samego dnia, korzystając z internetowej wyszukiwarki i natychmiast umówiłam się na spotkanie. A teraz opowiedziałam mu całą historię mojego życia. W jednej godzinie zmieściłam wszystkie lata radości i smutków, drogę do sukcesu finansowego i całkowitej klęski emocjonalnej. Teraz czekałam na jego słowa, na podsumowanie życia Nataszy. Czekałam z lękiem, ale i z nadzieją.

– Pani Nataszo, z pewnością wie pani, że problem z alkoholem nie jest czymś, co udaje się szybko załatwić.

Pokiwałam głową. Słyszałam to i wiele innych rzeczy dawno temu, w ośrodku. A jednak od pięciu lat nie piłam. Podkański domyślił się chyba, co czuję, bo powiedział:

– Można zachować abstynencję przez wiele lat, ale nigdy nie wiadomo, jakie wydarzenie wywoła nawrót picia. Bez wsparcia bywa ciężko. Zresztą pewnie sama pani o tym wie.

Nie ma co kryć, wiedziałam. Choćby ostatnio. Niewiele brakło, a sięgnęłabym po kieliszek.

– Mogłabym przychodzić do pana... – zaproponowałam nieśmiało.

– Nie jestem specjalistą od terapii uzależnień. Byłbym nie w porządku wobec pani, gdybym podjął się terapii w zakresie, na którym ktoś inny zna się lepiej. Sugeruję, żeby skorzystała pani z mityngów w jakimś klubie AA. Tam są osoby, które naprawdę doskonale wiedzą, jak pomóc. Mają doświadczenie i są w stanie zauważyć wiele sygnałów, które ja mógłbym przeoczyć.

Wzruszyłam ramionami. Nie byłam zachwycona tym pomysłem. Miałabym chodzić do klubu Anonimowych Alkoholików?

– Nie wiem, czy grupowe spotkania są dla mnie, czy jestem gotowa mówić obcym ludziom o sobie. Przez lata uczyłam się ukrywać przed innymi własne emocje. Pamiętam, że podczas pobytu w ośrodku to właśnie było najtrudniejsze. Nie wiem, naprawdę...

– Proszę mi obiecać, że się pani nad tym poważnie zastanowi. Niech pani chociaż spróbuje – pójdzie i sprawdzi, jak tam jest, porozmawia...

Czekał przez chwilę na moją odpowiedź, ale nie chciałam nic obiecywać.

– Dobrze, nie będę pani zmuszał. To pani życie i pani decyzje.

– Sądzi pan, że to ma sens? Że może się udać?

– A jak pani myśli? Jaka jest odpowiedź na takie pytanie? – Podkański się uśmiechnął.

– Że to zależy ode mnie?

Nie odpowiedział.

– I widzi pan dla mnie jakąś szansę? – Chciałam wymusić na nim odpowiedź, jakieś słowo, które pozwoliłoby mi uwierzyć w sukces.

– A pani widzi ją dla siebie?

Zastanawiam się przez chwilę, a on cierpliwie czekał. Złożył plik kartek z notatkami i włożył je do brązowej koperty. Na niej zapisał moje nazwisko. Stałam się pacjentką gabinetu psychoterapeutycznego. Ja, psycholog z wykształcenia. Nieźle, naprawdę. Czy widzę dla siebie szansę? – powtarzałam w myślach pytanie.

– Skoro zdecydowałam się tu przyjść, to chyba oznacza, że widzę.

Terapeuta uśmiechnął się. To ciekawe, prawie nic nie powiedział, a jednak poczułam się silniejsza. Czy to dlatego, że nareszcie kogoś obchodzi to, co naprawdę myślę?

Zamykając za sobą drzwi gabinetu, czułam, że dopiero teraz zaczynam nowy rozdział w życiu. Trochę bardziej niż przed kilkoma godzinami wierzyłam, że uda mi się uporządkować moje życie, rozprawić się z tym, co złe i znaleźć coś dobrego na przyszłość. Zrobiłam pierwszy krok i miałam zamiar iść dalej.

I

Bądź szczerą!

Fotografia przedstawia twarz kobiety. Atrakcyjnej, z perfekcyjnym makijażem i modną fryzurą. „Selfie” nie jest zbyt profesjonalne, na krawędzi widać rękę, w której trzymała telefon, gdy robiła zdjęcie. Można się domyślić, że autoportret miał być poważny, jednak błyski w oczach zdradzają radość i zadowolenie kobiety. Nie potrafi ukryć emocji. Kąciki ust unoszą się w lekkim uśmiechu. W tle, na błękitnym obrusie, widać niedbale rzuconą białą apaszkę – delikatny obłoczek kobiecości...

Prawdę powiedziawszy, poczułam się trochę urażona sugestią Podkańskiego. Przecież od pięciu lat nie miałam alkoholu w ustach. Zgoda, był problem, zły czas, przeżyłam załamanie. Zrozumiałam to, przecież kiedyś byłam w ośrodku. Muszę teraz chodzić na spotkania jakieś grupy? Widziałam to nie raz w telewizji i wydało mi się nudne jak flaki z olejem. Czy słuchanie o problemach z piciem innych, zupełnie obcych ludzi, mogłoby mi pomóc? Nie czułam tego.

W ramach rozpoczynania nowego życia pojechałam na grób rodziców. Nie zrobiłam tego 1 listopada, nie chciałam spotkać nikogo znajomego. Chociaż od Święta Zmarłych minęły już dwa dni, na granitowej płycie grobowca wciąż palił się znicz. Domyśliłam się, kto o to zadbał. Odwiedziłam panią Ludwikę. Mocno się postarzała, chodziła powolutku po kuchni swojego niewielkiego domku. Porozmawiałyśmy chwilę, chociaż podeszły wiek odcisnął już na niej swoje piętno. Myliła daty, z uporem nazywała mnie Kasią. Jednak o rodzicach mówiła bardzo ciepło i serdecznie. Wspominając mamę, uroniła kilka łez, które otarła haftowaną chusteczką wyjętą z kieszeni fartucha. Kto dziś ma takie chusteczki? – pomyślałam.

Nie zostałam długo. O czym więcej mogłabym rozmawiać ze staruszką? Nie byłam z nią związana, tak jak z panią Stasią. Stanowiła dla mnie coś w rodzaju reliktu z czasów, które minęły i nigdy nie wrócą. Podziękowałam za opiekę nad grobem, wypiliśmy słabą herbatę, przyjąłam prezent w postaci dwudziestu swojskich jajek i słoika malinowych konfitur. Z ulgą wróciłam do domu.

Wszystko zmieniło się w grudniu. Już od połowy listopada w każdym sklepie kłuły mnie w oczy świąteczne ozdoby i z każdym dniem było coraz gorzej. Próbowalam za wszelką cenę wmówić sobie, że nie ma obowiązku celebrowania świąt, że każdy może je spędzać, jak chce. Planowałam nocne oglądanie filmów, wymyślałam kolejne argumenty na kiczowatość ozdóbek i amerykańizację tradycji. Nie udawało mi się, więc popadłam w drugą skrajność. Przez tydzień biegałam po sklepach, wracając obładowana coraz to nowymi dekoracjami, rozwieszałam je w całym domu. Wieńce z ostrokrzewu, świerkowe girlandy, kolorowe światełka, bombki wszelakiego rodzaju i ogromna choinka w salonie. Później przyszła kolej na przygotowania kulinarne. Kutia, pierogi, uszka, nawet paszтет. A także piernik, kruche ciasteczka i mnóstwo innych potraw. Robiłam to wszystko, żeby nie myśleć, nie dopuścić do siebie tego, co pchało się na powierzchnię.

Dzień przed Wigilią wszystko było gotowe. Usiadłam przy choince, włączyłam światełka i nawet przez chwilę poczułam coś w rodzaju satysfakcji. Byłam zmęczona, ale zadowolona jak prawdziwa pani domu. Zdążyłam na czas, o niczym nie zapomniałam i mogłam rozpocząć świętowanie.

Poranek nie był już tak przyjemny. Dzielne światło ujawniło nie tylko sztuczność choinkowych igieł i nierówne wzorki na bombkach, ale i całą fikcję tego, co robiłam. Opłatek na porcelanowym talerzyku kłuł w oczy. Z kim się nim podzielę? Kto zje to wszystko, co wypełniało ogromną lodówkę? Kto

zawtóruję mi, gdy zaśpiewam „Cichą noc...”?

Chodziłam po domu, pozornie bez celu, ale tak naprawdę szukałam. Wiedziałam, że nie znajdę, bo nie miałam nic, co mogłoby mnie skusić. Widok pustych pokoi jeszcze pogarszał mój nastrój. Przyszło mi do głowy, że przecież i tak nie mam dla kogo się starać. Jestem sama jak palec, taka jest prawda. Na fali żalu, goryczy i smutku zamówiłam taksówkę i pojechałam do miasta. Nie było lepiej. Widok ludzi spieszących się do domów, do rodzin, robiących ostatnie zakupy, w pośpiechu dokupujących prezenty zdołował mnie zupełnie. Nie było nikogo, komu mogłabym kupić świąteczny podarunek. Miałam pieniądze, mogłam spełnić czyjeś marzenia, tylko czyje? Kupić prezenty i zawieźć do domu dziecka? Żenada.

Zaglądałam przez szyby do kawiarni i restauracji. W taki dzień było tam pusto. Jak w moim domu. Kup dobre wino i zapomnij – odezwało się coś w mojej głowie. Czemu nie!

Pchnęłam drzwi do pierwszego napotkanego sklepu i skierowałam się do stoiska z alkoholem. Popatrzyłam na półki pełne kolorowych butelek. Tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Coś podać?

Głos ekspedientki wyrwał mnie z amoku, w którym byłam. Zamrugałam oczami i zdałam sobie sprawę z tego, gdzie jestem. Poczułam przerażenie. Uciekłam bez słowa.

Wigilijny wieczór spędziłam, przeglądając fora dla alkoholików. Płakałam, czytając. Nad nimi i nad sobą. Jak blisko znowu byłam, sekundy dzieliły mnie od poddania się impulsowi, tej skłonności, od której, o naiwna, sądziłam, że jestem wolna.

To właśnie w wigilijny wieczór zaakceptowałam prawdę. Jestem alkoholiczką. Podkański miał rację – potrzebuję pomocy i wsparcia. Kolejny raz może się nie udać. Mogę nie znaleźć dość siły na opór i walkę. Całe życie starałam się nikogo nie prosić o pomoc, ale teraz czułam, że muszę to zrobić. Odnalazłam adres i telefon jednego z ośrodków terapii uzależnień. Na swojej stronie deklarowali, że zachowują dyskrecję. Brzmiało dobrze, chociaż w moim przypadku nie miało to większego znaczenia. Popatrzyłam na zdjęcia terapeutów, przeczytałam o ofercie. Spotkania grup Klubu Anonimowych Alkoholików – tam miałam pójść. Czy starczy mi odwagi? Jak tam jest? O co będą mnie pytali?

Zrobiło mi się niedobrze. Nie wiem, czy zbyt wiele zjadłam, czy to ze strachu. Zanotowałam numer i adres, wyłączyłam komputer. Przycisnęłam guziczek pilota, „Bóg się rodzi...” – usłyszałam. Może jednak będę dobrze wspominała te święta?

*

Stałam przed brązowymi drzwiami opatrzonymi tabliczką z napisem „Sala terapeutyczna”. Przyszłam pół godziny przed czasem, ale nie mogłam wysiedzieć w domu. Tydzień wcześniej spotkałam się z Mariuszem, terapeutą uzależnień prowadzącym właśnie tę grupę, której mam się stać częścią.

– Mamy tutaj taką zasadę, że wszyscy jesteśmy na „ty” – powiedział na wstępie, a ja nie wiedziałam, czy cieszyć się z tego, czy martwić. Niby swojsko i przyjaźnie, ale czy ja potrafię i chcę tak od razu się spoufalać?

– Dostosuję się – wybąkałam.

Mariusz był miłym facetem, na oko dobiegającym czterdziestki. Dosyć korpulentny, z wyraźnym zarysem brzuszka, sprawiał wrażenie dobrego kumpla. Taki brat-łata do zwierzeń i pocieszeń. Można

było poczuć się przy nim bezpiecznie. W biznesie, gdzie idealny wygląd i sylwetka mają niebagatelne znaczenie, pewnie kariery by nie zrobił, szczególnie w tych zielonych bojówkach i nieco spranym T-shircie. A tutaj pasował idealnie.

To chyba jego spokojny i przyjazny ton sprawił, że obiecałam przyjść tego dnia. I tylko świadomość, że Mariusz zaraz się pojawi pomagała mi pozostać pod drzwiami. Żeby zabić jakoś czas, przemierzałam korytarz ośrodka. Spodziewałam się, że będzie bardziej „szpitalnie”, sama nie wiem, skąd wzięło mi się takie skojarzenie. Tymczasem ściany pomalowane były na ciepły żółty kolor, ozdobione dużą ilością kwiatów i zdjęć oprawionych w antyramy. Bezwiednie czytałam mijane tabliczki – psycholog, terapeuta, pedagog, znów psycholog. Dwa piętra pokoi, a w każdym osoba pomagająca uzależnionym. Ilu ich musi być? A przecież w mieście wciąż powstawały podobne miejsca. Świadomość, że nie jestem jedyną, której zdarzyło się przekroczyć próg uzależnienia, trochę podniosła mnie na duchu. Nabrałam odwagi, ale natychmiast przekonałam się, że nie była zbyt duża, bo gdy wracając z końca korytarza, zauważyłam pod drzwiami „mojej” sali dwóch mężczyzn, zatrzymałam się w połowie drogi i usiadłam na najbliższym krzeselku.

Gdybym nie wiedziała, po co przyszli, nie zgadłabym. Ten, którego twarz widziałam, wyglądał jak typowy ojciec rodziny – kraciasta koszula, bordowy sweter z dekoltem w serek, czarne dżinsy pod pokaznym brzuchem. Ciemne włosy z siwizną na skroniach i siwiejące wąsy. Drugi stał tyłem, ale sądząc po sylwetce, mógł być w moim wieku. Wyższy od swojego towarzysza, szczuplejszy, ubrany ze sportową elegancją – granatowe sztruksy i brązowa wełniana marynarka. Nie tak wyobrażałam sobie anonimowych alkoholików. Co ja plotę! A gdyby ktoś mnie zobaczył? Co powiedziałyby? Miałam picie wypisane na twarzy?

Co innego ta kobieta, która później przyszła. Na jej twarzy nałóg zaznaczył już swoją obecność. Takich autografów nie zakryje żaden makijaż. Tlenione na bardzo jasny blond włosy, dość krzykliwa tania biżuteria i spódnica nieco zbyt krótka jak na mocno średni wiek sprawiły, że nie poczułam do niej sympatii. Poznałam wiele takich kobiet, pracując na bazarach i potem, gdy zaczynałam współpracę z nowobogackimi klientami. Dzielili nas mentalność, wychowanie, sposób patrzenia na świat. Z tą też raczej nie miałam nic wspólnego. Oprócz picia.

Popatrzyłam na zegarek i błagałam w myślach, żeby nikt się mną nie zainteresował. Gdzie jest Mariusz? Doszły kolejne osoby – młody chłopak, na pewno nie miał jeszcze trzydziestu lat (czy to możliwe, że jest już uzależniony?), kobieta w ortalionowym dresie, druga w eleganckiej garsonce i szpilkach, z markową torebką, bardzo wysoki i chudy mężczyzna w nieco przykrótkich spodniach i dekatyzowanej kurtce pamiętającej chyba lata osiemdziesiąte. Co za skład! Każdy z innej bajki. A jednak stali, rozmawiali, uśmiechali się do siebie. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Gdyby spotkali się na ulicy, nawet nie zauważyliby siebie nawzajem. A tutaj sprawiali wrażenie grupy przyjaciół. Tleniona blondynka śmiała się głośno i poklepywała po ramieniu kobietę w garsonce. Tamtej wydawało się to nie przeszkadzać. Chudzielec pokazywał jakiś wymiętolony papier mężczyźnie w sztruksach. Niesamowite! Czy znajdzie się tam miejsce dla mnie? Zostanę zaakceptowana? I czy mnie uda się znieść ich towarzystwo?

Może powinnam wyjść? Nie byłam pewna, czy mój udział w spotkaniu to dobry pomysł. Wątpiłam, żeby ktoś mnie tutaj zrozumiał. O ile w ogóle uda mi się otworzyć przed nimi. Czułam, że porwałam się na coś, czemu mogę nie sprostać. Już miałam zamiar podnieść się z krzeselka i wrócić do domu, gdy po schodach wbiegł Mariusz. Grupa przywitała go z hałaśliwą radością. Terapeuta otworzył drzwi i gestem

zaprosił do środka. Czekałam cichutko, aż sam wejdzie i zamknie drzwi.

Nic z tego. Kiedy ostatnia osoba przekroczyła próg, Mariusz rozejrzał się i zauważył mnie.

– Natasza! Cieszę się, że jesteś! Zapraszam – kiwnął na mnie, więc nie miałam wyjścia. Z duszą na ramieniu weszłam do sali. Będzie dobrze – powtarzałam w myślach. – Dasz radę, Nata!

– Poznajcie Nataszę – usłyszałam głos Mariusza. – Od dziś dołącza do naszej grupy. Każdy z nas wie, że to niełatwa decyzja, dlatego nagrodźmy Nataszę, która miała odwagę tu przyjść.

Słyszałam oklaski, ale nie miałam śmiałości popatrzeć im w twarze. Utkwiłam wzrok w czubkach butów.

– Siadaj obok Lidki. – Mariusz delikatnie popchnął mnie w kierunku tlenionej. Ależ mi się trafiło! Trudno, może następnym razem się przesiądę. Zająłam miejsce, Mariusz zaczął spotkanie. Teraz, kiedy wszyscy patrzyli na niego, zebrałam się na odwagę i podniosłam wzrok. Od razu napotkałam zielone oczy siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Znałam go!

Nie wiem, jak to się stało, że nie poznałam go już tam, kiedy stał pod drzwiami. Co prawda zawsze widywałam go w garniturze i nieskazitelnie wyprasowanej koszuli. Druga sprawa, że zupełnie nie kojarzył mi się z krzeselkami ustawionymi w kręgu, z rozmowami o piciu. W ogóle z żadną wadą czy niedoskonałością mi się nie kojarzył. A jednak bez wątpienia to był on.

Mateusz Sajanowicz, a konkretnie mecenas Mateusz Sajanowicz, właściciel kancelarii prawnej specjalizującej się w rozwodach. Wzór męskiej elegancji i dobrego wychowania, pogromca niewiernych małżonków, słynący ze skuteczności. Z jego usług mogli korzystać jedynie ci z zasobnymi portfelami, bo zdawał sobie sprawę z wysokiej jakości oferowanych usług i cenił się. Jednakże jego wdzięk sprawiał, że klienci obu płci, płacąc mu, nie czuli się wcale źle, przeciwnie, dziękowali z wdzięcznością. Tak, naprzeciwko, na krześle pod oknem siedział mój adwokat w sprawie rozwodowej. Idąc na to spotkanie, byłam przygotowana na wiele, ale na coś takiego z pewnością nie. Nie życzyłam sobie widzieć w ośrodku nikogo znajomego, a już z pewnością nie mecenasa, który pomagał mi w wysądzeniu od byłego męża jak największej kwoty, który słyszał wszystko, co mówiliśmy w sądzie. Dlaczego nie zwróciła mojej uwagi charakterystyczna kasztanowa czupryna? Dlaczego nie wyszłam, kiedy poczułam ochotę?

Zaskoczenie sparaliżowało mnie zupełnie. Wiedziałam, że nie będę w stanie nic powiedzieć. Przestałam słyszeć, co mówi Mariusz i inni członkowie grupy. Cały czas czułam na sobie spojrzenie zielonych oczu i zastanawiałam się, co on o mnie myśli. Byłam zdezorientowana i zła. Że też zawsze musi przydarzyć mi się coś, co skomplikuje mi życie. Akurat tutaj musiał przychodzić! No tak, musiał, widocznie musiał. A to, że siedział na spotkaniu grupy oznacza... że pan mecenas nie był ideałem. Że pan mecenas ma problem z alkoholem. No, gdyby o tym dowiedzieli się klienci, z pewnością nie byłiby zachwyceni. Czy bogatego prawnika nie stać na prywatną klinikę, gdzie takie problemy załatwia się w najgłębszej tajemnicy?

Tak czy inaczej nie miałam zamiaru nigdy więcej uczestniczyć w spotkaniach, na które przychodził. Imponowała mi jego skuteczność i bezwzględność na sali sądowej, ale nie mogłabym pozwolić sobie na szczerść w jego obecności. Dla mnie był prawnikiem, a do tych nie miałam za grosz zaufania. Nie raz przekonałam się, że dla pieniędzy gotowi są na wszystko. O nie, ani myślę zdradzać przed nim swojej słabości.

Przesiedziałam w milczeniu całe spotkanie. Na pytanie, czy chcę coś powiedzieć, pokręciłam

przecząco głową. Kiedy zaszurały krzesła, zrozumiałam, że to koniec, więc czym prędzej skierowałam się w stronę wyjścia. Jutro zadzwonię do Mariusza – postanowiłam. – Poproszę o zmianę grupy. Rzuciłam ogólne „do widzenia”, mając nadzieję, że Mariusz nie będzie próbował mnie zatrzymać.

*

– Pani Nataszo, proszę poczekać!

Nie zwolniłam ani trochę. Już to, że mi się przyglądał tam, na sali, uznałam za nietaktowne, ale to, że mnie gonił to już prawdziwa bezczelność. Taki mądry pan prawnik, a nie przyszło mu do głowy, że mogę nie chcieć z nim rozmawiać?

– Pani Nataszo. – Bez kłopotów dogonił mnie, kiedy otwierałam drzwiczki samochodu. – Nie poznała mnie pani?

– Tutaj podobno wszyscy są po imieniu – powiedziałam, starając się nadać głosowi lodowate brzmienie. – No, ale może wiesz lepiej, bo chyba jesteś tu dłużej niż ja – dodałam ironicznie.

– Masz rację – uśmiechnął się. Najwyraźniej nie udało mi się go zniechęcić. Fakt, to przecież prawnik. – A więc jednak mnie poznałeś?

– Owszem. I co z tego?

– Cóż, pomyślałem, że może moglibyśmy uczcić jakoś to spotkanie. – Zesztywniałam. Chyba nie zamierza mnie gdzieś zapraszać. – Niestety, kontakty członków grupy poza tymi oficjalnymi podczas mityngów są zakazane.

– I dobrze – mruknęłam pod nosem.

– Za to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zamienili tutaj kilka słów.

– Chyba już zamieniliśmy.

– Nic się nie zmieniłaś – kolejny uśmiech. Wyglądał na szczery, ale taki sam serwował mi w kancelarii. Mnie i pewnie każdemu klientowi. – Ciągle tak samo złośliwa, ostra i nieustępliwa.

– Ty także wciąż ujmująco, cukierkowo uprzejmy.

– No, to wymieniliśmy komplementy, możemy przejść do innych tematów.

– A są jakieś? Bo spieszy mi się...

– Nie będę cię zatrzymywał. Chciałem tylko powiedzieć, że ucieszyło mnie nasze spotkanie. Czasami zastanawiałem się, co u ciebie słychać.

– Jak widzisz – wszystko w najlepszym porządku. Zaczęłam chodzić na spotkania Anonimowych Alkoholików, a poza tym doskonale.

– Rozumiem – popatrzył na mnie uważnie, kiwając głową. – Pierwsze spotkania zawsze są trudne. Pamiętam, jak to było ze mną. Mało brakowało, a nie przyszedłbym na kolejne. Uwierz, dalej będzie lepiej. Przyzwyczaisz się, poznasz wszystkich bliżej. Naprawdę są mili.

– Ten chudy z brudnymi paznokciami też? – nie mogłam powstrzymać się od złośliwości. – Nie za bardzo kontrastuje z mahoniowym wystrojem kancelarii?

– Daj spokój. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że w konfrontacji z butelką cena mebli nie ma znaczenia. A Heniek kiedyś był sportowcem. Teraz, żeby przeżyć, bierze każdą robotę. Zresztą sama dowiesz się wszystkiego.

Muszę przyznać, że zawstydził mnie. Jakie miałam prawo uważać się za lepszą od Lidki czy Heńka?

Żadnego. Równie dobrze mogłam skończyć jak oni. To, że zatrzymałam się nieco wcześniej nie jest właściwie żadną moją zasługą, a tylko sumą przypadków. Dopiero teraz mogę coś robić sama, na własny rachunek i odpowiedzialność.

– Przepraszam, jestem zdenerwowana. – Próbowałam się usprawiedliwić, bo naprawdę zrobiło mi się wstyd. – Nie spodziewałam się spotkać tu kogoś znajomego.

– Jasne, rozumiem. Nie ma sprawy. Ludzie na pierwszym spotkaniu wyprawiali u nas różne rzeczy.

– Skoro już rozmawiamy, to może jako bardziej doświadczony kolega podpowiesz mi, co mam robić, żeby się nie wygłupić. – Stwierdziłam, że warto udać zawieszenie broni i wyciągnąć od mecenasa nieco informacji.

Połąknął haczyk. Nie mogłam się nadziwić, jak łatwo poszło. Na sali sądowej nikomu nie udawało się go zwieść.

– Każde spotkanie odbywa się na podobnej zasadzie...

Przez kilka minut opowiadał z zapałem, dzięki czemu udało mi się nadrobić mój dzisiejszy stupor. Usłyszałam kilka anegdotek, dowiedziałam się, kto z kim zawsze się kłóci, a kto kogo broni, chociaż te informacje niewiele mi dały, bo jeszcze nie kojarzyłam ludzi z imionami. Wcale mnie to nie zmartwiło, bo i tak nie miałam zamiaru widzieć ich nigdy więcej. Kiwałam głową w odpowiednich miejscach i w duchu liczyłam, że Mateusz szybko skończy.

Mijały nas kolejne osoby z grupy. Odjechało kilka samochodów, zostaliśmy na parkingu sami. Doszłam do wniosku, że już dość czasu poświęciłam na tę nieprowadzącą do niczego rozmowę. W końcu nie miałam wobec tego człowieka żadnych zobowiązań. Wziął swoją dolę, nie jestem mu nic poza tym winna. Zdecydowałam się przerwać monolog mojego rozmówcy.

– Przepraszam cię, to bardzo ciekawe, ale mam umówione spotkanie – spojrzałam wymownie na zegarek.

– Rzeczywiście, strasznie się rozgadałem. A obiecałem, że nie będę cię zatrzymywał. Cóż, wiadomo, że nie należy wierzyć prawnikom. – Nie mogłam nie odwzajemnić uśmiechu. Zawsze ceniłam u ludzi dystans do siebie samych.

– Mateusz, jak dobrze, że jeszcze jesteś! – Elegancka wyrosła jak spod ziemi. – Zagadałam się z Mariuszem, a muszę zdążyć do pralni. Samochód, jak na złość, u mechanika. Ściąga części, ale to potrwa, wiesz jak jest z amerykańskimi wozami. – Zabręczyły bransoletki, poczułam delikatny zapach Chanel. – Będę mogła zabrać się z tobą do centrum?

– Oczywiście. Zapraszam. – Mateusz wykonał zapraszający gest w kierunku czarnego volvo V70. – Pozwól, Nataszo, że cię pożegnam. To sprawa najwyższej wagi. Jeżeli Jolanta nie odbierze prania, nie będzie miała co na siebie jutro włożyć.

Jolanta roześmiała się perliście. Mogła sobie na to pozwolić, bo patrząc na nią, nikt nie dopuściłby nawet myśli, że wypowiedź Mateusza może być czymkolwiek innym niż żartem. Ujęła mecenasa pod ramię i odeszli w stronę auta.

Wsiadłam do swojego i położyłam dłonie na kierownicy. Dopiero teraz, gdy mogłam się rozluźnić, poczułam, jak napięte miałam mięśnie. Bolały jakbym wyszła z siłowni, a nie ze spotkania grupy terapeutycznej. Na szczęście już po wszystkim. Odetchnęłam głęboko. Chętnie posiedziałabym jeszcze chwilę, żeby zupełnie się uspokoić, ale zobaczyłam wychodzącego z budynku Mariusza. Nie miałam ochoty na kolejną rozmowę. Szybko zapaliłam silnik i wyjechałam z parkingu, zanim terapeuta doszedł do

swojej zielonej astry.

*

Nie poszłam na kolejne spotkanie. Nie zadzwoniłam też do Mariusza, po prostu stchórzyłam. Nie wiedziałam, co miałabym powiedzieć. Stwierdzenie, że nie odpowiada mi ta forma terapii byłoby dziecinadą, bo co można powiedzieć po jednym spotkaniu?

Szukałam w internecie innych ośrodków, ale żaden nie przypadł mi do gustu. Zastanawiałam się, czy aby nie wyszukiwałam wad na siłę. Co chwila stwierdzałam, że albo za daleko, albo nie ma informacji o terapeutach, albo nie zachęciły mnie opisy. Biłam się z myślami. Z jednej strony wiedziałam przecież, że gdzieś powinnam pójść, z drugiej – wiedziałam, że wszędzie jest podobnie. Wreszcie doszłam do wniosku, że skoro radziłam sobie do tej pory, to teraz także dam radę.

Zimowe dni upływały mi leniwie i coraz bardziej się nudziłam. Zabrakło emocji związanych z rozwodem, nie miałam nic do roboty w ogrodzie. Jak długo można oglądać telewizję i czytać? Nie miałam motywacji, żeby się ubierać, nie chciało mi się gotować obiadów tylko dla siebie. Na początku cieszyłam się, że niczego nie muszę, ale po miesiącu zaczęło mi to mocno doskwierać.

Najpierw zabrałam się za porządki. Gruntowne sprzątanie, przegląd rzeczy w szafach. Podczas przekładania sukienek znalazłam wiele takich, które jeszcze miały sklepowe metki.

To okropne – pomyślałam. – Jakie bezsensowne jest moje życie. Wydaję pieniądze na niepotrzebne rzeczy tylko dlatego, że sprawiało mi to przez chwilę radość. A teraz siedzę w domu i nie robię zupełnie nic. Nic, co miałoby sens i cel.

Poryczałam się, siedząc na puszystym dywanie w sypialni, otoczona drogimi ubraniami, oparta o szerokie łóżko. Nie chciało mi się żyć. Nie widziałam sensu w budzeniu się kolejnego dnia, nie znajdowałam sił na ustalenie konkretnego planu na dalsze życie.

Kolejny dzień znowu zaczęłam od gapienia się na telezakupy. Ile osób kupuje te pasy wibracyjne, myśląc, że od tego schudną, ile kobiet naiwnie wierzy, że supermop sam posprząta mieszkanie. Śmiałam się w duchu z ich naiwności. Nic nie robi się samo, wiedziałam o tym. Trzeba ciężko pracować na sukces, bez względu na to, czy jest nim utrata zbędnych kilogramów, czysta łazienka, czy wielka firma. Jakaż ja jestem mądra – pomyślałam z ironią. – Niby wszystko wiem, a sama leżę na kanapie i czekam aż moje życie samo się zmieni.

O dziwo, cud się zdarzył. No, może nie całkiem cud, ale czynnik motywujący. Przyszedł, niosąc pudełko z pizzą. Pachniał pepperoni i oregano. Miał chyba trzy kolczyki w uchu, jeden w brwi, a na nogach glany. Otworzyłam mu drzwi i gdyby mnie nie zaczepił, nie rozpoznałabym go, bo niewiele widać było spod firmowej czapeczki, którą nasunął na oczy.

– Reszty nie trzeba. – Chciałam jak najszybciej zamknąć drzwi, bo mroźne styczniowe powietrze natychmiast wdarło się do domu i przeniknęło przez ubranie.

– Hej, czy my się czasem nie znamy?

Tak, znam doskonale wszystkich dostawców pizzy w stolicy – pomyślałam. – To doprawdy krąg moich najbliższych znajomych.

– Nie sądzę – rzuciłam chłodno.

– Czeka, ty jesteś chyba Natalia, czy Natasza, jakoś tak... Byłaś raz na grupie.

Zatrzymałam drzwi i uważniej spojrzełam na dostawcę. Czy to... tak, to ten młody chłopak. Że też musiał mnie rozpoznać!

– Natasza. Tak, to ja – potwierdziłam niechętnie.

– Tutaj mieszkasz?

– Nie, włamałam się i postanowiłam coś przekąsić przy robocie.

– Okej, okej, głupio gadam – roześmiał się.

Zapanowało niezręczne milczenie.

– Niezła chałupa – powiedział wreszcie.

– Może wejdiesz? – zaproponowałam, bo co innego miałam robić. Jakoś głupio było zamknąć mu teraz drzwi przed nosem. – Zimno jest, zrobię herbatę. O ile masz czas...

– Właściwie nie powinienem, ale korki zawsze mogły być, nie?

Patrzyłam, jak rozsznurowuje wysokie buty i przy okazji przyglądałam mu się uważnie. Wtedy oceniłam go na około trzydzieści lat, teraz stwierdziłam, że jest młodszy. Długie włosy nosił spięte czarną frotką. Miał jasny zarost i orli nos. Nic specjalnego, ale mógł podobać się dziewczynom. O ile nie przeszkadzały im te kolczyki.

Weszliśmy do salonu. Chłopak otwarcie rozglądał się dokoła. Gdyby ktoś inny tak się zachował, uznałabym to za brak wychowania, ale on wydawał się tak naturalny i spontaniczny w tym, co robił, że nie sposób było tego źle ocenić.

Usadziłam go na skórzanym fotelu i przygotowałam herbatę.

– Może coś zjesz? – krzyknęłam z kuchni.

– No coś ty! – aż podskoczyłam, bo odpowiedź usłyszałam tuż za plecami. – Przecież pracuję w pizzerii. A nie masz kubka? – zapytał, widząc filiżanki. – Możemy usiąść tutaj? Bo tam za duży ekskluzyw jak dla mnie. Słabo pasuję do takich foteli i antyków. Nie komponuję się.

Pierwszy raz od dawna roześmiałam się na cały głos.

– Jak ty masz właściwie na imię? Wybacz, nie pamiętam...

– Spoko, nic dziwnego. Byłaś tak wyczesana, że dziwne, gdyby było inaczej. Jestem Kamil.

Usiedliśmy przy kuchennym stole. Z kubkami zamiast filiżanek. To był pierwszy gość w tym domu, który nie wymagał delikatnej zastawy, srebrnej łyżeczki w cukiernicze i silenia się na, jak sam to określił, ekskluzyw.

– Jaki mam fart! Pierwszy tydzień w robocie i już spotykam znajomych. A tak w ogóle, to nie było cię ostatnio. Chorowałaś?

Byłam wdzięczna, że podsunął mi to usprawiedliwienie. Skinęłam głową potwierdzająco.

– Ale widzę, że jest lepiej. To git. Bo lepiej nie opuszczać spotkań. Nie wiem, jak jest z tobą, ale ja jak nie pójdę, to zaraz mi głupoty do głowy przychodzą. Muszą mnie raz na tydzień naprostować. Grupa daje kopa, pozytywnie znaczy. Dzięki nim zacząłem poważnie szukać roboty, wiesz, tak bez wybrzydzenia. I znalazłem. Może szalu nie ma, ale na czynsz będzie, a na jedzeniu oszczędzam, bo się w pracy najem.

Popatrzył na kuchenny sprzęt i dodał:

– No, ty nie masz takich problemów. Za tę lodówkę miałbym pokój na rok.

– Rzeczywiście, pod tym względem nie narzekam. – Szczerłość za szczerłość, postanowiłam, bo od dawna z nikim tak dobrze mi się nie rozmawiało. – Za to mam inne problemy.

– Luz, wiadomo. Jak ktoś do nas trafia, to przynajmniej jeden ma – puścił do mnie oczko. – Mówię

wprost, bo tu sami swoi, nie? No, ale kasa wiele ułatwia.

– I tak, i nie. Czasem utrudnia. Na przykład nie chce mi się pracować – wyznałam szczerze. – W ogóle nic mi się nie chce.

– To słabo. Trzeba coś robić.

– Wiem, ale jakoś nie mogę się zebrać.

– To przyjdź koniecznie w czwartek na grupę. Zaraz ci się zachce. Mnie się zachciewa. Przeważnie z wkurzenia, bo oni potrafią człowiekowi podnieść ciśnienie. I to działa, serio.

Odstawił kubek i wstał.

– Muszę lecieć. Miło się gadało, ale nie chcę, żeby mnie z roboty wywalili. W końcu postanowiłem być odpowiedzialny, nie?

Kiedy sznurował glany, niespodziewanie dla samej siebie zadałam pytanie:

– Rodzice ci nie pomagają?

Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Za bardzo przeginałem, nie dziwię im się. Ale jak stanę na nogi, to do nich pojedę.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Spoko, daję radę. Chłopaki z zespołu mi pomagają.

– Grasz?

– Staram się. Na basie. Na razie żaden ze mnie wirtuoz, ale mamy taką kapelę i coś rzeźbimy po kątach. Tylko nie bardzo jest gdzie, bo u nas już się sąsiedzi burzą, że za głośno. Ale odkładamy kasę i od wiosny może wynajmiemy jakąś salkę. Kurczę, teraz to już naprawdę lecę.

Zbiegł po zaśniewionych schodkach i odjechał zdezelowanym golfem.

Popatrzyłam na pudełko z dawno wystygłą pizzą i uśmiechnęłam się. Kamil wprowadził mnie w doskonały nastrój, zostawił mnóstwo pozytywnej energii. Niewiele się o nim dowiedziałam, ale nawet z tych okrucichów mogłam wysnuć wnioski, że nie miał lekko. A jednak pozytywnie podchodził do życia, miał pasję i plany. Już dawno z nikim nie rozmawiałam tak bez skrepowania, po prostu, normalnie. Podobało mi się to. Poczułam się młoda, silna i gotowa, żeby coś robić. Choćby dostarczać pizzę – uśmiechnęłam się do siebie.

Pozmywałam kubki, odgrzałam pizzę w mikrofalówce i zjadłam, po raz pierwszy od dawna z apetytem. Przy trzecim kawałku wpadłam na pomysł. Wystukałam numer pizzerii.

– Chciałabym rozmawiać z dostawcą Kamilem.

– Z tego numeru nie można prowadzić prywatnych rozmów. Linia służy do składania zamówień. Pracownicy są o tym poinformowani. – Dziewczyna w słuchawce miała miły, ale stanowczy głos.

– W takim razie chcę złożyć zamówienie, ale tylko panu Kamilowi.

– Nie praktykujemy takich rzeczy.

– Jestem waszą stałą klientką i albo zamówię u pana Kamila, albo poproszę kierownika. – Jeszcze nie zapomniałam, jak się mówi do pracowników i bez wahania skorzystałam ze swojego doświadczenia.

„Kamil, jakaś wielbicielka!” – usłyszałam głos dziewczyny.

– Kamil, słucham?

– Tu Natasza. Powiem szybko, żeby nie narobić ci kłopotów. Mam ogrzewany garaż. W sam raz na próby. Mogę wynająć dwa razy w tygodniu. Nie chcę drogo – średnia pizza za każdą próbę, może być z pepperoni. A teraz zamawiam dużą Hawajską na jutro na czternastą. Cześć!

I rozłączyłam się, żeby nie dać mu czasu na odmowę.

*

Moja Hawajska pojawiła się punktualnie. Byłam przygotowana na spotkanie z jej dostawcą. Wiedziałam, że nie ma ze mną szans. Kilkanaście lat uczyłam się, jak przekonać klientów do swojej oferty i radziłam sobie naprawdę dobrze. Dwudziestokilkulatek nie był dla mnie żadnym przeciwnikiem.

– Natasza, ale dowaliłaś z tym garażem! – Kamil nie bawił się w grzecznościowe wstępy. – Nie ma szans, żebym w to wszedł. Nie da rady.

– Dlaczego?

– Jest wiele powodów. Nie chce mi się o tym gadać, zresztą nie mam czasu.

– To ja ci powiem. I tak nie pójdziesz, dopóki nie zapłacę.

Wzruszył ramionami i jeszcze bardziej nasunął czapeczkę na oczy.

– Dasz mi dziesięć minut?

Nie odpowiedział. Wobec tego, żeby nie przedłużać, przedstawiłam swoje argumenty.

– Wiem, że nie powinniśmy widywać się poza spotkaniami grupy, ale ja już nie zamierzam tam chodzić. To nie dla mnie. Druga rzecz, która może cię blokować, to obecność w pobliżu starej baby, która nie ma pojęcia o waszej muzyce i której będą się krępować twoi koledzy. Otóż oświadczam ci, że dwa razy w tygodniu zamierzam wyjeżdżać na zakupy i nie wracać przez co najmniej dwie godziny. Będę spokojniejsza, jeśli w tym czasie ktoś zerknie na dom. Po trzecie: dam ci pilota do bramy garażowej, nie będziesz musiał nawet wchodzić na podwórko, czy za każdym razem prosić o klucze. Co do zapłaty, to żartowałam z tą pizzą. Gdybym jadła coś takiego dwa razy w tygodniu, szybko upodobniłabym się do wieloryba. Jeżeli to nie kłopot, wołałabym żebyście przy okazji odśnieżali podjazd i ścieżkę do domu, a latem co dwa tygodnie skosili trawnik. Nie wiem, czy to bardzo rockowe zajęcia, ale nic lepszego nie wymyśliłam. Nie robię wam łaski, chcę zapłaty. To chyba uczciwe? Nie dąsaj się więc, tylko przyjmij moją ofertę. Lepsza ci się nie trafi.

– Teraz mówi się: strzelić focha – usłyszałam spod daszka.

– Co?

– Zamiast: dąsać się.

Już wiedziałam, że wygrałam.

– Dobra, to nie strzelaj focha. Przyjmujesz moje warunki?

Kamil przekręcił daszek na tył głowy i spojrzał mi prosto w oczy.

– Mam jeden swój warunek.

– Negocjacje?

– Nie. Jeżeli się nie zgodzisz, nie przyjmę oferty.

– Dobra. Mów.

– Obiecasz, że będziesz chodzić na grupę. Od najbliższego czwartku, czyli od jutra.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zezłościł mnie ten szczeniak. Ja tu serce na dłoni, proponuję mu pomoc, daję szansę, a ten wyskakuje z czymś takim. Jeszcze tego nie widzieli, żeby ktoś taki mnie do czegoś zmusił!

Kamil nie czekał na odpowiedź.

– Przynieś tego pilota jutro. Cześć!

Zamykając drzwi, dodał jeszcze:

– A pizza na koszt firmy. Smacznego!

Zatupotały ciężkie podeszwy, zakaszłał wiekowy golf. Potem wszystko ucichło, a ja jeszcze długo tkwiłam zamyślona w przedpokoju.

*

Stałam przed wejściem do sali terapeutycznej z duszą na ramieniu i pilotem do garażu w torebce. Pół nocy walczyłam ze sobą, ale miałam już tak dosyć samotności, że zdecydowałam się jeszcze raz spróbować. Perspektywa kolejnych samotnych dni i pustych wieczorów przerażała mnie dużo bardziej niż dwie godziny w towarzystwie obcych ludzi. Tak naprawdę, to przynajmniej miałam pretekst, żeby doprowadzić się do porządku i wyjść z domu. Niech będzie, co ma być. Nikt nie zmusi mnie do zwierzeń.

Odpowiadałam na powitania kolejnych członków grupy. Bałam się, że ktoś zapyta o powód dotychczasowej nieobecności, ale najwyraźniej wszyscy byli dyskretni. Starłam się, żeby mój uśmiech wyglądał naturalnie.

Wreszcie przyszedł Mariusz i zajęliśmy miejsca.

– Witam wszystkich – powiedział terapeuta. – Czy ktoś chciałby dzisiaj o czymś porozmawiać?

Mężczyzna, którego poprzednio nazwałam tatuśkiem, podniósł rękę.

– Okej, zaczyna Przemek.

– Czasami wydaje mi się, że dłużej nie wytrzymam. Moja żona robi się coraz gorsza. Nie ma dnia, żeby się nie czepiała. Przeszukuje szafki, zagląda w każdy kąt warsztatu, doszło już do tego, że przelicza mi pieniądze w portfelu. Kłócimy się codziennie. Ta kobieta nie potrafi pojąć, że ja naprawdę nie piję. Czasem myślę, że wolałaby, żebym chlał, bo mogłaby być wtedy taka biedna i pokrzywdzona, a teraz nie ma się czego czepić. To wynajduje kolejne preteksty. Dawniej to jak tak mi brzęczała za uchem, to się napiłem i nie musiałem słuchać, a teraz muszę to znosić...

– A próbowałaś z nią pogadać? – Dziewczyna, która dzisiaj również przyszła w dresie, tym razem zielonym, wydawała się naprawdę zainteresowana wywoodem Przemka.

– Z nią się nie da rozmawiać. – Mężczyzna machnął lekceważąco ręką. – Czy z jakąś babą w ogóle da się gadać? Człowiek próbuje tłumaczyć, a ona tylko o braku zaufania, o straconych latach i o długach. Co, ja nie wiem, że mamy sporo do spłacenia? Wiem, ale kryzys jest i coraz trudniej o klienta. Dawniej, to pchali się drzwiami i oknami. I prawie na kolanach błagali, bo o dobrego fachowca było trudno. Każdy chciał się przypodobać, to z flaszką przychodził – rozmarzył się Przemek. – A teraz sama elektronika w samochodach, klienci tylko autoryzowane serwisy odwiedzają. Tłumaczę babie, ale zrozumie to? – spojrzał na dziewczynę w dresie z taką nienawiścią w oczach, jakby widział w niej swoją żonę. – Gdyby była inna, więcej rozumiała, to może nie musiałbym pić. A teraz jak ją słyszę, to tak mnie ciągnie... aż się dziwię, że już pół roku wytrzymałem.

– Ktoś chciałby coś powiedzieć Przemkowi? – Mariusz omiół spojrzeniem grupę.

Słuchałam Heńka, który powiedział coś o tym, że każdemu w interesie teraz ciężko, potem tej Luizy w dresie, która tłumaczyła, że nie wszystkie kobiety są jednakowe i że Przemek przecież przestał pić nie dla żony, ale dla siebie i że może zmieniać swoje życie. Mężczyzna słuchał, kiwając głową. Widać było,

że zainteresowanie i troska grupy sprawiają mu przyjemność. Nie mogłam się nadziwić, jak duże zadowolenie wywołały u niego te frazesy. Zerkałam na Mariusza, ale ten nie przerywał. Dopiero kiedy zapadła cisza, zapytał:

– Ktoś jeszcze chce o czymś opowiedzieć?

Tym razem zgłosiła się Lidka.

– W piątek chciałam się zobaczyć z córką. Poszłam do teściowej, ale mnie nie wpuściła. Nie chcę robić awantur pod drzwiami, bo ona zaraz dzwoni na policję. A jak będą zgłoszenia, to mi w końcu dadzą zakaz zbliżania się – pociągnęła nosem. – To dzwoniłam i pukałam, aż w końcu chyba miała dość i pozwoliła mi z Sandrą porozmawiać, ale przez zamknięte drzwi. Mówiłam do niej i płakałam, bo kto to widział, żeby nie można było własnego dziecka przytulić! – w głosie miała więcej żalu niż złości. – Gdyby Jacek żył, to przemówiłby matce do rozumu.

– Jacek się zapił – rzuciła z nutą złośliwości Jolanta.

– A zapił! Wiem przecież. Tak tylko mówię, bo nikogo innego w życiu nie miałam, coby mnie wspierał.

Widząc, że Jolanta poprawia się na krześle, szybko dodaje:

– Dobra, dobra, znam to na pamięć. Pił, bił, z nim piłam, kradłam, dziecko nam zabrali. Wiem, rozumiem i pamiętam. Tylko mam wielki żal do teściowej, że Sandry nie mogę zobaczyć. Sąd mi ograniczył prawa rodzicielskie, ale odwiedzać córkę mogę!

– Lidka, rozmawiałaś o tym ze swoją kuratorką? – Marcin zaczął wreszcie dążyć do czegoś konkretnego.

– Jasne. Powiedziała, że jak będę mieć warunki, to mogę się starać o odzyskanie praw i zabranie Sandry. A ja ciągle w tym pokoju, z kibelem na podwórku i grzybem na ścianach. Złożyłam podanie o lokal socjalny, ale czy wy wiecie, jaka jest kolejka? Żyć się odehciewa, serio! – Wyciągnęła z kieszeni różowego żakietu paczkę wymiętoszonych chusteczek higienicznych i głośno wysmarkała nos.

– A co z pracą? Coś znalazłaś? – W głosie Kamila usłyszałam coś w rodzaju dumy. Nie zdziwiło mnie, że akurat on o to zapytał. W końcu jemu się udało.

– E tam, szkoda gadać. Nic nie ma. Nawet do sprzątania bym poszła, ale tak słabo płacą, że załamać się idzie. Więcej z pomocy społecznej wyciągam. Do sklepu mnie nie chcą, bo wolą młode, a gdzie indziej to nie mam albo wykształcenia, albo doświadczenia. Jak tu życie budować, jak nikt człowiekowi ręki podać nie chce. Naprawdę podły ten świat – popatrzyła na Kamila, który ironicznie zmrużył oczy. – Tobie łatwiej, bo jesteś młody. I masz samochód. A do tego facet. – Wyciągnęła kolejną chusteczkę i otarła oczy. – Dobra, już, koniec mazania się. Spróbuję jeszcze raz jutro. Pójdę do pośredniaka. Chociaż tam i tak nic nie ma. I poczekam pod blokiem, jak teściowa będzie szła na zakupy, to do niej zagadam. Niech będzie, chociaż to świnią wredna!

– Bardzo się cieszę, że się nie poddajesz. Wszyscy wiemy, że bywa ciężko, ale trzeba próbować. Aż do skutku. Może pokażemy Lidce, że z nią jesteśmy?

Rozległy się oklaski, kobieta uśmiechnęła się, pokazując brak lewej górnej piątki. Luiza podeszła do niej i przytuliła blond głowę do dresowej bluzy.

Patrzyłam na to wszystko i czułam się dziwnie. Widziałam, że pan mecenas także klaszcze i nie mogłam przestać się dziwić. Przecież jest inteligentnym człowiekiem, który osiągnął życiowy sukces, czy nie widzi tego, co ja?

– Mamy jeszcze chwilę, czy są jacyś chętni? – zapytał Mariusz, gdy wrzawa nieco ucichła.

– Jeżeli można... – zdecydowałam się w ułamku sekundy.

– Oczywiście, Nataszo, mów.

Grupa ucichła. Przez moment chciałam zrezygnować, ale pomyślałam, że przecież sam Mariusz mówił o zasadzie szczerości, o wyrażaniu emocji. No to wyrażę. Szczerze. Wstałam, chociaż nie musiałam, ale zawsze lepiej mówiło mi się na stojąco. Zwłaszcza trudne rzeczy.

– Jestem tu nowa i jeszcze nie bardzo czuję i rozumiem zasady grupy, ale to, co dzisiaj zobaczyłam i usłyszałam, bardzo mnie dziwi. Mam wrażenie, że to jakieś kółko wzajemnej adoracji. Naprawdę mamy się tutaj usprawiedliwiać i utwierdzać w przekonaniu, że jesteśmy dobrzy, a świat zły? To w czymś pomaga? – Zobaczyłam, że Jolanta już unosi się na krzesło, więc powstrzymałam ją gestem. – Chwilę, dajcie mi dokończyć. Ja nikomu nie przerywałam. Słuchałam Przemka, który żali się na kryzys i brak klientów, a za swoje niepowodzenia wini żonę. Jasne, to proste, wiem coś o tym. Też uważałam, że mój były mąż jest winien moich niepowodzeń. Niestety, tak nie jest. Sami jesteśmy sobie winni. Czy myślisz – zwróciłam się do Przemka – że klient sam do ciebie przyjdzie? Nie te czasy. Co zrobiłeś, żeby go zachęcić? Siedzeniem w warsztacie nie spłacisz długów. A ty – popatrzyłam na Lidkę – wolisz chodzić po zasiłki, niż zastanowić się, jak podwyższyć kwalifikacje. Próbowалаś? Nie opłaca ci się pracować? Gdybyś naprawdę chciała odzyskać córkę, to brałabyś wszystko. Nie mam dzieci, ale gdyby spotkało mnie to szczęście, bez wahania kopałabym rowy, byle móc z nimi być. – Lidka wybuchnęła płaczem, ale wcale mnie to nie obeszło. – Siedzicie tutaj i głaszczecie się po plecach, zamiast coś robić, działać. Rzygać się chce od tej słodyczy. Nie wierzę, że nikt nie myśli tak jak ja. Nie rozumiem, dlaczego tego nie mówicie. Tu niby jest szczerze, ale ja tego nie czuję. Z każdym obchodzicie się jak ze śmierdzącym jajem. Bo co? Bo jak wyjdzie w złym humorze, to zapije? Dla mnie to śmieszne. Dziękuję, skończyłam. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Opadłam na krzesło, bo ta przemowa kosztowała mnie wiele energii. Poczułam, że spoczęły mi się dłonie, wytarłam je o spodnie. Czuję w powietrzu ogromne napięcie, jakby ktoś pompował ogromny balon, który za chwilę pęknie. Przekłuła go Lidka.

– Łatwo ci mówić! Taka jesteś mądra, bo z daleka śmierdzisz kasą. Mądralińska! Przyszłaś tu drugi raz i już ci się wydaje, że wszystko o nas wiesz. Tylko słuchasz i oceniasz. Jakbyś zjadła wszystkie rozumy. Nie masz pojęcia, jak to jest nie mieć na chleb albo kraść jabłka z czyjegoś ogrodu, żeby napchać brzuch. Nie znam ciebie ani twojego byłego, ale może powiesz, czy cię bił tak, że nie mogłaś się zwlec z łóżka? Albo może brał, co swoje, nie pytając o zgodę? Masz drogie ciuchy, stać cię na kosmetyki, pewnie skończyłaś studia. Spróbuj szukać pracy po ośmiu klasach! Nic nie wiesz o prawdziwym życiu. A już na pewno nie o moim, więc się nie wypowiadaj!

Słyszałam, co mówi, ale nie ruszało mnie to. Wyłączyłam emocje. To umiałam. Nie obchodziło mnie jej zdanie. Czekałam jeszcze na ripostę Przemka, ale ten się nie odezwał. Za to Jolanta po raz kolejny szykowała się do natarcia. Zauważyłam, że Mateusz ją powstrzymał. Zirykowało mnie to. Tutaj nie potrzebowałam mecenasa.

– Chciałaś coś powiedzieć? – zwróciłam się do elegantki.

– Wydawało ci się – rzuciła lekceważąco i to zabolowało mnie bardziej niż atak Lidki. Nie znosiłam, gdy ktoś mnie olewał. Nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo wtrącił się Mariusz.

– Sądzę, że na dziś to wszystko. Widzimy się za tydzień. Do zobaczenia.

Wyszłam powoli, niespiesznie, gotowa na ewentualne zaczepki. Nic takiego się nie zdarzyło. Nikt się

nie odezwał, nikt nie czekał na korytarzu ani przed budynkiem. Byłam rozczarowana. Chciałam walczyć, ale nie znalazł się odważny do podjęcia rękawicy. Szukając kluczyków do samochodu, zobaczyłam w torebce pilota do garażu. Zapomniałam o nim, a Kamil się nie przypomniał. Nie, to nie – pomyślałam.

– Nie będę gówniarza prosić.

Nie chciałam się przyznać, ale dotknęło mnie to.

*

W czasie jazdy do domu myślałam o tym, co usłyszałam od Lidki. Kiedy opadły emocje, musiałam przyznać dziewczynie rację. Nic nie wiedziałam o jej losach, to fakt. Mimo to nie potrafiłam pojąć, jak można nie zrobić wszystkiego, co możliwe, żeby odzyskać dziecko. Ale nie, ona wolała żyć z zasiłków w zagrzybionym pokoju. I taka kobieta miała czelność zarzucać mi, że się wymądrzam. Bezczelna! Zresztą ona też nic o mnie nie wiedziała. Miałam prawo powiedzieć to, co powiedziałam, bo do wszystkiego doszłam własnym uporem i ciężką pracą. Nikt mi tych pieniędzy nie podarował. Naprawdę wkurzali mnie ci ludzie! A ten młody też był dobry! Obraził się, czy co?

W bojowym nastroju dojechałam do domu. Poczułam się jak dawno temu, gdy wracałam po udanej rozmowie z klientem. Krew szybciej krążyła w żyłach, miałam ochotę żyć, działać. Z tej radości zrobiłam sobie na kolację królewską ucztę – sałatkę z łososiem, bagietkę z masełkiem czosnkowym i rozmroziłam kawałek świątecznego pasztetu. Muszę przecież uzupełnić utracone kalorie – tłumaczyłam sobie.

Najedzona i zadowolona rozsiadłam się w salonie z zamiarem kontynuowania wieczoru przyjemności. Dobry film, a może po prostu jakaś komedia, żeby podtrzymać nastrój? Przerzucałam kanały w poszukiwaniu czegoś, co przykułoby moją uwagę, gdy zadzwonił telefon. Dawno nie słyszałam tego dźwięku, więc w pierwszej chwili nie mogłam skojarzyć, skąd pochodzi. Wreszcie zidentyfikowałam dzwonek i znalazłam słuchawkę, którą poprzedniego dnia rzuciłam w kąt fotela.

– Słucham?

– Dobry wieczór, Nata! – usłyszałam po drugiej stronie głos Darka.

– Dobry wieczór.

– Słyszę, że humor ci dopisuje – zauważył mój były. Ucieszyłam się. Bardzo dobrze, niech nie myśli, że bez niego nie potrafię cieszyć się życiem.

– Owszem, miałam bardzo miły dzień – potwierdziłam z satysfakcją. – Zakończony wyśmienitą kolacją. A to jeszcze nie koniec atrakcji na dziś – w sumie nie kłamałam przecież. A że zabrzmiało dwuznacznie – uznajmy to za przypadek. – No, ale nie dzwonisz chyba po to, żeby dowiedzieć się o moje samopoczucie... I chyba już ci mówiłam, że nie życzę sobie kontaktów z tobą.

Darek chrząknął. Znałam go doskonale i już wiedziałam, że chce powiedzieć coś trudnego. Nie zamierzałam niczego mu ułatwiać. Rozsiadłam się wygodniej na kanapie i zamachałam radośnie palcami stóp.

– Nata, jesteś tam?

– Jestem, jestem.

– Dzwonię do ciebie z ogromną prośbą.

Proszę, proszę, pan prezes, twardziel i rekin biznesu, ma do mnie prośbę. No, ciekawe, ciekawe...

– Nata!

– Jestem.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Mam wrażenie, że to ty chciałeś coś powiedzieć, więc czekam.

– Za kilka dni koniec miesiąca i powinienem wpłacić ci kolejną część tej kasy, wiesz?

– Mówisz o mojej części majątku? – A, co! Nie będę owijała niczego w bawełnę.

– Tak. Właśnie o tym.

– Cieszę się, że pamiętasz.

– Pamiętam, ale sęk w tym, że nie będę miał tych pieniędzy w terminie. Potrzebuję trochę więcej czasu.

Wiesz, większość gotówki jest zamrożona w projektach, klienci też płacą z coraz większym opóźnieniem.

To już nie to, co pamiętasz. Kryzys i nas dotyka...

Słuchałam jego wyjaśnień i przypomniał mi się Przemek z jego narzekaniem. Od razu poczułam przypływ adrenaliny.

– Już dziś słyszałam od pewnego faceta podobne argumenty – przerwałam wywód byłego męża.

– Widzisz! – wyraźnie się ucieszył. – Wszystkim daje się we znaki ta sytuacja. Ale co ja słyszę?

Zacząłś rozkręcać coś nowego? Jaka branża?

– Nie zmieniaj tematu, proszę. Nie zagadasz mnie. Pamiętaj, że jak nikt znam twoje sztuczki.

– Daj spokój, Nata, przecież nie próbowałbym z tobą takich numerów. – Znałam doskonale ten miły ton.

Zazwyczaj przeznaczony był dla szczególnie dobrych klientów, dzisiaj dla mnie. Wyglądało na to, że

naprawdę mu zależy. – Po prostu mam nadzieję, że zrozumiesz. Dla ciebie nie ma różnicy, możesz trochę

poczekać, a wiesz, jak jest w firmie – jeżeli teraz nie zainwestuję, to w przyszłości nie mam co liczyć na

zyski.

Ta sama śpiewka, co zawsze. Ja powinnam zrozumieć, poczekać. A już zwrot: „Daj spokój, Nata!”

podniósł mi ciśnienie. Przed oczami przeleciały z szybkością błyskawicy dziesiątki sytuacji, w których

go słyszałam i rezygnowałam ze swojego zdania, własnych pragnień i potrzeb. O nie, mój drogi! Nie tym

razem!

– Darczku – zaczęłam słodko. – Naprawdę nie interesują mnie twoje inwestycje. Mam własne plany,

które uwzględniają wykorzystanie mojej części pieniędzy. Zresztą nie muszę ci się tłumaczyć, prawda?

Jest wyrok sądu i chcesz czy nie, musisz się do niego dostosować.

– Doskonale wiesz, że jest jeszcze coś takiego jak dobra wola...

– Kiedyś miałam jej sporo, ale najwyraźniej limit się wyczerpał.

– Jak chcesz. – Głos po drugiej stronie linii stwardniał. – Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że tak

zareagujesz. Chociaż miałem nadzieję na nic porozumienia. Liczyłem na rozsądny układ dojrzałych ludzi

na pewnym poziomie. Cóż, przeliczyłem się.

– Najwyraźniej.

– Wobec tego będę szczery. Nie dostaniesz tych pieniędzy, bo ich po prostu teraz nie mam. Zapłacę

najszybciej, jak będę mógł, ale raczej nie stanie się to wcześniej niż za dwa, trzy miesiące.

– Skoro postawiłeś na szczerość, zrewanżuję ci się tym samym. Nie podaruję ci ani dnia. Przypominam,

że to moje pieniądze, pracowałam na nie.

– I pomyśleć, że wszystkiego cię uczyłem... – W głosie Darka wyraźnie brzmiała złość.

– Tak, i bardzo ci za to dziękuję. A że pojętna ze mnie uczennica, to wiedz, że jeżeli spóźnisz się

choćby jeden dzień, spodziewaj się wizyty komornika. I dolicz do należności odsetki. Wiesz, że mam

doskonałego prawnika. – Przed oczami stanęła mi kasztanowa czupryna Mateusza i, nie wiadomo dlaczego, zarozumiała Jolanta, co jeszcze bardziej mnie zdenerwowało.

– Nie spodziewałem się tego po tobie.

– Jak widać, nie zdążyłeś poznać mnie tak dobrze, jak sądziłeś. Jakoś wcale nie jest mi przykro z tego powodu.

– W tej sytuacji chyba nie mamy już o czym rozmawiać.

– Wyjątkowo się z tobą zgadzam.

– W takim razie: dobranoc.

– Miłego wieczoru! – zakończyłam złośliwie i nacisnęłam czerwony guziczek.

Co za bezczelność! Nie mamy o czym rozmawiać – przedrzeźniałam go w myślach. Jasne, jedyny wspólny temat, jaki możemy podjąć to pieniądze. Tyle pozostało z naszej miłości i wspólnie przeżytych lat. Co za szczęście, że trafił na mój waleczny nastrój. Gdyby zadzwonił kilka dni wcześniej, pewnie zgodziłabym się poczekać. Nawet dziś odruchowo chciałam przystać na jego propozycję. W końcu zawsze się godziłam. Wzruszyłyby mnie niechybnie opowieścią o kryzysie, ale wspomnienie Przemka nie pozwoliło mi ulec tak łatwo.

Powinna cieszyć się ze zwycięstwa, przynajmniej tego moralnego, bo jak znam życie, to pieniędzy prędko nie zobaczę. Jediną satysfakcją było pogiębienie drania. A jednak coś nie pozwalało mi się cieszyć. Czyżby naprawdę miał problemy? Niepłacący klienci to prosta droga do utraty płynności finansowej. Mam nadzieję, że sobie poradzi. Wychodziliśmy z gorszych tarapatów, szczególnie w czasie, gdy przepisy zmieniały się z dnia na dzień. Darek zawsze znajdował wyjście z trudnych sytuacji.

Ogarnęło mnie wzruszenie. Wspomnienie początków wspólnego biznesu miało słodko-gorzki posmak. Tyle wysiłku, zmęczenie, ale i radość z udanych posunięć, nowych klientów, zakończonych projektów. Młoda dziewczyna i młody chłopak, pełni wiary i zapału do pracy. Otarłam zdradziecką łzę, która spłynęła mi po policzku. Nie, nie mogę pozwolić sobie na wzruszenia. Niech mu pomaga nowa narzeczona. Mnie należy się spłata, właśnie za tę ciężką pracę. I już nie muszę się martwić o żadną płynność finansową. Teraz pora na komedię. I filiżankę dobrej herbaty. Chociaż w głębi duszy miałabym ochotę na kieliszek wina.

*

Luty zaczął się mroźnie, ale śniegu było jak na lekarstwo. Opatulona po uszy wychodziłam do ogrodu, żeby sprawdzić, czy wiatr nie zwiął okryć na rododendronach i clematisach. Przemawiałam do nich jak do ludzi, zresztą zawsze lepiej wychodziły mi rozmowy z roślinami. Pocieszałam je, że wkrótce nadejdzie wiosna i razem rozpoczniemy nowe życie.

Kamil nie odezwał się. Pod wpływem impulsu zamówiłam pizzę, ale przywiózł ją nieznany dostawca. Najwyraźniej mój młody znajomy, jak to sam nazywał, strzelił focha. Było mi trochę przykro, że tak łatwo odrzucił pomoc, ale im dłużej o tym myślałam, tym bardziej zazdrościłam mu tej dumy i zdecydowania. Ja w jego wieku z łatwością i beztrząsą naginałam swoje zasady, żeby tylko osiągnąć zysk.

Nadal byłam wkurzona na bierność Przemka i Lidki. Postanowiłam, że pójdę na kolejne spotkanie. Moja nieobecność mogłaby zostać odczytana jako ucieczka, a ja nie bałam się ich ataków. Ciekawe, czy ktoś zdecyduje się na konfrontację?

Specjalnie nie spieszyłam się i tym razem dotarłam do ośrodka jako jedna z ostatnich. Rzuciłam ogólne powitanie, w odpowiedzi usłyszałam kilka mruknięć. Mateusz przywitał mnie z uśmiechem, ale nie odwzajemniłam go. Nie potrzebuję łaski. Niech się nie wysila, tutaj mu nie płacę.

– Co u was słychać? Ktoś ma coś do powiedzenia? – tradycyjnie zaczął Mariusz.

Widziałam, że Przemek od początku nie może usiedzieć na miejscu. Napięłam się, bo byłam pewna, że przemyślał przez tydzień moje słowa i przygotował sobie odpowiedź.

– Chciałem powiedzieć, że u mnie trochę zmian. W sumie to powinienem podziękować Nataszy. – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam, więc nie powiedziałam nic. A on kontynuował:

– Chyba potrzebny mi był taki solidny kopniak w tyłek. Najpierw mnie złość ogarnęła, bo co mi jakaś baba będzie mówić, jak mam żyć! Ale potem, kiedy wróciłem do domu i rozejrzałem się po warsztacie, to zrobiło mi się smutno. Bo ja w sumie to lubiłem grzebać pod maską, siedzieć w kanale. Od małego chłopaka mnie ciągnęło. A teraz wszystko stoi, a ja siedzę w kącie jak ten głupi... – zmełł pod nosem wulgaryzm. Westchnął. – Trzy dni myślałem i wymyśliłem. Syn mi zrobił na komputerze ulotki, nawet nie musiałem długo prosić. Zna się na tym, pieron jeden! – skomentował z dumą. – Córka obiecała, że zrobi mi ksero w pracy, tak żeby szef nie widział. Będę roznosił je po osiedlu.

– Ja po mieście dużo chodzę, to ci mogę roznieść – odezwał się Henio. – Gratis, po koleżeńsku. A jak złapię zlecenie na gazetki z hipermarketu, to też mogę dorzucać.

Przemek pokiwał głową w podziękowaniu.

– A najlepsze jest to, że jak się zebrałem, żeby podejrzeć, co konkurencja w okolicy robi, to spotkałem znajomego z młodych lat. I okazuje się, że on ma pomoc drogową. Pogadaliśmy, wpadł na kolację, moja się postarała i stanęło na tym, że jak będzie ściągał wóz i nie będzie musiał do autoryzowanej, to do mnie podrzuci. Za prowizję, honorowo. I pomyślałem, że Natasza miała rację – w warsztacie jak siedzę, to pieniędzy nie wysiedzę. Dałem mojej Kryśce komórkę i powiedziałem, że będzie zlecenia przyjmować, żebym ja nie musiał roboty przerywać. Taka się ważna poczuła! A jak wczoraj ten Stachu pierwszy wóz na lawecie przywiózł, to nawet na kolację moje ulubione śledziki zrobiła. – Roześmiał się i poklepał się po wydatnym brzuchu.

– Cieszymy się razem z tobą – powiedział Mariusz i grupa, jak to miała w zwyczaju, wyraziła to oklaskami.

Jednak kilka słów prawdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło – pomyślałam. – I co, może nie miałam racji, że pora przerwać to głaskanie się po głowach? – rozejrzałam się z dumą.

Po Przemku głos zabrał Kamil. Opowiedział o imprezie u kolegi i o tym, że ciężko mu było powstrzymać się od picia.

– Wcisnąłem kit, że biorę antybiotyk i wreszcie dali mi spokój.

– Nadal nie przyznałeś się, że masz problem z piciem? – Jolanta miała taki ton głosu, jakby każdego chciała skarcić. Nie wiem, jak oni to wytrzymywali, ale Kamil wydawał się nie odczytywać jej pytania jako złośliwego.

– Jakoś nie potrafię. Kilku chłopaków wie, ale nie wysypią się przed resztą. Co by powiedzieli ludzie – rock, melanże i abstynencja? – próbował żartować, ale widać było, że nadrabia miną.

– Nie każdy przecież musi wiedzieć. W końcu nie ma obowiązku noszenia na rękawie opaski z napisem AA. – W głosie Jolanty pobrzmiwały tym razem nutki żalu.

Kamil pokiwał głową. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale domyśliłam się, że ta nienaganna elegantka

także przed kimś ukrywa swój problem. Stąd te pełne zrozumienia spojrzenia, jakie wymieniała z młodym chłopakiem.

– Wszyscy wiemy, jak ważne jest wsparcie najbliższych w procesie terapii – włączył się Mariusz. – Ale mamy świadomość, że nie zawsze możemy na nie liczyć. Dlatego tu jesteśmy, pomagamy sobie w trudnych chwilach.

– Właśnie, a gdzie Lidka? – nieoczekiwanie zapytała Luiza. – Nie dzwoniła powiedzieć, że jej nie będzie. Ktoś coś wie?

Członkowie grupy patrzyli pytająco na siebie, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć. Wreszcie spojrzenia skupiły się na Mariuszu, który pokiwał głową.

– Jak to: zapiła?! – wrzasnęła Luiza. – Przecież tak dobrze jej szło! Trzymała się, dawała radę!

– Wiesz, jak jest... – zaczął Heniek, ale kobieta mu przerwała.

– Co mi będziesz gadał! Lidka jest jeszcze świeża, potrzebowała wsparcia. To jej wina! – W oskarżycielskim geście skierowała palec prosto na mnie. – Zdołowałeś Lidkę, zmieszałeś z błotem! – rozpłakała się.

Nieoczekiwany atak zupełnie mnie zaskoczył. W jednej chwili z wyzyny satysfakcji wpadłam w dół wyrzutów sumienia. Z pomocą przyszedł mi Mariusz.

– Dzwoniła do mnie jej kuratorka. Powiedziała, że policja zgarnęła Lidkę pijaną spod drzwi teściowej. Podobno najpierw rano spotkała córkę na placu zabaw, ale dziecko nie chciało z nią rozmawiać. Poszła i wróciła po dwóch dniach całkiem pijana. Teraz jest na odtruciu.

Grupa zamilkła. Każdy po swojemu przeżywał porażkę Lidki. Zastanawiałam się, ilu z nich wini mnie za to, co się stało. Złapałam doła. Straszno. Chciało mi się płakać.

Nikt nie miał ochoty na mówienie, więc Mariusz zarządził rundkę – każdy miał krótko powiedzieć, jak minął mu tydzień.

Mateusz mówił coś o spotkaniach z klientami i trudnościach, gdy odmawia przyjmowania od nich alkoholu. Zdziwiłam się, bo sama po zakończeniu sprawy podarowałam mu dobry koniak i przyjął bez oporów. No, ale od tamtej pory minęło półtora roku i wiele mogło się zmienić. Bo przecież pan mecenas nie oszukiwałby grupy – podsumowałam ironicznie.

Heniek nie miał nic ciekawego do powiedzenia, zresztą niezbyt mogłam się skupić na jego wywodach. Myślałam o Lidce i swoim udziale w jej zapiciu. Odsuwałam wyrzuty sumienia, ale powracała natrętna myśl, że może potraktowałam ją zbyt ostro. Przemkowi pomogłam, sam przyznał, ale ona?

– Natasza, jesteś z nami? – usłyszałam. To Mariusz dawał znać, że nadeszła moja kolej.

Spojrzałam w oczy każdemu po kolei – Jolanta, Mateusz, Przemek, Kamil, Luiza, Heniek. Patrzyli wyczekująco. Mogłam zrezygnować, nie mówić nic, ale poczułam, że jestem to winna Lidce. W ramach jakiejś dziwnej pokuty zdecydowałam się wystawić lwom na pożarcie.

– Wczoraj, po ostatnim spotkaniu, zadzwonił mój były mąż... – opowiedziałam o całej rozmowie z Darkiem. Szło mi powoli i opornie, często przerywałam, żeby dobrać odpowiednie słowa. Z każdym zdaniem byłam coraz bardziej zdenerwowana.

Jak to możliwe? – zastanawiałam się. – Nigdy nie miałam problemów z publicznymi wystąpieniami. A mówiłam do naprawdę ważnych osób – prezesów i menadżerów.

– Dlaczego tak trudno mi do was mówić? – zdecydowałam się wyrazić swoje wątpliwości. – Przecież tak naprawdę nic w moim życiu od was nie zależy...

– Bo nas nie oszukasz, kochana. – Heniek pokazał w uśmiechu braki w uzębieniu. – Tych swoich prezesów mogłaś kłamać, wmawiać im wszystko, a nam nic nie wmówisz. My wiemy, jak to jest. Znamy wszystkie sztuczki alkoholików, bo przeszliśmy przez to.

Wiedziałam, że ma rację. Tutaj nie miałam szans na kłamstwo. Każdy z nich przejrzy mnie w sekundę.

– To może mi powiecie, dlaczego od czasu tamtego telefonu ciągle myślę o piciu? Skąd te wyrzuty sumienia? Przecież ta spleta mi się należy, to moje pieniądze. Już podczas poprzedniej terapii postanowiłam, że chcę je wykorzystać na pomaganie innym. A żeby ruszyć z moimi pomysłami, potrzebuję środków na inwestycje. Tyle osób czeka na pomoc, tyle kobiet. Choćby Lidka. Gdybym zaczęła działać, mogłabym dać kobietom w podobnej sytuacji realną pomoc – może mieszkanie albo pokój, może jakąś pracę. A przez Darka siedzę i czekam. Mam chyba prawo być na niego zła? Tak czy nie? Więc skąd te wyrzuty sumienia? Dlaczego czuję się jak wredna suka wyrywająca mu z gardła ostatni grosz? Jak jesteście tacy mądrzy, to mi powiedzcie! – przestałam nad sobą panować.

– Poczucie winy to bardzo dobra wymówka. – Przemek odezwał się pierwszy, podając mi chusteczkę. – Też tak miałem. Jak się wypije, to się o nich zapomina. A na kacu wracają, jeszcze większe. I znowu trzeba się napić. Dopiero jak zrozumiałem, że sam je wymyślam, żeby mieć pretekst do otwarcia butelki, zaczęło być lepiej. Ty naprawdę go żałujesz?

Pokiwałam głową. Niełatwo mi było się przyznać, ale tak było. Wolałabym go nienawidzić, ale nie umiałam.

– To trzeba było dać mu trochę czasu – włączyła się Jolanta. – Musisz się zdecydować: albo wredna suka, albo cię na to nie stać. Jak chcesz wytrzymać, musisz być szczerą wobec siebie. Inaczej się nie da.

– Próbuję przecież, ale to nie takie proste – rozmazałam się na dobre.

– To, co chcesz robić, można zacząć bez kapitału – dodał swoje trzy grosze Mateusz. – Zastanów się, jaka to ma być pomoc i wybierz formę prawną...

– Nie potrzebuję porad pana mecenas – przerwałam mu w pół zdania.

– Tak słucham i próbuję rozkminić, o co ci chodzi z tym pomaganiem. – Kamil potarł dłonią swoją blond bródkę. – I wydaje mi się, że najpierw trzeba pomóc sobie, zanim można innym. To raz. A dwa, to czy ty myślałaś, dlaczego tak chcesz pomagać? Bo wiesz, różnie bywa...

– No, młody ma rację. – Heniek pokiwał głową z przekonaniem. – Sam wiem. Są tacy, co chcą coś dać, bo uważają mnie za gorszego i chyba im wstyd. Albo lubią, jak im się dziękuję...

– Albo czują się samotni – dodała Jola.

– A Lidce to już próbowałaś pomóc. Słabo wyszło... – Luiza najwyraźniej nadal była przekonana o mojej winie.

Jasne, już wiedzą. Tacy mądrzy i doświadczeni. Piękna grupa wsparcia! Nie usłyszałam ani jednego dobrego słowa. Pewnie w ramach zemsty za swoją koleżankę. Taka cicha zmowa. I nawet Kamil, któremu ze szczerego serca chciałam pomóc... Miałam dość. Puściły mi nerwy.

– Łatwo wam mnie oceniać, prawda? Tydzień temu usłyszałam, że wydaję wyroki, a nie znam całej sytuacji. A wy? Robicie to samo. Nic o mnie nie wiecie, pojęcia nie macie, w jaki sposób doszłam do tego, co mam. Nie obchodzi was, co czuję naprawdę, bo wydaje wam się, że wiecie to lepiej. Nie potrzebuję waszych pouczeń. Całe życie byłam pouczana. Tego właśnie mam dosyć. Chcę robić nareszcie to, co uważam za właściwe, a nie to, co inni uznają za dobre dla mnie. Mam gdzieś wasze rady! Bo to nie rady, ale czysta złośliwość.

Zerwałam się, potrącając krzesło, które upadło z hukiem na podłogę. Zabrzmiało jak wystrzał w całkowitej ciszy, która nagle zapanowała w sali. Nie miałam zamiaru czekać na koniec spotkania. Mam gdzieś ich głupie zasady! – pomyślałam. – Sami ich nie przestrzegają.

Wybiegłam, trzaskając drzwiami. Otworzyłam drzwiczki samochodu, ale byłam zbyt roztrzęsiona, żeby jechać. Łzy zalewały mi oczy.

Nigdy, nigdy więcej! Teraz już żadna siła mnie nie zmusi, żebym pojawiła się na kolejnym spotkaniu. Nie pasuję do tego stada, do zbieraniny, która nie szanuje innych. Wyraźnie dali mi do zrozumienia, że nie akceptują nowych, zresztą nie zależy mi na tym. Od początku czułam, że to nie jest dobra decyzja. Dałam się namówić Podkańskiemu, zupełnie bez sensu.

Położyłam głowę na kierownicy i pozwoliłam płynąć łzom. Nie wiem, jak długo tak siedziałam. W głowie miałam istny Armagedon. Myśli kłębiły się w niekontrolowany sposób, jakieś urywki wypowiedzianych w sali zdań, strzępki emocji. Dałam im płynąć, przychodzić i odchodzić. Nawet nie próbowałam ich kontrolować. Musiały ułożyć się same, żebym odzyskała chociaż tyle spokoju, aby dojechać do domu. Przez uchyloną szybę wpadła do środka biała drobinka i musnęła chłodem mój rozpalony policzek. Pada śnieg – pomyślałam, ale nie miałam siły na zamknięcie okna.

*

– Natasza, dobrze się czujesz? – Z odrętwienia wyrwał mnie głos Mariusza.

Nie miałam ochoty odpowiadać. Niech wszyscy dadzą mi święty spokój! Jednak terapeuta nie zamierzał zrezygnować.

– Siedzisz tu prawie godzinę. Na pewno przemarzłaś do szpiku kości. Wsiadaj i wejdźmy do środka. Musisz się rozgrzać.

Dopiero wtedy poczułam, że wieczorny mróz przeniknął przez kurtkę i spodnie. Dłonie, na które nie założyłam rękawiczek, szczypały, a każdy ruch palcami powodował ból. Wolałabym odrzucić zaproszenie, ale w takim stanie trudno byłoby utrzymać kierownicę. Popatrzyłam na Mariusza, westchnęłam zrezygnowana i wysiadłam z samochodu. Starając się poruszać palcami ściśniętymi w czubkach kozaków, podreptałam posłusznie za mężczyzną.

Usiedliśmy w pokoju, w którym rozmawiałam z nim po raz pierwszy. Kolejny zaliczany przeze mnie gabinet terapeutyczny. Czułam się zupełnie pusta w środku, wypalona, pozbawiona nadziei. Zastanawiałam się, czy tylko ze mną tak jest, czy też każdy, kto ma problemy, musi przejść tak trudną drogę?

– Czy ze mną jest coś nie w porządku? Jestem szczególnie trudnym przypadkiem? Beznadziejnym? – zapytałam z rezygnacją.

Mariusz nie odpowiedział od razu. Spokojnie włączył czajnik i wyjął z szafki dwa kubki. Dopiero kiedy zalał wrzątkiem torebki owocowej herbaty i postawił gotowy napój na stoliku, zajął miejsce na swoim krześle i powiedział:

– Każdy chciałby być wyjątkowy. I w pewnym sensie jest. Tyle że to niczego nie ułatwia ani nie utrudnia. A już tym bardziej nie usprawiedliwia.

Zamyśliłam się. Tak, w sumie miło jest być jedyną w swoim rodzaju, ale Mariusz ma rację – nic z tego nie wynika.

– Potrafisz mi pomóc?

– Zapytaj raczej, czy ty potrafisz sobie pomóc. Tym bardziej że chcesz wspierać innych.

– Teraz już nie wiem, czy potrafię i czy w ogóle powinnam się za to brać. Sam widziałeś, jak mi idzie.

– Wcale nie najgorzej. – Mariusz się uśmiechnął. – Pięćdziesiąt procent skuteczności to dobry wynik jak na początek. Może przydałoby się więcej wycucia, mniej emocjonalnego podejścia, ale to przychodzi z czasem.

– Miło, że starasz się mnie pocieszyć, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Pomilczeliśmy chwilę. Powoli zaczynało powracać czucie w palcach stóp, zrobiło mi się cieplej, więc zdjęłam kurtkę. Podniosłam kubek. Rozgrzana ceramika przekazywała ciepło moim zmarzniętym dłoniom. Przyglądałam się niebieskim kwiatuśkom namalowanym na kubeczku i przyszły mi na myśl łąki, po których spacerowałam w dzieciństwie. To wspomnienie rozczuliło mnie.

– Nie nadaję się do terapii grupowej. Nie przyjdę już.

Mariusz upił łyk herbaty i spojrzał pytająco.

– Naprawdę nie rozumiesz? Nie nadaję się, nie czuję tych ludzi. Na pewno się z nimi nie zaprzyjaźnię, ciężko mi otworzyć się tak szybko, to dla mnie obce osoby. Co jeszcze mam powiedzieć, żebyś mnie zrozumiał?

– W ogóle nie musisz mi się tłumaczyć. Masz prawo wybierać to, co czujesz, że może ci pomóc. Obserwowałem cię podczas spotkań i rzeczywiście chyba zbyt pochopnie uznałem, że grupa będzie najlepszym wyborem. No, ale z drugiej strony, jeżeli się nie spróbuje, to nigdy nie wie się na pewno.

– Czyli zgadzasz się ze mną?

– W pewnym sensie. Grupa nie jest dla ciebie w tym momencie. Za to myślę, że w końcu będziesz musiała spróbować. Praca nad relacjami, byciem wśród innych i z innymi jest ci bardzo potrzebna. Czujesz podobnie?

Pokiwałam głową.

– Proponuję zatem następujący plan: indywidualna terapia ze mną, bo nadal potrzebujesz wsparcia w abstinencji. Zresztą emocjonalnie też jesteś rozbita. A kiedy już poukładasz swoje uczucia, sama poszukasz jakiejś grupy, niekoniecznie AA. Są grupy rozwoju osobistego, coś innego też się znajdzie. Co ty na to?

W tym momencie najchętniej zaszyłamby się w ciemnym kącie. Trudno mi było świadomie planować.

– Chciałabym się zastanowić...

– Nad czym? Czy podjąć wysiłek, czy siedzieć samotnie w domu i wreszcie zapić? Bo taki, Nataszo, masz wybór. Czasami się myślę, ale widziałem wiele podobnych przypadków. Mam świadomość, że podjęcie decyzji to zobowiązanie. I dlatego właśnie będę nalegał. Jesteś osobą, która dotrzymuje obietnic. Powiesz, że przyjdiesz, to przyjdiesz.

– Niekoniecznie.

– Pewności nigdy nie ma, ale chciałbym zwiększyć prawdopodobieństwo.

– Nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy... Nawet dobrze mnie nie znasz. Na moje miejsce będziesz miał na pewno wielu chętnych.

– Masz rację, chętnych nie brakuje. Dobrze, żebyś miała i tego świadomość. Nie boję się, że zabraknie mi pracy. Mimo to zależy mi na tobie. Tak jak na każdej osobie, która tutaj przychodzi i potrzebuje pomocy. Gdybym tak łatwo odpuszczał, nie byłbym dobrym terapeutą. A już na pewno nie od uzależnień.

Wybrałem swój zawód świadomie, bo chcę wspierać potrzebujących. A do tego trzeba być wytrwałym, czasem bardziej niż ci, którzy do mnie przychodzą. Kiedy to zrozumiesz, będziesz mogła robić to, co planujesz. I uwierz, że bez tego niewiele osiągniesz.

Nie spodziewałam się takich słów. Dotknęły głębokich zakamarków mojej duszy, trafiły do mnie. Czułam, że są szczerze i prawdziwe. W tym była ich siła. Ogrzały mnie bardziej niż owocowa herbata, dodały sił i pokazały cel.

– Sądziś, że się uda? – Był kolejną osobą, którą o to pytałam. Najwyraźniej ciągle jeszcze tak naprawdę w to nie wierzyłam, ciągle brakowało mi pewności i wiary w siebie.

– A ty w to wierzysz? Bo uda się dopiero wtedy, gdy ty będziesz miała pewność. Proponuję środę o jedenastej. Może być?

Odstawiłam pusty kubek i sięgnęłam po kurtkę.

– Dziękuję ci. Nie tylko za herbatę.

– Do zobaczenia w środę.

*

Rozmowa z Mariuszem, choć krótka, bardzo wiele mi dała. Przede wszystkim wewnętrzny spokój, dzięki któremu postanowiłam wreszcie uporządkować swoje życie. Naprawdę miałam dosyć huśtawki nastrojów, ciągłych skrajności, braku celu. Tęskniłam za zaplanowanymi dniami, poczuciem, że coś robię, sprawy idą naprzód, dążę do czegoś.

Potrzebowałam pomocy w uporządkowaniu puzzli moich pomysłów, emocji i planów w jeden spójny obrazek. Tak określiłam swoje oczekiwania podczas kolejnej wizyty w ośrodku.

Mariusz powrócił do ostatniego spotkania grupy. Spokojnie przeanalizowaliśmy to, co powiedzieli jej członkowie. Upływ czasu pozwolił mi spojrzeć na ich opinie spokojniej, bez targających mną emocji. Uznałam za szczególnie cenne słowa o byciu szczerym wobec siebie. Często z tego rezygnowałam i zapisałam to jako jeden z głównych powodów sięgania po alkohol.

To były trudne rozmowy, bo tym razem musiałam szukać przyczyn w sobie, nie było mowy o winie najbliższych czy niesprzyjających okolicznościach. Niełatwo uznać siebie samego za twórcę własnych problemów. Wszystko się we mnie burzyło, ale postanowiłam, że jeśli mam wreszcie ruszyć z miejsca, muszę współpracować.

Zrobiłam listę sytuacji, w których mam ochotę się napić i kiedy najtrudniej mi nad sobą zapanować. Zaczęłam powoli planować unikanie ich lub niedopuszczanie do tego, żeby zaistniały. Układałam co wieczór plan na następny dzień, bardzo szczegółowy, i starałam się go trzymać. Największą uwagę poświęcałam wieczorom, nie chciałam znowu doświadczać pustki i samotności. Zaangażowałam się też w dyskusje na forum dla kobiet-alkoholiczek. Tam było mi łatwiej, bo mogłam być anonimowa. Rozmawiałam z dziewczynami nie tylko o terapii, ale i o normalnych babskich sprawach – gotowaniu, ciuchach, kosmetykach. Mariuszowi bardzo spodobał się ten pomysł, a ja byłam z siebie dumna.

Przypominałam też sobie słowa Mateusza, że mogę zacząć realizację swoich planów bez nakładów finansowych. Przemyślałam to i przyznałam mecenasowi rację. Przejrzałam księgarnie internetowe, skonsultowałam się z Mariuszem i wkrótce kurier przyniósł mi solidną porcję lektury. Teraz miałam co robić – przypominałam sobie wiedzę z czasów studiów, poznawałam nowe metody pracy, dowiadywałam

się o rodzajach i formach pomocy. Nareszcie poczułam, że robię coś konkretnego, że kładę pierwsze cegielki pod budowę nowej siebie i zmianę mojego życia na lepsze. Lepsze dla mnie.

Czas mijał mi teraz szybko, zasypiałam natychmiast, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, a mimo to budziłam się bardziej wypoczęta niż wtedy, gdy leniuchowałam całe dni. Znalazłam czas na pójście do fryzjera, a może bardziej ochotę? Podciąłam włosy, pani Tereska położyła mi złotobrazową farbę i orzekła, że wyglądam dziesięć lat młodziej. I tak też się czułam. Na dodatek ani razu nie pomyślałam o kieliszku wina czy drinku. To dawało mi dodatkowy bodziec do działania. Byłam tak zadowolona z nowego wizerunku, że po raz pierwszy w życiu zrobiłam zdjęcie samej sobie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nazywa się to „selfie”. Po prostu chciałam utrwalić Nataszę, która wreszcie zaczęła dokonywać szczerego rozliczenia ze sobą i dobrze się z tym czuła.

Marzec, zgodnie z przysłowiem, zafundował zmienną pogodę. Raz świeciło słońce, a następnego dnia powracały mrozy. Oj, przydałaby ci się terapia – śmiałam się z niego w duchu – strasznie masz zmienne nastroje. Każdego ranka odmrażałam szyby w samochodzie i cieszyłam się z tego, bo wiedziałam gdzie i po co mam pojechać. Może nie były to bardzo ważne sprawy, najczęściej zakupy albo wizyta w klubie fitness, ale trzymałam się swojego celu i tylko to się liczyło.

Niecierpliwie czekałam na wiosnę, miałam już zaplanowane prace w ogrodzie. Wyobrażałam sobie, co posadzę, gdzie wprowadzę zmiany. Tego wieczoru postanowiłam przejrzeć oferty na Allegro i właśnie zajęta byłam oglądaniem zdjęć krzewów, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzałam niechętnie na słuchawkę. Nie umawiałam się z nikim, więc to pewnie kolejny telemarketer oferujący ubezpieczenie, telewizję kablową lub zapraszający na pokaz rewelacyjnych garnków. Postanowiłam nie odbierać. Dzwonek zamilkł, jednak po chwili na nowo zabrzmiał z całą mocą, jakby dawał do zrozumienia, że osoba po drugiej stronie linii nie zamierza zrezygnować. Trudno, odbiorę – pomyślałam. – Spławię go szybko i będę miała spokój. Rzuciłam tęskne spojrzenie na monitor i podniosłam się z krzesła.

– Słucham?

– Dobry wieczór, mówi Mateusz Sajanowicz. To ty, Nataszo?

– Dobry wieczór. Tak, to ja. – Nie miałam pojęcia, w jakiej sprawie może do mnie dzwonić. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że wynajął go Darek, żeby wymusić na mnie dalsze odroczenie spłaty. – Dzwonisz służbowo czy prywatnie?

– Dlaczego służbowo? – w głosie brzmiało zdumienie. – Najzupełniej prywatnie. Wiem, że nie będziesz już przychodziła na grupę...

– Zgadza się, nie będę.

– Mariusz nam powiedział. Rozmawialiśmy o tym i dzwonię, żeby cię poprosić, abyś jeszcze raz to przemyślała. Bo widzisz, grupa naprawdę pomaga. Mnie pomogła.

Ciekawe, Mariusz nie mówił, że o mnie pytali, ani słowem nie wspomniął, że rozmawiali na mój temat. Zrobiło mi się miło, nie spodziewałam się, że w ogóle obejdzie ich moja nieobecność.

– Dzwonisz jako delegat? Masz mnie namówić do powrotu?

– Nie, nie, źle mnie zrozumiałaś. Dzwonię z własnej woli. Pomyślałem, że może pogadamy i jakoś cię przekonam. Zdaję sobie sprawę, że mogło ci być trudno, ale na początku tak jest. Z czasem poznasz wszystkich lepiej, zaakceptują cię, jestem o tym przekonany.

Pozwoliłam mu dokończyć.

– Posłuchaj, dziękuję, że zadzwoniłeś. To miłe z twojej strony, nie musiałeś. Doceniam to, naprawdę.

Tylko że ja nie wrócę na grupę. To nie moja bajka, nie moja droga. Nie musicie się martwić, spotykam się z Mariuszem indywidualnie.

– Skoro tak... Nie będę naciskał. – Miałam nadzieję, że to już koniec pogaduszek z prawnikiem. Krzewy wzywały. A jeszcze byłam umówiona na rozmowę z dziewczynami z forum.

– Ale wszystko u ciebie w porządku? Nie potrzebujesz czegoś? – Mateusz najwyraźniej miał zamiar kontynuować pogawędkę.

– Wszystko okej, naprawdę. Niczego mi nie trzeba, doskonale sobie radzę.

– Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to znasz mój telefon.

– Oczywiście, mam wizytówkę. Na razie jednak nie potrzebuję usług prawnika – roześmiałam się, ale Mateusz nie zawtórował.

– W takim razie przekażę grupie, że nie wrócisz. Miło było cię usłyszeć. Dobranoc.

Z radością powróciłam do przerwanej zajęcia. W ciągu godziny wybrałam i zamówiłam potrzebne rośliny. Już widziałam czarny bez w rogu ogrodu, a przy nim żółto kwitnącą forsycję. A z drugiej strony perukowiec o ciemnych liściach w sąsiedztwie krzewuszki.

II

Pytaj, gdy chcesz wiedzieć!

Ściana biało kwitnących krzewów, przed nimi kępy piwonii o kwiatach tak dużych, że przyginają łodygi do ziemi. Na trawniku, którego soczystą zieleń rozświetlają białe punkciki stokrotek, stoi błyszczący rower z koszykiem wypełnionym najbardziej rozkwitniętymi roślinami. Przy tylnym kole leży jeden różowy kwiat, niczym samotny indywidualista chcący podkreślić swoją niezależność, będący jednak dopełnieniem kompozycji...

Zima mocowała się z wiosną do połowy kwietnia. Mroźne powietrze nie dawało za wygraną, nocne przymrozki niweczyły wysiłki nieśmiałego słońca, które podczas krótkich jeszcze dni próbowało obudzić rośliny z zimowego snu. Wreszcie, zupełnie nieoczekiwanie, wiosna odniosła zwycięstwo i w ciągu kilku dni wszystko wokół pokryło się drobnymi listkami. Pierwsze kwiaty jakby czekały na tajemny sygnał o odejściu zimy, żeby natychmiast wystawić delikatne główki z odmarzłej już ziemi.

Każdego ranka, jeszcze przed śniadaniem, wychodziłam do ogrodu, żeby popatrzeć na krokusy, żonkile, hiacynty i tulipany odważnie wyciągające się ku górze, aby uchwycić każdy promień wiosennego słońca. Obserwowałam forsycję, pierwsze listki na bzach i coraz piękniej zieleniące się trawniki. Kontakt z naturą dawał mi energię do działania na cały dzień. Wyobrażałam sobie, że rosnę razem z moimi roślinkami, że rozwinę się i rozkwitnę tak, jak one.

Opowiadałam wschodzącym szafirkom, jak minął mi poprzedni dzień. Dzieliłam się z młodymi listkami żywopłotu swoimi planami, a srebrny świerk został milczącym słuchaczem, któremu zwierzałam się z wątpliwości. Naprawdę kochałam swój ogród.

Po kolejnych spotkaniach z Mariuszem nabierałam spokoju, udawało mi się lepiej panować nad emocjami, już nie wpadałam nagle w euforię, aby za chwilę pogrążyć się w depresji. Znalazłam w sieci zestaw ćwiczeń oddechowych, które pomagały mi w chwilach zwątpienia. Dużo dawał mi także wysiłek fizyczny. Po treningu poprawiał mi się humor, a fizyczne zmęczenie paradoksalnie dodawało siły.

Zaakceptowałam swoje słabości, próbowałam polubić wady. Przekonałam się, że kiedy nie wymagam od siebie bycia idealną, jestem mniej spięta i łatwiej mi po prostu żyć. Uczyłam się metody planowania małymi krokami, dzielenia drogi do celu na kolejne etapy, a przede wszystkim czerpania radości z każdego, nawet drobnego, sukcesu.

Chociaż starałam się unikać wspomnień, czasami rozmyślałam, jakie byłoby moje życie, gdybym wcześniej doszła do tego, co robiłam teraz. Mariusz tłumaczył, że to bez sensu, bo właśnie wszystkie moje dotychczasowe przeżycia były impulsem do zmiany. W sumie zgadzałam się z nim, ale takie refleksje i tak czasami snułam.

W jednym z takich momentów, kiedy myślałam o swoim małżeństwie, o czasach, gdy dopiero poznałam Darka, o tym jacy byliśmy wtedy szczęśliwi, emocje jednak wzięły górę nad rozsądkiem. Sięgnęłam po telefon i wybrałam numer.

– Witaj, nie przeszkadzam?

– Dobry wieczór, nie, nie przeszkadzasz. – Darek był najwyraźniej zdziwiony, słysząc mój głos.

– Czy moglibyśmy się spotkać? Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Jeżeli chodzi o pieniądze, to naprawdę robię, co mogę.... – starał się tłumaczyć.

– Tak, chodzi właśnie o to, ale nie chciałabym dyskutować przez telefon.

– W porządku. Dostosuję się – odpowiedział oficjalnym tonem, ale zbyt dobrze go znałam, żeby nie wyczuć zdenerwowania.

– Proponuję jutro o 17.00 w tej restauracji na rogu, obok agencji.

Teraz, skoro już zrobiłam pierwszy krok, nie wycofam się. Poszłam za głosem serca i wcale nie żałowałam. Przeciwnie, kolejny ciężar spadł mi z serca.

*

Jak to jest, że zawsze, kiedy rzeczywiście nam zależy, los lubi pokazywać, kto tak naprawdę rządzi. Ledwie wyjechałam z garażu, poczułam, że samochód w dziwny sposób zjeżdża na lewą stronę. Wiedziałam, co to oznacza. Złapałam gumę. Zawróciłam i wolniutko dotelepałam się z powrotem. Umiejętność zmiany koła posiadałam jeszcze wtedy, gdy mieliśmy pierwszy samochód, ale w tym momencie nie miałam czasu na zajmowanie się mechaniką samochodową. Zwłaszcza w sukience i jasnym płaszczu. Zamknęłam więc auto i wezwałam taksówkę.

Udało mi się dotrzeć do restauracji z niewielkim poślizgiem. Darek już czekał przy stoliku. Patrzył, gdy podchodziłam i dostrzegłam w jego oczach, że wyglądam dobrze. Kiedyś lubiłam to spojrzenie, teraz też sprawiło, że szybciej zabiło mi serce.

Zamówiliśmy makaron z sosem borowikowym, tak jak za dawnych lat, gdy wyskakiwaliśmy tu z pracy, żeby coś zjeść. Nie uszło mojej uwadze, że Darek nie zamówił alkoholu. Doceniłam tę delikatność.

Wymieniliśmy grzecznościowe formułki. Nie chciałam go trzymać w niepewności, więc przeszłam od razu do rzeczy:

– Postanowiłam uporządkować nasze rozliczenia. – Widząc, że nabiera powietrza, żeby coś powiedzieć, uciszyłam go gestem. – Nie przerywaj, zanim nie dowiesz się, co mam do powiedzenia. Nie chcę znowu zaczynać wędrówki po sądach i kancelariach prawnych. Mam co innego do roboty. Nie znaczy to jednak, że ci odpuszczam. Mam następującą propozycję: ustalimy taką wysokość rat, która będzie dla ciebie do udźwignięcia, a mnie pozwoli na realizację planów. Z tym że będę oczekiwała przelewów co do dnia, żadnych opóźnień. Odpowiada ci to?

Darek wyjątkowo długo oglądał szklanekę z wodą mineralną.

– Nie wiem, co powiedzieć... – zaczął powoli. – Przede wszystkim dziękuję. Nie spodziewałem się. Pewnie jeszcze nie wiesz, ale dziś poszedł przelew na połowę sumy. Tyle udało mi się zebrać. Co do reszty, to chętnie skorzystam z twojej propozycji. Nie kłamałem, naprawdę jest trudniej niż kiedyś...

Ustaliliśmy kolejne raty, a potem zajęliśmy się makaronem. Był tak samo smaczny jak kiedyś. Nie mówiliśmy więcej o rozliczeniach, gadaliśmy o pogodzie, wypytywałam go o dawnych klientów, opowiedział mi kilka plotek o starych znajomych. Dwie godziny minęły tak szybko, że aż zdziwiłam się, patrząc na zegarek.

– Będę już wracała. Czy możesz mi zamówić taksówkę?

– Nie przyjechałaś samochodem?

– Kapeć – wzruszyłam ramionami.

– W takim razie odwiozę cię.

Kiedy dojechaliśmy, dom wydał mi się wielki i pusty. Ciemne okna sprawiły, że poczułam dziwny lęk.

– Może wejdziesz na herbatę? – zapytałam, nie patrząc na Darka.

Zgodził się. Nie musiałam wskazywać drogi, znał ją doskonale. W końcu to przez wiele lat był jego dom.

Piliśmy herbatę w salonie. Pierwsza chwila, pełna napięcia, szybko minęła. Chyba oboje czuliśmy się radośni i zrelaksowani. Wypytywałam o firmę, jak radzi sobie z trudnościami. Darek odpowiadał chętnie, zauważyłam, że nadal zarządzanie jest jego pasją. Kiedy mówił o projektach, spotkaniach z klientami, miał oczy młodego chłopaka. Chwilami wydawało mi się, że na kanapie siedzi student psychologii, w spranych dżinsach i flanelowej koszuli w kratę.

Zapanowała serdeczna atmosfera. Śmialiśmy się, żartowaliśmy, pletliśmy właściwie o niczym. Już dawno nie spędziłam tak miłego wieczoru. Tak mogłoby być codziennie – przyszło mi do głowy i wystraszyłam się tej myśli.

– Jak późno – spojrzałam wymownie na zegar. Zrozumiał natychmiast i wstał z kanapy.

– Na mnie już czas. Zasiedziałem się zbyt długo.

– Nie ma sprawy, i tak nie miałam żadnych planów. Pomyślałam tylko, że może twoja żona się niepokoi

– powiedziałam i poczułam, że palnęłam głupstwo.

Nie odpowiedział. Dopiero kiedy wychodził, już stojąc na schodach, odwrócił się i powiedział:

– Nie mam żony.

*

Skoro moje roślinki rosły jak szalone, wypuszczały nowe listki, kwitły i rozwijały się, nie mogłam pozostać w tyle. Poza tym ich towarzystwo przestało mi wystarczać. W miarę jak czułam się coraz silniejsza, krystalizowały się moje plany na przyszłość. Pamiętałam słowa Mariusza o relacjach z ludźmi, wiedziałam, że przyszła pora na konfrontację z prawdziwym życiem. Dopóki moje kontakty z innymi ograniczały się do ekspedientek w sklepie, trenerki fitness i kosmetyczki, nie miałam pewności, że potrafię nawiązywać prawdziwe relacje.

Dziewczyny z forum były bardzo miłe, lubiłam je. Z niektórymi rozmawiałam bardziej prywatnie, ale to przecież nie miało wiele wspólnego z prawdziwym życiem. Okazywałyśmy sobie więcej wyrozumiałości, cierpliwości i zrozumienia niż komukolwiek spoza grona forumowiczek. Związane wspólną tajemnicą, świadome koszmaru uzależnienia, łączyłyśmy się we wspólnych radościach i smutkach, ale wyłącznie wirtualnie. A mnie zależało na prawdziwych znajomościach, na poznaniu kogoś nowego.

Wytrwale poszukiwałam w sieci czegoś dla siebie. Z ciekawością poznawałam kolejne nurty w psychoterapii, czytałam o pracy z ciałem, dramie, terapii przez sztukę, muzykę. Ileż tego było! Te, które mnie zainteresowały, przykuły uwagę na dłużej – zapisywałam. Zaplanowałam, że znajdę coś dla siebie do końca miesiąca. I chociaż teraz już tak sztywno nie trzymałam się swoich postanowień, to jednak starałam się realizować plany. Ten był szczególnie ważny, bo miał stanowić kolejny krok w drodze do celu, który wyznaczyłam – pomagania. Świadomego i rozsądnego. Dobrze zapamiętałam słowa Kamila – trzeba najpierw pomóc sobie. Właśnie byłam na tym etapie i czułam, że powinnam iść dalej. Z Mariuszem widywałam się teraz nieco rzadziej – co dwa tygodnie. To wystarczało. Miałam więc czas i możliwości na rozpoczęcie czegoś innego.

Po wielu przemyśleniach zdecydowałam się na roczny staż w Instytucie Terapii Gestalt. Wiedziałam o tym tyle, ile wyczytałam w książkach i na stronie internetowej instytutu, czyli niewiele, ale podobało mi się, że duże znaczenie w tym nurcie miało świadome postrzeganie siebie, osiąganie równowagi ciała i psychiki. Czytałam o możliwości zmiany, czerpaniu z otoczenia, poznawaniu siebie i czułam, że tego właśnie szukam.

Na dodatek siedziba instytutu była w Krakowie, więc decyzja o udziale w rocznym stażu wiązała się z powrotem do miasta, w którym spędziłam najlepsze lata, swoją młodość. Dopiero teraz poczułam, że tęsknię za Plantami, zakolem Wisły przy Wawelu, nawet za „Adasiem” na Rynku.

Niech więc będzie Gestalt – zdecydowałam i wysłałam zgłoszenie. Odpowiedź przyszła szybko. Okazało się, że jedna z osób zapisanych do grupy rozpoczynającej zajęcia już w maju musiała zrezygnować, więc zwolniło się miejsce. Potraktowałam to jako znak, potwierdzenie dobrego wyboru.

Pierwszy zjazd miał trwać aż pięć dni. Trening interpersonalny – brzmiało poważnie i przyznam, że byłam pełna obaw. Chociaż instytut oferował nocleg w warunkach „materacowych”, we wspólnej sali, to zarezerwowałam sobie pokój w dość przytulnym, niewielkim hoteliku niedaleko miejsca szkolenia. Takie zabezpieczenie na wypadek, gdybym musiała odpocząć w samotności albo gdybym nie radziła sobie zbyt dobrze z nowymi znajomościami. Ostatnie doświadczenia z przebywaniem w grupie nie nastrajały mnie optymistycznie, więc wizja pięciu dni nieprzerwanego pobytu z nowo poznanymi ludźmi powodowała, że pociły mi się dłonie.

Zwiedzanie i sentymenty odłożyłam na wieczór, bo pociąg oczywiście się spóźnił i pozostało mi zaledwie czterdzieści minut do rozpoczęcia zajęć. Na szczęście nie wysiadłam na Głównym, tylko na Płaszowie, więc taksówka nie musiała przebijać się przez korki. Nie lubiłam się spóźniać.

Instytut mieścił się w ogromnej willi otoczonej niewielkim ogródkiem. W hallu było mnóstwo osób, niektórzy wyglądali na starych znajomych, więc domyśliłam się, że jednocześnie trwa tutaj kilka szkoleń. Starłam się wyłuskać osoby wyglądające na mniej zorientowane, rozumując, że będą to członkowie mojej grupy. Udało mi się zająć miejsce na nieco wysłużonej kanapie i obserwowałam otoczenie.

Jeszcze nie zdążyłam dobrze się rozejrzeć, gdy z piętra zeszła blondynka średniego wzrostu i poprosiła uczestników treningu interpersonalnego do jednego z pokoi. Było to duże pomieszczenie, pewnie kiedyś pełniące funkcję salonu, zupełnie puste. Jedynie w rogu złożono stertę materacy i koców. Zauważyłam, że do sali weszły same kobiety, ale nie wiedziałam, czy to rozmyślny dobór czy przypadek. Blondynka przedstawiła się jako opiekunka naszego stażu i wyjaśniła zasady. Okazało się, że mamy siedzieć na materacach. Pierwszy raz spotkałam się z takim pomysłem, ale bardzo mi się to spodobało. Dawało poczucie luzu i pomyślałam, że łatwiej mi będzie wysiedzieć na miękkiej gąbce niż na twardym krzeselku. Tym bardziej że zajęcia miały trwać do dziewiętnastej, z dwugodzinną przerwą na obiad.

Wszystkie byłyśmy tak samo niepewne i każda z nas, mniej lub bardziej otwarcie, przyglądała się innym uczestniczkom stażu. Ciekawa byłam, kim są pozostałe kobiety, skąd przyjechały, czym się zajmują. Szybko okazało się, że Maja, bo tak miała na imię opiekunka, pomoże nam się poznać. Zasadę rundki znałam już z grupy AA.

Nie udało mi się od razu zapamiętać wszystkich imion i informacji, ale kilka dziewczyn zwróciło moją uwagę. Marta przyjechała ze Szczecina, gdzie kończyła właśnie studia pedagogiczne. Była pełna młodzieńczego zapału, wiary w świat i ludzi. Danusia stanowiła jej przeciwieństwo. Mniej więcej w moim wieku, pracowała w rejestracji poradni psychologicznej i miała problemy z dorastającą córką.

Zaznaczyła, że jest samotną matką i nie ma partnera, z czego wywnioskowałam, że nie żywi ciepłych uczuć do płci brzydszej. Ula, a właściwie Urszula, bo tak się przedstawiła, sprawiała wrażenie osoby bardzo zasadniczej. Pracowała jako pedagog szkolny w liceum i jak to określiła, chciała się doskonalić, aby lepiej pełnić swoją funkcję, bo młodzież w jej szkole jest niezwykle wymagająca. Zastanawiałam się, czego licealiści wymagają od pedagoga, ale nie zapytałam.

Agata z Anką zdążyły się już poznać, bo przyjechały poprzedniego dnia i nocowały w instytucie. Pierwsza była z Torunia i chciała zmienić coś w swoim życiu, jak to nazwała, żony przy mężu, druga z Gdańska, matka niespełna rocznego maluszka, aktualnie bezrobotna, wcześniej przedstawicielka handlowa firmy kosmetycznej.

Najbardziej zaskoczyła mnie Dagmara, która na zajęcia przylatywała z Londynu, gdzie po skończeniu psychologii na szacownym Uniwersytecie Jagiellońskim pracowała jako kelnerka. Proponowano jej doktorat, ale nie mogła się zdecydować na powrót.

Obok mnie usiadła Milena, obcięta na jeża blondynka, w bojówkach i czerwonej bokserce. Okazała się absolwentką resocjalizacji, współpracującą z organizacjami pozarządowymi i zajmującą się młodzieżą. Zazdrościłam jej energii, otwartości i pozytywnego nastawienia do świata. Miałam wrażenie, że natychmiast polubiły ją wszystkie dziewczyny.

Pięć dni minęło bardzo szybko. Nocowałam w hotelu, bo po dziesięciu godzinach intensywnej pracy nie miałam siły na nocne pogaduszki i spanie w kącie. Potrzebowałam chwili ciszy, żeby pozbierać myśli i wsłuchać się w siebie. Do tego idealnie nadawał się mój klaustrofobiczny hotelowy pokój.

Gdyby ktoś zapytał mnie, co robiłyśmy, nie potrafiłabym dokładnie opowiedzieć. Przede wszystkim poznawałyśmy siebie nawzajem, ale i własne reakcje na grupę, na komunikaty dawane przez innych. Uczyłyśmy się oddzielać fakty od wyobrażeń, słuchałyśmy bicia własnego serca i serc koleżanek. Miałam czas, żeby zastanowić się nad tym, jak blisko dopuszczam ludzi, czy wyznaczam im granice i jak silne one są.

Trudno o tym mówić, bo główną rolę w naszych zajęciach grały emocje i doznania. Byłam ich tak pełna, że chwilami wydawało mi się, że nie pomieszczę ich w sobie. Chyba nigdy w życiu nie czułam tak intensywnie. Niektóre z uczuć mnie dziwiły, niektóre śmieszyły, a inne napawały lękiem. Nie wszystkie z początku lubiałam, chciałam je ukryć, stłumić, ale szybko rozumiałam, że jeżeli chcę naprawdę poznać siebie, muszę zaakceptować je wszystkie. To była cenna lekcja.

Nie potrafiłam integrować się tak szybko jak Milena czy Agata. Mimo to z radością uczestniczyłam we wspólnym obiadowaniu. Zamawiałyśmy pizzę lub pierogi z pobliskiej jadłodajni. Dzieliłyśmy porcje tak, żeby każda mogła spróbować tego, co chciała. Każda z nas kupowała też owoce i słodycze, które lądowały na wspólnym stole. Chociaż babski skład okazał się dziełem przypadku, to z mojego punktu widzenia było to szczęśliwe zrzędzenie losu. Dzięki temu poczułam smak prawdziwej kobiecej wspólnoty i rozumiałam, jak bardzo było mi to potrzebne.

Po niedzielnych zajęciach postanowiłam spędzić kilka godzin na Starym Mieście. Nie musiałam przecież wracać, nie czekał na mnie nikt, nawet nie miałam pracy, która zmuszałaby mnie do pobudki w poniedziałkowy poranek. Mogłam wrócić wieczornym pociągiem. Taka wolność byłaby zapewne radosna, gdybym znowu miała dziewiętnaście lat, jednak dla czterdziestoletniej Nataszy, którą byłam teraz, wiązała się raczej z poczuciem samotności i opuszczenia. Bo młodość nie zna strachu, jest pewna siebie i leci na spotkanie życia na skrzydłach wielkich nadziei, z plecakiem pełnym lekkich marzeń. Ma

wiarę w to, że wszystko jest możliwe, że będzie dobrze, a szczęście przyjdzie z całą pewnością. Za to dojrzałość niesie walizy ciężkie od doświadczeń, a na ciele ma blizny po zderzeniach z rzeczywistością i prozą życia. I choć mówią, że mądrzejsza jest od młodości, ostrożniejsza, bardziej rozważna i mniej naiwna, to często nie potrafi uchronić się przed smutkiem i rozczarowaniem. Może właśnie dlatego, że nadzieję i wiarę w szczęście upycha głęboko w swoim bagażu, na samym dnie, pokrywając ją grubą warstwą obaw i lęków?

Takie porównania przychodziły mi do głowy, kiedy obserwowałam ludzi na krakowskim dworcu. Młodzi podróżni z radością i błyskiem w oczach witali się i żegnali, widać było, że cieszą się tak samo wyjazdem, jak powrotem, że sama możliwość zmiany, ruchu, nawet niewielkiego, krótkiego, to dla nich powód do radości, wyzwanie, szansa na nowe przeżycia, przed którymi nie czują lęku.

Zupełnie inaczej wyglądali pozostali pasażerowie. Ciągnęli swoje walizki, pełne rzeczy, które uznawali za niezbędne i którymi wypełniali bagaż. Na wszelki wypadek, bo mogą się przydać i żeby „w razie czego” mieć pod ręką. Targali to wszystko z mozołem, z wysiłkiem na twarzach, a w ich oczach zamiast radości widać było zmęczenie, lęk i oczekiwanie na koniec podróży. Wyobraźnia, karmiona doświadczeniem, podpowiadała im potencjalne niebezpieczeństwa, które mogą ich spotkać, zmuszała do ciągłego napięcia i czujności, zasłaniając kotarą niepokoju radość podróży.

Kupiłam bilet i czym prędzej uciekałam od dworcowej rzeczywistości i niewesołych myśli. Czułam, że bliżej mi do tych nieufnych podróżnych z walizkami niż do beztroskiej radości, a to poczucie nie poprawiało mi nastroju. Dlaczego nie korzystam z tego, co mam? Dlaczego nie potrafię cieszyć się tym, co daje mi los?

Postanowiłam poszukać śladów dawnej Nataszy, tej ze studenckich czasów. Wiedziałam, że nie znajdę jej na dworcu, który po pojawieniu się w jego sąsiedztwie metalowego hangaru zwanego szumnie Galerią Krakowską, zupełnie stracił swój urok. Zabytkowa część zamarła, jakby przytłoczona górą stali i betonu, przykucnęła skulona, zatracając swój klimat romantycznych powitań i pożegnań. Nawet tutaj to krzykliwa popkultura rozpychała się łokciami, za nic mając wiekowe piękno. Doskonałe odbicie tego, co przecież dzieje się wszędzie – pomyślałam. – Nic dziwnego. Zmiany w otoczeniu są niczym innym jak odbiciem tego, co dzieje się z ludźmi. Przecież sama niedawno zastanawiałam się nad tym, co robiłam z własnym życiem, jaką metamorfozę przeszłam ja i moi znajomi. Zmiany dały nam szansę, jakiej nie miało poprzednie pokolenie, a my zachłysnęliśmy się tym i gromadziliśmy te kolorowe, błyszczące szkiełka, biorąc je za drogie kamienie. Zostawiliśmy po drodze wszystko, co przeszkadzało, utrudniało bieg i nie było tak atrakcyjne. Czy można to jeszcze odnaleźć? Może nie wszystko stracone? Może bliskość, prawdziwe uczucia, bezinteresowność tkwią nadal skulone gdzieś z boku?

Szłam powoli Floriańską w kierunku Rynku. Przypominałam sobie tę ulicę sprzed lat. Pamiętałam duży sklep z indyjskimi ciuchami – kolorowe, zwiewne tkaniny, falbaniaste spódnice, drewniana biżuteria. To było jak wejście w inny świat, w egzotyczną bajkę, której wiarygodności dodawał zapach kadzidełek. Kiedyś spotkałam w tym sklepie Korę i w pierwszej chwili myślałam, że to musi być sen. Bliskość znanej osoby zupełnie mnie oszołomiła i dała chwilę niesamowitego szczęścia. Tak, byłam młodziutką dziewczyną z prowincji i takie spotkania wywoływały silne emocje. Teraz pewnie nawet gdyby stanęła przede mną Tina Turner, nie poruszyłoby mnie to wcale. No, chyba żeby Johnny Deep... – uśmiechnęłam się do siebie.

Nie było już sklepu z bielizną. Tego, w którym kupiłam pamiętną piżamkę. Kosztowała tyle, że przez

pół miesiąca niedojadalam. W sumie nie było to żadne чудо, ale wtedy tak cieszyło. Dziś mogłam kupić sobie jedwabną bieliznę z najwyższej półki i nawet nie zauważyłabym ubytku na koncie, tylko co z tego?

Rynek, jak zawsze, pełen był turystów, gołębi i biegających dzieci. Majowe słońce zachęcało do spacerów, robienia zdjęć i czyniło Stare Miasto pięknym. Przysiadłam u stóp „Adasia”, wystawiając twarz do słońca. Przymknęłam oczy. Ileż razy siedziałam tutaj, czekając na Darka? A potem szliśmy coś zjeść i na spacer...

I właśnie tutaj, w samym środku Krakowa, nieoczekiwanie, poczułam się dobrze. Wśród tłumu nieznanymi ludźmi, wśród gwaru rozmów i pisku dzieciaków odnalazłam kawałek dawnej Nataszy. Młodej, pełnej nadziei i przekonanej, że wszystko będzie dobrze. Dlaczego tu? Nie wiem, może tutaj kiedyś byłam tak po prostu szczęśliwa? Może w tych momentach oczekiwania nie zastanawiałam się nad przeszłością i nie bałam się przyszłości? Byłam tak zwyczajnie, w tym miejscu i tylko w tym. Żyłam trwającą właśnie chwilą i z niej czerpałam energię. Czy nie o tym rozmawialiśmy wczoraj na zajęciach? O „tu i teraz”. Czyżbym to znalazła, poczuła i doświadczyła? Jeżeli tak, to bardzo zapragnęłam ten stan przedłużyć. Najlepiej za zawsze. A w każdym razie zapamiętać i do niego dążyć.

Otworzyłam oczy. Nie czułam zmęczenia, przeciwnie, ten krótki kontakt z dawną Nataszą przywrócił mi nadzieję, że nie wszystko stracone, że mogę odnaleźć w sobie to, czego szukam, że to nadal jest, nie znikło, nie zatraciło się zupełnie. Dasz radę, Nataszo! – pomyślałam.

Głód skłonił mnie do poszukiwań niewielkiego baru, w którym kiedyś jadałam. Niestety, na jego miejscu był teraz sklep z butami. Szkoda, bo chętnie sprawdziłabym, czy gołąbki smakowałyby tak samo jak dwadzieścia lat temu. Cóż, trudno. Wybrałam niewielkie bistro na ulicy Świętego Krzyża, gdzie przy stoliku przykrytym kraciastą ceratą zjadłam ogromną porcję pierogów ze szpinakiem i popiłam prawdziwym kompotem. Było pysznie, domowo, bez pośpiechu i na luzie. Poprosiłam o zapakowanie drugiej porcji, żeby zabrać ze sobą do domu kawałek tej krakowskiej beztroski. Później dołożyłam jeszcze do tego dwa obwarzanki z solą kupione na Plantach, ale ich nie dowiozłam. Zostały zjedzone w pociągu, bo nie mogłam się doczekać tego niezapomnianego smaku grubych ziaren soli rozplływających się na języku. Musiałam mieć przy tym naprawdę dziwną minę, bo kobieta siedząca w pociągu naprzeciwko mnie zerkała z zainteresowaniem pomieszany ze zdziwieniem. Uśmiechnęłam się do niej, ale szybko odwróciła głowę. A mnie to zupełnie nie obeszło. Wiozłam do stolicy tyle nowych i odzyskanych emocji, że nie miałam ochoty na zabieranie czyjś niezadowolenia. Po prostu, używając kolejnego „dworcowego” porównania – przepakowałam się w Krakowie, zostawiłam trochę zbędnego bagażu, robiąc miejsce na coś nowego, lżejszego, bardziej przewiewnego. W końcu jest wiosna, prawda?

Wróciłam do Warszawy pełna wrażeń. Strach przed grupą minął, chociaż czułam jeszcze niedosyt. Wydawało mi się, że nie dałam rady naprawdę się otworzyć, że uchyliłam jedynie furtkę dla dziewczyn. Opowiedziałam o swoich obawach Mariuszowi, ale uspokoił mnie, mówiąc, że każdy ma swoje tempo. Zgodnie z nowo nabytymi doświadczeniami, postanowiłam to zaakceptować, jednocześnie przyznając się przed sobą, że chciałabym być podobna do Mileny.

*

W oczekiwaniu na kolejny zjazd, który miał się odbyć w czerwcu, dużo czasu spędzałam na lekturze. Starłam się dowiedzieć jak najwięcej o terapii Gestalt, ale teoria w niczym nie przypominała naszych

zająć. Niby mowa o tym samym, ale z książek nie umiałam czerpać tyle, co z udziału w terapii. Dało mi to jasny sygnał, że sama sobie nie poradzę. Można się uczyć, ale praktyka i kontakt z doświadczonym terapeutą jest bezcenny. Żałowałam, że podczas studiów nie miałam żadnych zajęć praktycznych. Może wtedy nie porzuciłabym zawodu na rzecz biznesu, który wydawał się ciekawszy, dynamiczny, bardziej barwny.

Druga sprawa, mocno zaprzatająca moją uwagę, to poczucie kobiecej więzi. Zastanawiało mnie, dlaczego z pozoru zwyczajne czynności – jedzenie, zakupy, pogaduchy na tarasie – wywoływały we mnie aż tak duże emocje. Ciekawa byłam, czy inne dziewczyny też czują podobnie, ale oczywiście nie zdecydowałam się zapytać. Snułam amatorskie teorie o braku matczynej miłości, odrzuceniu i innych takich, od tego robiło mi się coraz smutniej, na szczęście w porę przypomniałam sobie zalecenia Mariusza. Czym prędzej zajęłam się ogrodem, bo słoneczna pogoda i dość często padające deszcze sprzyjały nie tylko kwiatom, ale i chwastom. Skoro w przyrodzie w tym roku panowała wyjątkowa równowaga, postanowiłam czerpać z niej, żeby osiągnąć swoją.

Wpadłam też na pomysł samodzielnego odświeżenia sypialni. Obejrzałam w sieci kilka filmików o malowaniu i doszłam do wniosku, że powinnam dać radę. Pewnie, mogłam zatrudnić profesjonalistę, ale samodzielna praca miała być wyzwaniem, sposobem na sprawdzenie się, a przede wszystkim powinna mnie zająć.

Zaopatrzona w potrzebne akcesoria, z koncepcją nowej kolorystyki ścian i dodatków, rozpoczęłam realizację projektu od porządków w toalecie, którą musiałam odsunąć od ściany. Wyrzucając zachomikowane drobiazgi i przeterminowane już resztki kosmetyków, natknęłam się na reklamę ekskluzywnego ośrodka spa. Musiała tu leżeć od kilku lat, była wspomnieniem czasów, gdy pomagając Darkowi, załatwiałam wiele biznesowych kontraktów „tylnymi drzwiami” – dzięki nieformalnym kontaktom z żonami i przyjaciółkami klientów. Cóż, podczas pierwszego pobytu w instytucie usłyszałam, że w Gestalcie uznaje się, że nie ma przypadków. Może i ta ulotka wpadła mi w ręce z jakiegoś powodu? Czyżby była znakiem, tropem, który powinnam podjąć? Po raz kolejny wróciły wspomnienia o kobietach, z którymi kiedyś spędzałam sporo czasu, a teraz zupełnie nie miałam z nimi kontaktu. Agnieszka, Justyna, Jola, Agata, Kaśka... Gdzie teraz są? Co robią?

Przyglądałam się uważnie ulotce i przypominam sobie jedną z fotografii, które niedawno spaliłam. Tę, na której byłyśmy wszystkie razem. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że tęsknię za nimi. Najwidoczniej to, co nas łączyło, było chyba silniejsze i głębsze, niż do tej pory sądziłam. Oddaliłyśmy się, a ja zawsze winiłam za ten stan rzeczy dziewczyny. Nie zastanawiałam się nad tym, jaki był mój wkład w utrzymanie naszej przyjaźni. A prawda wyglądała tak, że nic nie robiłam. Gnana amokiem kolejnych spotkań, szybko wymieniałam nieobecna na kogoś innego. Najważniejsze, żeby zapewniał zlecenia dla firmy. Nie zwracałam uwagi na ich kłopoty, chociaż o nich wiedziałam. W rozpędzonym świecie lat dziewięćdziesiątych nie było miejsca na głębszą refleksję, prawdziwe zainteresowanie.

Może to ja nie zachowałam się tak, jak powinna przyjaciółka? Dlaczego wymagałam od nich, a od siebie nie? Brałam pełnymi garściami i bez skrępowania co tylko mogłam, wykorzystywałam ich wpływy i znajomości do realizacji własnych celów. Płaciłam za to fałszywą monetą – pozornym zrozumieniem, nieszczerym zachwytem, opłaconym uśmiechem.

Zrobiło mi się smutno. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zatęsknię za tymi kobietami. A jednak.

Odłożyłam reklamę na blat toaletki. Odechciało mi się malowania. Mogłam przecież zająć się tym jutro. Potrzebowałam rozmowy z kimś życzliwym.

Na dziewczyny z forum zawsze mogłam liczyć. Opisałam swoje dzisiejsze przemyślenia. Nie musiałam długo czekać, były niezawodne. Prawie do północy czytałam podobne historie – stracone znajomości, urwane kontakty. Syciłam się wyrazami wsparcia i zrozumienia, czerpałam siłę z zapewnień, że wszystko przede mną i będzie lepiej. Chociaż w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że to tylko słowa, a i tak wszystko zależy wyłącznie ode mnie, to jakimś cudem moim forumowiczkom udało się wyciągnąć mnie z psychicznego dołka.

Kiedy wyłączałam komputer, byłam zmęczona, ale gotowa na zmierzenie się z kolejnym dniem. Idąc do łóżka, potknęłam się o pozostawione w sypialni akcesoria malarskie. Całkiem o nich zapomniałam! Przynajmniej przypomniały mi to, czym miałam się zająć następnego dnia.

*

Prace w ogrodzie co prawda wymagały czasami sporo fizycznego wysiłku, ale najwyraźniej nie pozwalały na spalenie wszystkich kalorii, których dostarczałam swojemu organizmowi. Nie zwróciłabym może na to uwagi, bo myśli zajmowały mi zupełnie inne sprawy, można by rzec, bardziej duchowe niż cielesne, ale kiedy pewnego dnia wyjęłam z szafy letnie spodnie, okazało się, że w żaden sposób nie mogę ich zasunąć.

Skurczyły się w praniu czy co? – pomyślałam, bo jakiej innej myśli może chwycić się kobieta stojąca przed lustrem i starająca się ze wszystkich sił dociągnąć do siebie dwie części tkaniny – tę z guzikiem i tę z dziurką. – Zapłaciłam za jakość, a tu materiał jak z budki na bazarach – złościłam się w duchu, choć doskonale wiedziałam, że akurat tej firmie odzieżowej nie można zarzucić niczego. Za to można wiele zarzucić mnie – śmieciowe jedzenie przez kilka ostatnich miesięcy, kanapa w salonie i łóżko w sypialni – to tylko początek listy składającej się na całość grzechów, które popełniłam, a których efekty dostrzegłam teraz z całą mocą.

Poddałam się i zdjęłam spodnie. Zamieniłam je na długą luźną spódnice i po raz kolejny popatrzyłam w lustro. Nie było aż tak źle – oceniłam – ale z pewnością co najmniej pięć kilo mi przybyło. Co najmniej. I to nie w biuście, o nie! Zupełnie gdzie indziej. Zimowe swetry uspiły moją czujność, dopiero letnie ubrania bezlitośnie ujawniły prawdę.

A co mnie to obchodzi – pomyślałam. – Kto powiedział, że muszę mieć nienaganną figurę? Owszem, kiedyś musiałam o to dbać, bo w interesach wygląd ma duże znaczenie. Świadomość, że świetnie prezentuję się w obcisłym żakiecie i wąskiej spódnicy dodawały mi pewności siebie, pomagały zdobyć przychyłność klientów, a zwłaszcza męskiej ich części. Jednak moja wąska talia i płaski brzuch nie zdołały sprawić, żeby Darek nie zainteresował się inną kobietą. Czy ona była szczuplejsza ode mnie? Zgrabniejsza? Nie mogłam sobie przypomnieć. Na pewno była młodsza.

No i pięknie. Wystarczyło kilka minut, a ja siedziałam w koronkowym biustonoszu i falbaniastej spódnicy na podłodze przed lustrem i ryczałam. Świetnie, naprawdę! Ocierałam łzy dłonią i starałam się nie patrzeć na swoje odbicie. Już byłam gruba, a będę jeszcze grubsza! Bo po co mam chudnąć? Nie odmłodzę się i tak.

Chyba po raz pierwszy dotarło do mnie, że jestem kobietą czterdziestoletnią. Nie starą, ale już nie

młodą. Miałam na myśli przede wszystkim moje ciało. Ono już nie słuchało mnie tak posłuszne jak kiedyś. Zużyło się już trochę, zmarszczyło gdzieś tam, zmieniło proporcje i kształty. A teraz jeszcze wypełniło w zupełnie niepożądanych miejscach. Przypomniało mi się, że kiedyś czytałam w jakimś czasopiśmie o tym, że na szczupłej twarzy zmarszczki są bardziej widoczne. Wtedy śmiałam się z tego, a teraz przyszło mi do głowy, że zawsze to jakaś pociecha. Po prostu będę bardziej smakowita. Jak pączek – pomyślałam, ale zamiast czuć pociechę – rozryczałam się jeszcze bardziej.

Chyba z godzinę tak się mazałam. A potem zadzwonił telefon. To był Darek. Nie odebrałam. Nie chciałam go nawet słyszeć. Niech sobie ze swoją młodą anorektyczną żonką rozmawia. A mnie niech zostawi wreszcie w spokoju.

Taką złość poczułam, że aż odechciało mi się płakać. Są ważniejsze sprawy niż kilka kilogramów i zmarszczek w kącikach oczu. A że spodnie nie chcą się dopiąć? Wielkie rzeczy! Mogłam kupić sobie nowe. Stać mnie. A nawet dołożyć fryzjera. Ta wizja mi się spodobała. Przynajmniej miałam jakiś cel, nawet jeżeli były nim tylko spodnie lub buty. No, może jeszcze przydałyby się ze dwie bluzki.

*

W galerii było więcej ludzi niż się spodziewałam. A może po prostu teraz bardziej zwracałam na to uwagę? Dawniej przychodziłam tu często, ale zawsze się spieszyłam, głowę miałam pełną spraw do załatwienia, projektów do przemyślenia i nie patrzyłam zupełnie na ludzi, których mijałam. Nie słyszałam też tego gwaru, mieszaniny rozmów, nawoływań, różnych gatunków muzyki dobiegającej z głośników. Istna wieża Babel – pomyślałam, oglądając to ludzkie zbiorowisko. A było na co popatrzeć. Eleganckie kobiety wystukiwały szybki rytm obcasami szpilek, mijając mężczyzn w garniturach zapatrzonych w ekrany smartfonów. Grupki młodych chłopców okupowały plastikowe siedzenia, komentując wygląd mijających je dziewcząt, a te rzucały im pogardliwe spojrzenia spod zbyt mocno wytuszowanych rzęs i odchodziły niepewnym krokiem debiutującej dopiero na wysokich obcasach kobiecości, obciążając co chwila spódniczki tak krótkie, że ledwie zakrywały bieliznę. Tuż obok, wpatrzony w wystawę sklepu sportowego, stał mężczyzna z jakiegoś innego świata. Ubrany w spraną ortalionową wiatrówkę, szare wytarte spodnie i mocno zdezelowane buty wyglądał, jakby ktoś wyciął go z czarno-białej codziennej gazety i wkleił na chybił trafił do kolorowego czasopisma. Nie pasował do otoczenia, ale wyglądało na to, że albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo nic go to nie obchodzi.

Kiedy go mijałam, odwrócił się i nasze spojrzenia się spotkały. Przystanąłam zdziwiona. Jak on ma na imię? – szukałam w pamięci.

– Heniek? – zapytałam niepewnie.

Uśmiechnął się i braki w uzębieniu ostatecznie przekonały mnie, że się nie pomyliłam.

– Co tutaj robisz? Jakies zakupy?

– Nie – zaprzeczył. – To nie na moją kieszeń. Nawet nie wchodzę. Tak tylko... oglądam... – tłumaczył się.

Uchwyciłam jego tęskne spojrzenie rzucone w kierunku wystawy ze sprzętem sportowym. Centralne miejsce zajmował na niej czarny rower.

– A ja właśnie tu idę, bo mam w planie większy zakup. Tylko zupełnie się na tym nie znam – trajkotałam, wiedzona jakimś impulsem. – Bo wiesz, przytyłam trochę, a lato za pasem, więc

postanowiłam się poruszać i zrzucić kilka kilogramów. Może mógłbyś mi pomóc?

Heniek patrzył na mnie spod oka, ale chyba musiałam wyglądać na naprawdę zagubioną. Zresztą tak się czułam, bo do końca nie wiedziałam, dlaczego to robię i skąd przyszedł mi do głowy pomysł kupienia czegokolwiek związanego ze sportem. W każdym razie przekonałam go i po chwili byliśmy już w sklepie.

Nie miałam pojęcia, czego właściwie chcę i ogarnęła mnie lekka panika. Na szczęście nie musiałam nic więcej wymyślać, bo Heniek natychmiast skierował się w stronę rowerów. Na jego widok od razu pojawił się sprzedawca z nieufną i mało przyjazną miną. Poczulałam złość. Dobrze, może mój towarzysz nie wyglądał na bogatego klienta, ale przecież to nie usprawiedliwiało takiego traktowania. Podeszłam pewnym krokiem, ujęłam Heńka pod ramię i spojrzałam sprzedawcy prosto w oczy.

– Chcemy kupić rower. Dobry, ale bez zbędnych bajerów. Nie mam zamiaru brać udziału w wyścigach, chcę spokojnie pojeździć po ścieżkach rowerowych. Proszę ustalić z panem – wskazałam na Heńka – co będzie najbardziej odpowiednie. A ja w tym czasie zajmę się czymś bardziej kobiecym.

Zostawiłam mężczyzn samych i oddaliłam się w kierunku półek z odzieżą do fitnessu. Nie miałam zamiaru niczego wybierać, więc tylko spacerowałam wzdłuż regałów, zerkając na tych, którzy mieli zdecydować o moim zupełnie nieplanowanym zakupie. Heniek promieniał. Z daleka widać było błysk w oczach, wyprostował się, jego twarz nabrała blasku a ruchy zdecydowania. Dyskutował z zapalem i chociaż nie słyszałam, co mówił, widać było, że zna się na tym. Przypomniałam sobie, że Mateusz kiedyś wspomniał mi o sportowej przeszłości Heńka. Najwyraźniej to była prawda. Tylko o czymś, co się naprawdę kocha, można rozmawiać z takim zaangażowaniem i pasją.

– Natasza, chyba już wiem, co byłoby najlepsze! Wybrałem dwa warianty, wiesz, nie najtańsze, ale i nie najdroższe. Dobra jakość w dobrej cenie, można powiedzieć. Tylko nie wiem, jaki kolor ci bardziej pasuje: biały czy zielony?

Był tak podekscytowany, jakby kupował ten pojazd dla siebie. Wiedziałam, że nic bardziej odpowiedniego nie znajdę i nikt nie doradziłby mi lepiej.

– Zielony – zdecydowałam.

Wyszliśmy ze sklepu – ja nadal nieco zaskoczona rozwojem wydarzeń, Heniek – szczęśliwy, prowadząc rower.

– Może kawa? – zaproponowałam, bo chciałam jakoś ogarnąć całą sytuację i oswoić się z myślą, że jestem właścicielką zielonego dwukołowca z koszyczkiem i bagażnikiem.

Usiedliśmy przy małym stoliku. Mój towarzysz wyglądał, jakby ubyło mu kilkanaście lat. Patrzyłam na niego i pomyślałam, że gdyby zgolił ten zaniedbany zarost, zainwestował w stomatologa, fryzjera i kilka lepszych ciuchów, to naprawdę mógłby wyglądać całkiem nieźle. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną, a jeśli do tego był sportowcem, to i sylwetkę na pewno miał doskonałą. Szkoda, że alkohol zabrał mu tak dużo...

– Co u ciebie słyhać? – zapytałam, bo naprawdę byłam ciekawa, jak sobie radzi.

– Trochę się posypało – wzruszył ramionami. – Kilka razy popłynąłem i córka straciła cierpliwość. Załatwiła w końcu eksmisję. Nie czekałem, aż mnie siłą wyrzucą, bo po co? Sam wyszedłem. No, mówiąc wprost – bezdomny byłem. Załapałem się do noclegowni, żeby zimę jakoś przetrzymać i pewnie teraz spałbym gdzieś pijany, gdyby nie Lidka. Pamiętasz Lidkę?

Pokiwałam głową. Jak mogłam nie pamiętać? Do dziś na samo wspomnienie mam wyrzuty sumienia.

– No to właśnie ją spotkałem. Mówię ci, katastrofa. Ciągnie jak gąbka. Teraz mieszka na działkach,

wiesz, takich ogródkach. Nie trzeźwieje nawet, cały czas w ciągu. I o córce też już nie myśli.

Poczułam ogromny ciężar na sercu. Czy dołożyłam swoją cegielkę do upadku Lidki? Heniek chyba wyczuł mój nastrój, bo pokręcił głową.

– Nawet tak nie myśl. To jej wybór. Nie starczyło jej sił, może motywacji. Nikt tego nie wie. I nikt nie jest temu winien. Wiesz przecież, nie? A ja, jak ją zobaczyłem, to zrozumiałem, że jeszcze trochę i skończę tak samo. Jakoś mnie to kopnęło, tak wiesz, w środku. Poszedłem do Mariusza, spróbowałem jeszcze raz. Na razie się trzymam. Pracuję nawet dorywczo w warsztacie u Przemka. Coś tam pomagam, uczę się. I odkładam. Bo chcę sobie rower kupić – dodał cicho, nie patrząc na mnie, jakby wstydził się tego wyznania. – Kiedyś dużo jeździłem.

Heniek zaprowadził rower do samochodu, pomógł mi złożyć siedzenia i upchnąć w środku nowy nabytek. Podziękowałam mu i obiecałam, że jakby zdarzyła się jakaś awaria, to zgłoszę się po pomoc. Schowałam do portfela karteczkę z reklamą warsztatu Przemka. Miałam nadzieję, że jeżeli będzie taka potrzeba, to znajdę tam Heńka. Że wytrzyma.

*

Z radością powitałam dziewczyny w instytucie, chociaż nie wiem, czy potrafiłam to w pełni okazać. Z jaką łatwością przychodziło niektórym obejmowanie się na powitanie, a nawet całusy. Ja tak nie umiałam. Nie przepadałam za bliskim kontaktem, musiałabym kogoś bardzo dobrze znać, żeby pozwalać mu nawet na taki dotyk jak przyjacielski uścisk. A mimo dużej sympatii, z nimi jeszcze takiej bliskości nie odczuwałam.

Przed zajęciami zdążyłyśmy jeszcze wypić kawę w ogromnej kuchni i wymienić się krótkimi informacjami o tym, co każdą z nas spotkało od czasu wyjazdu z poprzedniego spotkania. Coraz lepiej kojarzyłam imiona partnerów i dzieci moich koleżanek, coraz lepiej potrafiłam dzielić ich emocje. To było miłe i nowe w moim postrzeganiu świata – takie prawdziwe i zaangażowane zainteresowanie drugą osobą.

Z ochotą chłonełam wiedzę przekazywaną przez naszą opiekunkę. Fascynowała mnie trafność założeń Gestaltu, przynajmniej w odniesieniu do mnie samej, mojego spojrzenia na świat, moich odczuć. Czekałam niecierpliwie na kolejne ćwiczenia, chciałam próbować, uczyć się, doświadczać, a wszystko po to, aby zyskać większą świadomość siebie w relacjach z innymi.

Ogromne wrażenie zrobiło na mnie zwłaszcza jedno ćwiczenie. Wstępem do niego była analiza własnych cech i wybór jednej, najbardziej istotnej dla nas samych. Pracowałyśmy indywidualnie do czasu, aż każda pozostała z jedną karteczką w dłoni – karteczką, na której zapisana była ta właśnie, najistotniejsza cecha. Sądziłam, że to już koniec, ale nieoczekiwanie na środku sali pojawił się ogromny biały kawałek papieru. Maja wyjaśniła, że teraz każda z nas powinna podejść i w dowolnym miejscu zaznaczyć kropkę, a przy niej napisać swoje imię i cechę, którą wybrała. Na środku zapanował tłok, bo każda chciała zapewnić sobie upatrzone miejsce. Żadna chyba nie przypuszczała, że i to działanie ma głęboki cel.

Kiedy wszystkie kropki zostały narysowane, okazało się, że musimy wyobrazić sobie, że biała przestrzeń to cała nasza sala i przenieść swój punkt do realnej rzeczywistości, stać się swoją kropką i zająć wybrane miejsce. Pod uwagę miałyśmy wziąć także kierunek napisu i stanąć twarzą zwróconą

w tę stronę, co nasze litery na rysunku.

Stworzona konfiguracja okazała się niezwykła. Kilka dziewczyn stało ściśniętych bardzo blisko siebie, były takie, które musiały ustawić się tyłem do reszty, mnie przypadło miejsce w bezpiecznej odległości od pozostałych, takie, z którego mogłam widzieć je wszystkie.

Maja nie oceniała ani nie komentowała tego, co stworzyliśmy. Rzuciła tylko kilka pytań do przemyślenia. Jak się czujemy, czy chciałybyśmy coś zmienić? Co robimy, że jesteśmy w grupie tam, gdzie się narysowałyśmy? Uderzyła mnie ogromna prawda wynikająca z pozornie zabawnego ćwiczenia. Rzeczywiście, taka właśnie byłam w tej grupie – nieco z dystansem, obserwująca, badająca teren. Chciałam mieć kontrolę nad działaniami pozostałych dziewczyn. I podobnie było w każdej grupie, w której się znajdowałam. Dlaczego? Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, potrzebowałam chyba więcej czasu.

Czy było mi dobrze z tym odkryciem? Na początku wydawało mi się, że tak. Na swoim miejscu czułam się bezpiecznie. Po chwili odkryłam, że bezpieczeństwo i kontrola miały swoją cenę – stałam dość daleko od koleżanek, widziałam je, ale z tej odległości nie słyszałam na przykład, o czym szepce ściśnięta grupka na środku. Bezpieczna, ale samotna – pomyślałam i poczułam smutek. Tak oto, dzięki jednej białej kartce, zobaczyłam i poczułam więcej niż w ciągu wielu miesięcy wcześniejszych terapii. Już tak nie chciałam, pragnęłam kroku do przodu, jednego, a może nawet dwóch, żeby zbliżyć się do innych.

To ćwiczenie bardzo mnie poruszyło. Do tego stopnia, że w przerwie obiadowej zagadnęłam Milenę. Stałyśmy na tarasie, słońce mocno przygrzewało, my najedzone i zrelaksowane. To dobra chwila – pomyślałam.

– Jak ty to robisz, że jesteś taka otwarta? Zawsze taka byłaś?

– Nie zawsze. – Milena odchyliła głowę do tyłu i wystawiła twarz do słońca. – Dopiero kiedy zdecydowałam się na pracę w pierwszym stowarzyszeniu. W świetlicy dla dzieciaków. To była prawdziwa szkoła życia – rozeźmiała się. – Te dzieci nie miały lekko, wiesz, bieda, często różne patologie. Chciałam je poznać, żeby wiedzieć, czego potrzebują. Okazało się, że najpierw one mnie przeszkoliły.

– Jak to?

– Normalnie. Wyczuwały fałsz natychmiast. I zamykały się jak ślimaki w skorupkach. Trzeba było z nimi postępować szczerze. Bez ściemniania. Po prostu inaczej się nie dało. Żadne tam teorie ze studiów. Tylko prawda i bycie sobą. Tam też nauczyłam się pytać. Ludzie sami niczego ci nie powiedzą, bo po co? Jak chcesz wiedzieć – pytaj.

– I nie obawiasz się? – zapytałam.

– A co mi może grozić? Najwyżej ktoś nie odpowie. A to też jakaś informacja. Zresztą odkąd bardziej się zaangażowałam w pracę dla innych, dodałam sobie trzecią zasadę: czegoś ci potrzeba? Proś o to. Już sporo rzeczy wyprosiłam dla naszych podopiecznych.

– Nie powiesz mi, że prosisz i zawsze dostajesz. – Trochę wkurzyła mnie idealistyczna wizja Mileny.

– Oczywiście że nie zawsze. Powiem więcej – dostaję tylko czasami, nawet bardzo rzadko. Dlatego tym bardziej muszę prosić.

– Trudno mi w to uwierzyć...

Milena spojrzała na mnie uważnie.

– Chciałaś wiedzieć i zapytałaś. Ja odpowiedziałam. Czy to nie ilustracja tego, o czym mówiłam? Teraz możesz zrobić z tym, co zechcesz, prawda? Nawet uznać za bzdurę. A tak przy okazji: gdybyś знаła kogoś, kto ma niepotrzebny laptop, to chętnie wezmę dla jednego z naszych podopiecznych. – Powiedziała to tak naturalnie, jakby mówiła o tym, co zjadła na śniadanie. Po czym ponownie zamknęła oczy i wystawiła twarz na działanie słonecznych promieni.

Drugiego dnia wieczorem wypytałam Milenę o jej pracę w organizacjach pozarządowych. Dowiedziałam się wiele, poznałam dramatyczne historie kilku podopiecznych. Milena nie ukrywała niczego – mówiła o sukcesach, ale i o porażkach, trudnościach, tragediach. Widziałam, że daje z siebie wiele, kocha to, co robi. Zwierzyłam się jej ze swoich planów i dostałam wiele cennych wskazówek. Zupełnie niespodziewanie wprowadziłam w życie zasady Mileny, a co ciekawe, sprawdziły się.

Te rozmowy bardzo mnie zainspirowały. Podobnie jak sama Milena. Odniosłam wrażenie, że ta dziewczyna żyje w jakimś innym świecie. Ten, który ja znałam, był pełen ludzi czyhających na potknięcia i słabości innych niczym pajak na ofiarę. W cenie była przebiegłość, spryt i dobra gra. Jej świat składał się z osób potrzebujących i pomagających, a wartościami były: zaufanie, otwartość i wiara w ludzką życzliwość. Rzeczywistość Mileny podobała mi się dużo bardziej.

Po powrocie do domu zapisałam sobie trzy zasady: „Bądź szczerą!”, „Pytaj, gdy chcesz wiedzieć!” i „Proś o pomoc!”. Powiesiłam kartkę w łazience przy lustrze. Przez kilka dni każdego ranka patrzyłam na zapisane niebieskim długopisem hasła. Czułam, że dojrzewam do działania, niczym nabrzmiałe pąki moich maków, że lada chwila będę naprawdę gotowa.

*

Byłam dumna ze swojej sypialni. Postawiłam na białe ściany, z wyjątkiem tej za łóżkiem, którą pomalowałam na ciemny błękit. Odważyłam się na eksperyment w postaci szablonu i na bocznych ścianach powstały błękitne kwiaty. Nie sądziłam, że potrafię nadać realny kształt swoim wyobrażeniom, a jednak się udało. Zachęcona powodzeniem przeglądałam internetowe inspiracje i wykorzystałam kilka ciekawych pomysłów na dekoracje. W ten sposób powstały ozdoby ze słoików wypełnionych kamykami i oplecionych kolorowym sznurkiem. Toaletkę na razie zostawiłam, ale marzyła mi się biała z motywami bratków. Jako kolejny cel postawiłam sobie naukę decoupage. Już dodałam do ulubionych strony z odpowiednim kursem. Odłożyłam to jednak na zimowe wieczory. Na razie zamówiłam farbki do szkła i już widziałam niebieskie kwiatuszki na komplecie dużych kieliszków, w których będę umieszczała zapachowe świece.

Żałowałam, że nie zatrzymałam niektórych rzeczy z domu rodziców. Teraz jak znalazł byłyby stare metalowe wieszaki, przedwojenna niemiecka maszyna do szycia, miedziane moździerze czy cynowe naczynia. A ja sprzedałam to wszystko razem z domem. W tamtym czasie moim celem była nowoczesność, podążanie za trendami, a poza tym chciałam całkowicie odciąć się od wspomnień. Z tego samego powodu miałam kłopot z realizacją jeszcze jednego pomysłu. Nad toaletką postanowiłam stworzyć kompozycję ze zdjęć oprawionych w różnorodne stylowe ramki. Kilka kupiłam za grosze na internetowych aukcjach, miałam też w planach wizytę na pchlim targu. Kłopot w tym, że nie było fotografii, które mogłyby te ramki wypełnić.

Usiadłam na brzegu łóżka i patrzyłam na ścianę. Gdybym nie spaliła albumu, mogłabym teraz w puste

miejsca wstawić zatrzymane na kliszach chwile z przeszłości. A potem każdego dnia, podczas porannego makijażu, i każdego wieczoru, przygotowując się do snu, patrzeć na nie. Przypominałyby mi miniony czas, wspomagały zawodną przecież pamięć, dawały wsparcie i pociechę po ciężkim dniu albo motywowały do działania w trudne poranki.

Czy rzeczywiście? Wróciłam myślami do popołudnia na tarasie, kiedy kilka godzin po rozwodzie znalazłam stary album. Wtedy oglądałam uważnie każdą z zachowanych w nim fotografii. Większość była tylko niewiele znaczącymi obrazkami, które nie przykuwały mojej uwagi na dłużej niż kilka sekund. Ot, pstryknięcia dla zabawy, w mało znaczących momentach, z niewiele więcej znaczącymi osobami. Efekt nawyku czy mody. A może łatwości w ich wykonaniu? Odkąd aparaty fotograficzne stały się dostępne właściwie dla wszystkich, a zdjęcia można było wywołać prawie na każdej ulicy, fotografowanie przestało być sztuką. Nie przynależało już do chwil specjalnych, wyjątkowo uroczystych czy znaczących, nie wymagało długotrwałego pozowania, dbania o szczegóły. Można było pozwolić sobie na wiele ujęć, bez zastanowienia i przemyśleń. Pstryk i obraz zatrzymany na zawsze. Gdziekolwiek i z kimkolwiek. I w ten sposób fotografie straciły swoją magię, moc i wartość płynącą z wyjątkowości. Może dlatego tak wiele z nich nie ma żadnego znaczenia, mogłyby nie istnieć, jak chwile na nich utrwalone?

Są jednak i takie, które właśnie dzięki brakowi przygotowania, wykonane z zaskoczenia, pokazują nie starannie zaaranżowany wizerunek, lecz prawdziwy obraz ludzi na nich uwiecznionych. Wśród obrazków w moim albumie znalazłam kilka takich. Prawdziwych, szczerych do bólu, bezlitośnie obnażających przeszłość. To one właśnie pomogły mi zobaczyć moje życie odarte z kolorowego papierka luksusu, pozwoliły dostrzec prawdziwe spojrzenia i zrozumieć gesty. Dzięki nim odbyłam podróż od dzieciństwa do chwili rozvodu i rozliczyłam się z tym wszystkim, co minęło. Były potrzebne i w tym sensie bezcenne.

Ale czy chciałabym mieć je teraz? Czy chciałabym patrzeć na nie każdego ranka i wieczora, na nowo wspominając tamte chwile? Co czułabym, widząc je tuż przy swojej twarzy?

Rodzinne przyjęcie po mojej maturze? Pierwsze studenckie wakacje? Sylwester z Darkiem? A może Kora i jej córka? Które z tych okrucich wspomnień uwiecznionych na zdjęciach mogłoby mi dawać siłę? Żadne. Ich czas się skończył. Nie chciałam więcej na nie patrzeć. Owszem, ich moc pozostanie na zawsze, bo dały mi wiedzę, świadomość, której wcześniej nie miałam i przygotowały mnie do dalszego życia. Ale na tym ich rola się skończyła. Nie mogły mnie wspierać, nie nadawały się do tego.

Co chciałabym widzieć w swoich ramkach? Na pewno coś, co uważam za sukces, chwile, w których jestem naprawdę szczęśliwa, zadowolona, dumna. Momenty radosne, a jeżeli nawet nie, to przynajmniej takie, których nie muszę żałować. Może nawet smutne i nostalgiczne, ale niepokazujące smutku rozczarowania i zawodu. Pragnę patrzeć na swoje życie z poczuciem, że miałam świadomy wpływ na to, co się w nim działo, nie chcę więcej odkrywać, że ktoś wybiera i decyduje za mnie. Nie chcę patrzeć na ludzi, których oczekiwania mam spełniać i których rozczarowuję za każdym razem, gdy próbuję żyć po swojemu. Marzę o zdjęciach MOJEGO życia, takiego, jakie sama stworzę.

Po namyśle doszłam do wniosku, że to będzie kolekcja przyszłości, powstająca z przyszłych obrazów. Do pierwszej postanowiłam włożyć swoje „selfie”. Jako symbol pierwszego efektu zmian. Pozostałe ramki na razie pozostaną puste i będą jeszcze jedną motywacją do działania. Zresztą same w sobie także stanowiły interesującą dekorację.

Co ciekawe, tworzenie pięknych i oryginalnych rzeczy wcale nie wymagało jakichś wielkich talentów. Do tej pory sądziłam, że podobne przedmioty mogą robić tylko prawdziwi artyści, że trzeba posiadać coś

w rodzaju daru, a tymczasem wystarczyły chęci i trochę cierpliwości. Oczywiście moje dzieła nie były najpiękniejsze na świecie, ale prezentowały się całkiem dobrze.

– W sumie to chyba tak jest ze wszystkim – powiedział Mariusz, kiedy podzieliłam się z nim tą refleksją. – Są tacy, którzy tworzą wiekopomne dzieła, ale czy tylko takie się liczą? Można robić coś mniej idealnego, ale dobrego i przydatnego.

Nie wiem, dlaczego telefon dzwoni zawsze, kiedy człowiek robi coś, co naprawdę go pochłania? Właśnie zawzięcie mocowałam się z kosiarką, bo w ciągu ostatnich tygodni trochę zaniedbałam trawniki. Popołudniowy upał nieco dawał się we znaki, zwłaszcza w połączeniu z wysiłkiem fizycznym, jednak nie poddawałam się. Kosiłam w koszulce na ramiączkach i szortach, bo liczyłam na połączenie przyjemnego z pożytecznym, czyli pięknych trawników ze złotą opalenizną. Telefon wsadziłam do tylnej kieszeni spodenek i ledwie usłyszałam jego dzwonek. Spojrzałam na wyświetlacz. Darek. Nacisnęłam guziczek z zieloną słuchawką.

– Cześć, możesz rozmawiać czy przeszkadzam?

– Walczę z kosiarką, ale chętnie zrobię sobie przerwę. Poczekaj moment, wejdę na taras.

Z ulgą opadłam na wiklinowe krzesło ustawione w cieniu zielonego parasola. Nalałam soku do szklanki i otarłam spocone czoło

– Już cię słucham – oznajmiłam.

– Dzwonię z pytaniem, czym się teraz zajmujesz.

– Ostatnio pomalowałam sypialnię i popełniłam kilka artystycznych ozdóbek – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Nata, proszę cię – roześmiał się mój były mąż. – Pytam poważnie. Chodzi mi o pracę zawodową.

– Odpowiadam poważnie. A zawodowo na razie nie robię nic konkretnego. Można powiedzieć, że jestem na etapie planowania.

Zupełnie zlekceważył moje słowa. To było jak najbardziej w jego stylu. Plany innych nie stanowiły przedmiotu jego zainteresowania, zwłaszcza gdy miał własne.

– Skoro nie robisz nic szczególnego, to pewnie się nudzisz? Pomyślałem, że szkoda byłoby marnować twój potencjał. A ostatnio tak dobrze nam się gadało... I przyszło mi do głowy, że może miałabyś ochotę współpracować z agencją? Oczywiście nie za darmo. Wiesz, że zawsze cenilem twoje pomysły, a ktoś taki, zwłaszcza w trudniejszych czasach, to skarb dla każdej firmy. Mogłabyś się czymś zająć, nie siedziałabyś w domu sama jak palec...

– Nie siedzę w domu, nie nudzę się i nie jestem sama jak palec – przerwałam z oburzeniem. Czy on zawsze musi podnieść mi ciśnienie?! – Poza tym jak ty to sobie wyobrażasz? Miałabym pracować w miejscu, gdzie wszyscy wiedzą, a na dodatek...

Tym razem on przerwał.

– Nie unós się, nie chciałem cię urazić. Nikt nie wie, bo może nie zauważyłaś, ale minęło trochę czasu. Pracownicy się zmienili. Zresztą nie musiałybyś siedzieć w biurze. Mogłabyś być takim wolnym strzelcem, teraz to się nazywa freelancer. Jak kiedyś Kora, pamiętasz?

– Wiem, jak to się nazywa. I nie o to chodzi. Pytam o to, jak sobie wyobrażasz moją pracę w jednej firmie z twoją... – zawahałam się – z nią.

W słuchawce zapanowało milczenie. Wykorzystałam to i dolałam sobie soku.

– Ona nie pracuje w agencji – odpowiedział wreszcie. – Czy naprawdę masz mnie za takiego chama,

zupełnie pozbawionego wycucia?

– Aż za takiego nie – rozbawił mnie tym stwierdzeniem. Nie zamierzałam wnikać w powody nieobecności jego partnerki w firmie, nie interesowało mnie to zupełnie. – Mimo to nie przyjmę twojej propozycji. Naprawdę mam co robić i mam też plany na przyszłość. Oczywiście gdybyś potrzebował pomocy czy konsultacji, chętnie coś doradzę. W ramach przyjacielskiej pomocy. Numer znasz.

– Jak chcesz, nie będę cię zmuszał. I dzięki za chęć pomocy, a zwłaszcza za tę „przyjacielską”. W ramach rewanżu mogę przyjechać i wspomóc cię w walce z kosiarką.

– Dzięki, ale już kończę. – Wygląda na to, że tym razem wygram. Lubiłam, gdy wchodziliśmy na ten poziom rozmowy.

– W takim razie następnym razem. Numer znasz – roześmiał się Darek.

Odłożyłam telefon. Ktoś taki jak ty to dla firmy skarb – przypominałam sobie słowa byłego. Musiał tak naprawdę myśleć, ponieważ w sprawach biznesowych nigdy nie żartował. Wyglądało na to, że inni ludzie oceniali mnie lepiej niż ja samą siebie. Miałam nowy temat do rozmyślań. Wróciłam do kosiarki. Ta praca doskonale nadawała się do połączenia z myśleniem.

*

Obudziły mnie ostre promienie, którymi słońce raz za razem kłuło mnie w nos. W pierwszej chwili byłam zła, ale kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam jasne plamki światła wesoło tańczące na ścianach sypialni, natychmiast poprawił mi się humor. W czasach mojego dzieciństwa każdego ranka, kiedy jadłam w kuchni śniadanie, pani Stasia włączała radio. Dyżurną piosenką, mającą chyba pozytywnie nastroić lud pracujący miast i wsi, był miły dla ucha kawałek zespołu Alibabki. Teraz wylaźł gdzieś z mroków wspomnień i chodził po głowie. „Jak dobrze wstać skoro świt...” – zanuciłam.

Przeciągając się w pościeli, obrzuciłam spojrzeniem pokój. Zatrzymałam wzrok na pustych ramkach. „Obiecał mi poranek szczęście dziś...”. W zasadzie nie wierzę w jakieś olśnienia, ale to, co poczułam, mogłabym tak chyba nazwać. Wygrzebałam się z pościeli i podeszłam do toaletki. Wyjęłam z szufladki ulotkę reklamową spa, której podczas porządków jakoś nie potrafiłam wyrzucić, i oparłam ją o lustro. Wiedziałam, co mam robić. To był ten dzień. Nadszedł czas na pierwszy krok. Pomyślałam o pięciu młodych kobietach. Gdzie jesteście? Co robicie? Dowiem się, odnajdę was.

Zesłam do kuchni. Czuję, że muszę zjeść coś konkretnego, co da mi energię do realizacji planu. Przygotowując śniadanie, zerknęłam na kalendarz. Pierwszy dzień lata. Doskonały czas na rozpoczęcie czegoś dobrego – stwierdziłam. „Nie zmąci mej radości żaden cień...” – podśpiewywałam, krojąc pomidora.

*

Za każdym razem, gdy wchodziłam do garażu, prawie potykałam się o rower. Postawiłam go tutaj po przywiezieniu ze sklepu i odtąd stał jak wyrzut sumienia. Przypominał mi o spotkaniu z Heńkiem i o Lidce. A to nie działało na mnie dobrze. Omijałam więc pojazd i starałam się o nim nie myśleć.

Dzisiaj, kiedy kolejny raz boleśnie zahaczyłam piszczelem o pedał, postanowiłam wreszcie go przestawić. Położyłam ręce na kierownicy i podniosłam stopkę. A gdyby tak spróbować się przejechać?

– pomyślałam. – Taki ładny dzień. W sam raz na wycieczkę.

Popatrzyłam uważniej na rower. Właściwie to do tej pory nawet go nie obejrzałam. Pogłaskałam zieloną, błyszczącą ramę, poklepałam skórzane siodełko. Miękkie – oceniłam. Nieco zbiły mnie z tropu srebrne uchwyty przy kierownicy. Domyślałam się, że to hamulce, ale rower, który miałam w dzieciństwie nie posiadał takich ekstrawagancji. Hamowało się po prostu nogami, to znaczy pedałami, obracając je do tyłu.

Jeszcze bardziej tajemnicze były pokrętełka z wypisanymi dookoła liczbami, czyli to, co Heniek określił „przerzutkami”. Podobne do zmiany biegów w samochodzie. Tylko co z tym zrobić?

Najbezpieczniejszy i najbardziej przyjazny wydawał mi się koszyczek. Do tego bardzo kobiecy, dzięki niemu rower nabierał romantycznego charakteru i przywodził na myśl wyprawę na wesoły piknik albo obrazek kobiety w letniej sukience wracającej z zakupów w wiejskim sklepiku. Polubiłam mój koszyczek od razu, natomiast do całej reszty odnosiłam się z lekką nieufnością.

Czy jeszcze umiem jeździć na rowerze? – zastanawiałam się. Przecież ostatni raz pedały pod stopami miałam ze dwadzieścia pięć lat temu. Pamiętałam swój wysłużony Wigry3, którym jeździłam do lasu. Wtedy taki sprzęt był marzeniem, nie każdy mógł go mieć. Nie chodziło nawet o cenę, ale o samą możliwość zakupu. Nie to, co teraz – wybór ogromny, dostępne od ręki, byle mieć czym zapłacić.

Wyprowadziłam pojazd z garażu, zdecydowana na małą próbę na podjeździe. Z lekką niepewnością przełożyłam nogę przez ramę i stając na palcach, przysiadłam na siodełku. Delikatnie się odepchnęłam, gotowa w każdej chwili do zeskoku. Na szczęście rower był chyba przyjacielsko nastawiony nawet do tak nieporadnej pasażerki, bo posłusznie potoczył się naprzód, nie rozwijając zbyt wielkiej prędkości. Obyło się także bez żadnych niespodziewanych skrętów.

Wszystko wskazywało na to, że to łagodne urządzenie i zdołam nad nim zapanować. Od razu poczułam do niego więcej sympatii. Zdecydowałam się też na oderwanie stóp od kostki, którą wyłożony był podjazd. Kontrolując tor ruchu, odnalazłam pedały i wykonałam nimi pierwszy obrót. Rower przyspieszył, lekko się zakołysał, ale nie straciłam równowagi. Co prawda pierwsze rundki dookoła podwórka przypominały raczej jazdę zygakiem, ale byłam całkiem zadowolona z efektów.

Z każdym wykonanym kółkiem szło mi coraz lepiej. I coraz bardziej zaczynało mi się to podobać. Mieli rację ci, co mówili, że pływanie i jazdy na rowerze się nie zapominają. Za to prawie zapominałam, jakie to przyjemne. Nagle zdałam sobie sprawę, że się śmieję. Nie uśmiecham, ale śmieję – głośno, zupełnie bez kontroli. Zdziwił mnie własny śmiech. Zaskoczył. Bardzo dawno go nie słyszałam. Choćby z tego powodu warto było kupić te dwa kółka. Już wiedziałam, że skradły mi serce.

Widać pierwszy dzień lata jest dla mnie szczęśliwy – pomyślałam. – Nie ma co czekać, trzeba go wykorzystać.

Szybkie postępy na podjeździe dodały mi odwagi. Wbiegłam do domu, chwyciłam butelkę wody mineralnej i już byłam gotowa do drogi.

Na początku szło gładko. Dopóki jechałam betonową alejką, rower słuchał mnie grzecznie i bez żadnych problemów wykonywał to, czego oczekiwałam. Zdecydowałam się nawet zwiększyć prędkość i z radością przyjmowałam podmuchy na policzkach. Na razie postanowiłam nie zgłębiać tajników technicznych, sprawę przerzutek pozostawiając na wieczorną posiadówkę przed komputerem. Hamulcami też się nie martwiłam, bo okazało się, że mój model można zatrzymać w sposób tradycyjny, znany mi z dzieciństwa. To pewnie specjalna konstrukcja dla starszerek – pomyślałam i parsknęłam śmiechem.

W tej chwili czułam się bardzo daleka od starości.

Sprawa się nieco skomplikowała, gdy wjechałam na dziką ścieżkę. Co prawda za moim domem powstawały już kolejne budynki, ale nadal zupełnie niedaleko było coś w rodzaju mikrego lasu, a właściwie łąki zarośniętej rachitycznymi drzewkami i krzewami. Między nimi ludzie wydeptali i wyjeździli dość szerokie ścieżki. Najwyraźniej było w okolicy wielu amatorów aktywnego trybu życia. Dlaczego nie miałabym iść ich śladem? Wystarczyło skrócić. Co uczyniłam. I zaraz pożałowałam swojej nierozważnej decyzji.

Bo co innego asfalt, a co innego piaszczysta dróżka z kępami trawy w najmniej oczekiwanych miejscach. Może dla bardziej wprawnego rowerzysty nie byłoby żadnego problemu, ale jak na pierwszy raz, to chyba przesadziłam z wiarą w swoje możliwości. Manewrowałam najlepiej jak potrafiłam, a utrzymanie równowagi kosztowało mnie sporo wysiłku. Skupiona na obserwowaniu drogi tuż przed przednim kołem, nie zauważyłam zbliżającego się z przeciwka biegacza. Traf chciał, że gdy był tuż przede mną, rower podskoczył na kolejnej nierówności, butelka z wodą przetoczyła się w drugi róg koszyczka, a kierownica, obciążona nierównomiernie, obróciła się i cały rower wykonał niekontrolowany skręt w lewo.

– Co jest?! – wykrzyknął biegacz, odskakując wprost w przydrożny krzew.

Zahamowałam i nawet udało mi się nie przewrócić. Otarłam spocone czoło rękawem bluzki.

– Przepraszam pana bardzo – naprawdę było mi głupio. – Nic się panu nie stało?

Mężczyzna wyszedł spod gałęzi i otrząpywał się z liści. Chyba oprócz ubytków w ogólnym wizerunku i estetyce nic mu nie było. Kamień spadł mi z serca.

– Jeszcze raz przepraszam. Wyjechałam pierwszy raz od lat i chyba przeceniłam swoje umiejętności. Zupełna amatorka ze mnie...

– To widać – burknął biegacz, zerkając na mnie spod oka.

Rzeczywiście, nie musiałam chyba informować o moim braku profesjonalizmu. Wyjechałam przecież tak, jak stałam – w bawełnianej koszuli i zielonych rybaczkach, na nogach miałam nieco przybrudzone ziemią tenisówki, które zakładałam do prac ogrodowych.

Za to on prezentował się naprawdę dobrze. Czerwone buty sportowe były idealnie dobrane do czapeczki z daszkiem w tym samym kolorze. Czarna, obcisła koszulka i spodenki opinały umięśnione ciało, a wizerunku sportowca dopełniało jakieś wyglądające bardzo nowocześnie urządzenie, które miał zamocowane na ramieniu. Cóż, moim celem nie było bicie rekordów, ale czerpanie radości z letniej wycieczki, więc nie czułam się wcale gorsza.

Biegacz zakończył obieranie się z listków i podszedł do mnie. Przyjrzał się uważnie rowerowi i pokręcił głową.

– Za dobry sprzęt to nie jest – ocenił.

– Mnie wystarczy – odpowiedziałam oschle, bo poczułam się urażona krytyką mojego pojazdu.

– Okej, czy ja coś mówię? – wzruszył ramionami. – Na początek nawet może być. Ale radzę kupić sobie kask i może nawet ochraniacze na nogi i ręce, bo jeździ pani jak pijany zając. Tylko czekać, aż będzie nieszczęście. Jakby pani chciała, to mogę doradzić, znam się trochę na tym, bo też czasami jeżdżę.

– W kasku? – zapytałam złośliwie, ale chyba nie wyczuł mojej ironii.

Przyjrzałam mu się uważniej. Musiał mieć około trzydziestki. Tylko modna broda zasłaniająca pół twarzy dodawała mu lat. Oczy miał intensywnie niebieskie i pewnie gdyby chciał, mógłby z ich pomocą

zmiękczyć serce niejednej dziewczyny. Najwyraźniej jednak teraz nie chciał, bo patrzył jakoś tak mało sympatycznie. W ogóle coś mnie w nim irytowało, ale sama nie wiedziałam co.

W sumie nie było o czym rozmawiać. Wpadłam na niego, przeprosiłam i to chyba koniec tematu. Postanowiłam zawrócić, bo dość miałam już wrażeń.

– Jeszcze raz przepraszam – rzuciłam przez ramię.

– W sumie nic się nie stało – odpowiedział. – Ale naprawdę niech pani kupi jakiś profesjonalny strój na ten rower, bo...

– Bo co? – odwróciłam głowę, mocno już zirytowana.

– Bo nic – burknął.

Już wiedziałam, z kim mam do czynienia. Z młodym dupkiem, dla którego przejażdżka na rowerze wymaga zakupu mnóstwa rzeczy, oczywiście znanych marek. A bieganie po lesie nie liczy się bez okablowania w najnowsze technologie i czapki pasującej do butów. Znałam takich typków. W reklamie pracowało ich całe mnóstwo. Zawsze mnie irytowali. Odjechałam, czując lekką nutkę żalu, że przynajmniej nie podarł w tych krzakach ślicznej koszulki albo nie podrapał opalonego bicepsa. Co za szczęście, że już nie prowadzę agencji. To naprawdę wielka ulga, że nie muszę takich pajaców znosić każdego dnia. I nie pozwolę, żeby jakiś niby-drwał zepsuł mi miły letni dzień.

– Spadaj – rzuciłam cichutko pod jego adresem i starając się jechać prosto, wróciłam do domu.

*

Musiałam oswoić Facebooka. Do tej pory nie uległam szałowi na ten portal społecznościowy. Może dlatego, że nie potrafiłam wymyślić, kogo miałabym zaprosić do grona swoich znajomych. Założyłam kiedyś konto, ale wyłącznie po to, żeby sprawdzić, jak to wszystko wygląda. Wydało mi się strasznie nudne, skomplikowane i chaotyczne.

Teraz moje podejście uległo zmianie. Facebook był mi bardzo potrzebny, bo tam miałam zamiar rozpocząć poszukiwania. Na szczęście, choć wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa, do wszystkich portali miałam jedno hasło, więc bez problemu udało mi się wejść na stare konto. Uzupełniłam dane, ale nie zamieściłam zdjęcia, bo po prostu żadnego nie miałam. Próbując zrozumieć różnicę między moją ścianą a stroną główną, poczułam, że sama nie dam rady. Siedziałam lekko zniechęcona i załamana, mój zapał zaczął nieco opadać. Mimo wczesnej pory upał nawet w salonie mocno już dawał się we znaki. W ramach zmiany postanowiłam wziąć chłodny prysznic. Igiełki zimnej wody zawsze mnie pobudzały; jeszcze gdy pracowałam, często właśnie w kabinie przychodziły mi do głowy najlepsze pomysły.

Nie zdążyłam nawet wejść do brodzika, bo od razu trafiłam na żółtą karteczkę przyklejoną na lustrze. „Bądź szczerą!”, „Pytaj, gdy chcesz wiedzieć!” i „Proś o pomoc!”. Jak mogłam o tym zapomnieć!

Odnalazłam numer Mileny i bez wahania wcisnęłam klawisz połączenia. Odebrała niemal natychmiast, zanim jeszcze przebrzmiał pierwszy sygnał.

– Cześć, Natasza! Co u ciebie? Z czym dzwonicz? – Już sam jej głos przepełniała pozytywna energia.

– Witaj. Wiem, że jesteś zajęta, ale potrzebuję pomocy. To nic wielkiego, może nawet trochę śmieszne, ale zależy mi...

– Dawaj, kochana, wal śmiało! Właśnie piszę wyjątkowo nudne pismo i z radością zrobię sobie przerwę. Można powiedzieć, że z nieba mi spadasz! – Taka była Milena. Ja dzwoniłam ze sprawą,

odrywałam ją od pracy, a ona potrafiła sprawić, że czułam, jakbym to ja jej pomagała.

Wyjaśniłam swój kłopot.

– Nie ma sprawy. Za chwilę zorganizujemy przyspieszony kurs obsługi portalu społecznościowego. Dasz mi pięć minut? Zrobię sobie kawkę i możemy zaczynać.

Odczekałam dziesięć minut, sama zaopatrzyłam się w duży kubek aromatycznego napoju i zadzwoniłam ponownie.

– Najpierw wpisz w to okienko na górze strony moje imię i nazwisko – zarządziła Milena. Wykonałam polecenie i natychmiast znalazłam zdjęcie przedstawiające jej uśmiechniętą twarz. Dzięki dalszym instrukcjom i wyjaśnieniom dodałam ją do znajomych.

– Super! – ucieszyła się koleżanka. – Zobacz, jaka z ciebie zdolniacha! Teraz przejdziemy do rozmowy na czacie. Nie przestrasz się – zaraz wyskoczy ci takie małe okienko z wiadomością ode mnie. Wyskoczyło?

Wyskoczyło. Mogłyśmy się rozłączyć. Następne trzy kwadransy spędziłyśmy na omawianiu poszczególnych funkcji. Dużo tego było, ale Milena nie traciła cierpliwości i odpowiadała na wszystkie pytania. Z każdą chwilą czułam się pewniej w zakamarkach niebieskiej strony i coraz lepiej rozumiałam zasady jej działania.

– Niniejszym nadaję ci tytuł specjalisty do spraw Facebooka – napisała Milena. – Teraz muszę lecieć na spotkanie z człowiekiem, który obiecał pomalować kilka pokoi w naszej świetlicy. Odezwę się wieczorem. Powodzenia!:)

– Bardzo ci dziękuję za pomoc – odpisałam.

– Wiedziałam, że dasz radę, Nataszo! – pojawiło się na ekranie wraz z różowym serduszkami.

Jasne, że dam radę!

To było bardzo owocne przedpołudnie. Głowę miałam pełną nowych wiadomości, ale dominującym uczuciem było zdumienie. Tyle możliwości! Dlaczego tego wcześniej nie odkryłam? W ramach przerwy pojechałam do sklepu, a potem przygotowałam szybki makaron z sosem carbonara.

*

Przed wieczorem zasiadłam z laptopem na tarasie. Było ciepło, a podlane rośliny odżyły po całodniowym upale. Zaopatrzona w dzbanek wody z cytryną rozpoczęłam poszukiwania. Kaśki i Justyny nie udało mi się odnaleźć, ale z tym liczyłam się od początku. Sprawdziłam dla porządku, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia.

Za to Agnieszkę znalazłam bez problemu. Zanim do niej napisałam, obejrzałam zdjęcia, które miała na swoim profilu. Piękny dom we Włoszech. Fotografie z córką, na których przypominały siostry. Musiałam przyznać, że Agnieszka wyglądała, jakby czas dla niej się zatrzymał. Ucieszyło mnie to, bo przyjaciółka sprawiała wrażenie szczęśliwej i zadowolonej z życia. Zdecydowałam się do niej napisać.

Agnieszko, nie wiem, czy pamiętasz jeszcze znajomą z dawnych lat. Odnalazłam cię, bo jestem ciekawa, jak ci się żyje. Choć minęło już trochę czasu od naszego ostatniego spotkania, to mam nadzieję, że sobie mnie przypomnisz i zechcesz się odezwać. Pozdrawiam serdecznie. Natasza.

Klik i wysłane.

Trochę trudniej było z Jolantą. Wyszukiwarka na Facebooku jej nie odnajdywała, Agaty również, ale nie zamierzałam tak łatwo się poddać. Spróbowałam w Google i udało się. Znalazłam relację z jakiejś wystawy obrazów, z której wynikało, że Jola przyjęła artystyczny pseudonim. Chwyciłam trop i trafiłam w dziesiątkę. Nie miała profilu prywatnego, był natomiast fanpage. Różnice wyjaśniła mi rano Milena, więc najpierw polubiłam stronę, a dopiero potem napisałam wiadomość. Pozostało mi po prostu oczekiwanie na odpowiedź.

Tego wieczoru odszukałam jeszcze gestaltowe dziewczyny i powoli zaczęłam budować grono znajomych. Przejrzałam kilka grup, zapisałam się do rękodzielniczej i polubiłam dwie strony o pielęgnacji ogrodów. Facebook okazał się prawdziwą kopalnią przydatnych informacji. Niestety, dosłownie kopalnią, bo sporo czasu zajmowało „dokopanie się” do interesujących wiadomości i stron. Mimo to uznałam, że warto.

*

Dziewczyny odpowiedziały już następnego dnia. Najwyraźniej były bardziej obeznane z portalem niż ja. Czytając wiadomości od nich, byłam bardzo szczęśliwa. Obie wyraziły radość i chęć odnowienia kontaktu. Zaproponowałam „spotkanie trójstronne” na czacie, podałam też swój numer telefonu.

Po południu zadzwoniła Jolanta.

– Natasza, jak miło cię słyszeć! Tyle lat!

Wzruszyłam się, bo czułam w jej głosie autentyczną radość. Rozmawiałyśmy chwilę i ustaliłyśmy, że najlepszym sposobem na wspólne wirtualne spotkanie będzie Skype.

– Nie wybierasz się nad morze? – do rozmowy nieoczekiwanie włączyła się Agata. – Gdybyś chciała zrobić sobie urlop, to zapraszamy do nas. Z dala od cywilizacji, artystycznie i kameralnie.

– Kto wie, może się wybiorę. – Byłam zaskoczona, że Agata, którą pamiętałam jako dość małomówną i mało towarzyską, w ogóle chciała włączyć się w naszą konwersację.

Ustaliłyśmy wstępnie termin internetowych pogaduszek, zobowiązałam się dograć sprawę z Agnieszką. Wyglądało na to, że jednak łączy nas coś więcej niż udawana sympatia. Mogły przecież nie odpowiadać, nie musiały mieć ochoty na odświeżanie biznesowych układów z dawnych lat. A jednak chciały. Nawet Agata. Miło było przekonać się, że są jeszcze osoby, które o mnie nie zapomniały i którym na mnie zależy. Odrobina goryczy, pojawiająca się, gdy myślałam, jak bardzo byłam kiedyś zapatrzona w siebie, nie mogła zdusić radości. Chociaż szczerze mówiąc, miałam nieco trudności z zaakceptowaniem tego wspomnienia. Na szczęście od takich spraw miałam Mariusza. „Proś o pomoc, gdy jej potrzebujesz!”.

*

Muszę przyznać, że niezbyt miłe spotkanie z biegaczem trochę ostudziło mój zapał do jazdy, ale z drugiej strony coś nie pozwalało mi się poddać. Kiedy tylko trochę przestały mnie boleć mięśnie (drugi powód, dla którego na chwilę zarzuciłam nowy sposób spędzania czasu, a który uparcie wypierałam, udając, że głównie chodzi o umięśnionego drwala), przeprosiłam się z zielonym rowerem i starałam się odbywać krótsze, mniej męczące, ale za to bardziej regularne przejażdżki. Wyjeżdżałam trzy razy w tygodniu, ale

ograniczałam się do asfaltowych ścieżek, chodników i bocznych uliczek, omijając krzaczasty teren, na którym mogłabym ponownie zetknąć się z tym, którego spotkać nie chciałam. Wiedziałam, że mogłabym go ustawić kilkoma zdaniem, ale nie miałam ochoty na konfrontację. Bo tak naprawdę tego rodzaju zwycięstwa dawały energię i poczucie siły tylko na moment, a ja nie chciałam już namiastek, szkoda mi było czasu na pozorne sukcesy. Niech więc sobie biega po krzakach ten młodzieniec w markowych ciuchach, a ja spokojnie będę pedałować w bardziej cywilizowanych rejonach.

Dzięki rowerowi poznałam okolicę, mogłam podejrzeć, co inni mają w swoich ogrodach. Podpatrzyłam kilka ciekawych aranżacji, a co bardziej zaangażowani ogrodnicy rozpoznawali mnie już i czasami nawet wymienialiśmy pozdrowienia. Nie znałam ich, ani oni mnie, a mimo to miło było pomachać i odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech. Prawie zapomniałam o takim rodzaju międzyludzkich więzi. W dużych miastach często nawet najbliżsi sąsiedzi się nie znają. A te przyjazne gesty przypomniały mi dzieciństwo, życie w małej miejscowości, właściwie na wsi, gdzie wszyscy się znali przynajmniej z widzenia. Wtedy, jadąc rowerem, też kłaniałam się każdej napotkanej osobie. I nikt nie narzekał na brak intymności, bo chyba takie, nawet przelotne i niezobowiązujące gesty stwarzały poczucie bezpieczeństwa i przynależności. Świadomość bycia częścią grupy, trzymanie się swojego jasno określonego miejsca w niej w pewien sposób pomagały. Dzięki nim wiadomo było, jak się zachować, a czego zrobić absolutnie nie wypada. Społeczność wyznaczała granice, takie zdrowe, naturalne, a młody człowiek wiedział na przykład, że jeżeli coś przeszkobie, to nie pozostanie bezkarny. A jeśli ktoś był w potrzebie, to zwykle nie pozostawał bez pomocy.

Oczywiście miało to i swoje wady, jednak jako dziecko nie odczuwałam ich jeszcze, nie wiedziałam, jaką krzywdę może wyrządzić plotka albo społeczny ostracyzm. Byłam „córką profesora” i spotykałam się z życzliwością. Dlatego wspomnienia z tym związane były przyjemne i z tym większą radością witałam znajomych-nieznajomych z okolicy.

Cieszyłam się jazdą, bo nawet jeżeli nie schudłam, czego zresztą jakoś specjalnie nie kontrolowałam, to z pewnością poprawiła mi się cera, a słońce zabarwiło policzki i ramiona na jasnooliwkowy kolor. Wyglądałam zdrowiej, zniknęły cienie pod oczami, a po każdym powrocie przez wiele godzin czułam się radosna i pełna energii.

Dobrze, że nie zrezygnowałam. Mój upór i tym razem okazał się pomocny. To cecha, którą odziedziczyłam po ojcu. W ogóle częściej teraz o nim myślałam. Już bez złości czy żalu. Zastanawiałam się, jak ułożyłyby się nasze relacje, gdyby żył. Wiedziałam, że kochał mnie, po swojemu, ale kochał. I chociaż był dumnym człowiekiem, to potrafił przyznawać się do błędów. Kiedyś przyszło mi do głowy, że jestem do niego bardzo podobna i pomyślałam, jak byłby dumny ze mnie, z mojej walki. I z tego, że tak jak on potrafiłam ocenić swoje postępowanie i przyznać się do błędów. Tak, sądzę, że ojciec byłby wreszcie ze mnie dumny. To stwierdzenie sprawiło, że popłakałam sobie w poduszkę, ale tym razem z tęsknoty za nim. Bo chociaż bywałam na niego zła, to przecież zawsze był też dla mnie uosobieniem siły, pewności i bezpieczeństwa. Brakowało mi kogoś takiego. Bardzo brakowało.

O mamie myślałam rzadziej. Nadal miałam problem ze znalezieniem cieplejszych uczuć do tej, która przecież powinna być najbliższą osobą. Chyba nie byłam jeszcze gotowa, żeby jej wybaczyć, w pełni zrozumieć i zaakceptować tę całą historię z moim bratem. Najczęściej wspominałam ostatnie dni przed jej śmiercią, ale i to przynosiło jedynie żal i smutek. Jej brak też mi dokuczał, ale inaczej. Bardziej chyba to, że nigdy już nie zdołam dowiedzieć się, czy byłam dla niej ważna, czy kochała mnie, czy raczej

patrzyła jak na mniej udaną namiastkę najdroższego syna. Musiałam jednak żyć dalej z tym brakiem pewności, z nieutulonym żalem i tęsknotą za ciepłym matczynym uściskiem. To było trudne, dlatego starałam się jak najrzadziej ją wspominać.

O tym wszystkim myślałam, pokonując kolejne metry i kilometry na moim zielonym rowerze. Zgłębiłam kwestię przerzutek, a dzięki Facebookowi dowiedziałam się o telefonicznej aplikacji, dzięki której mogłam mierzyć pokonany dystans i spalane kalorie. Nie notowałam tego, nie miałam żadnego konkretnego celu, raczej z ciekawości zerkałam i rejestrowałam, że mogę jeździć coraz dłużej i wcale mnie to nie męczy. Przeciwnie – to było chyba jedno z bardziej relaksujących zajęć, jakie znałam. Aż trudno uwierzyć, że o zakupie roweru zdecydował przypadek, a jeszcze wcześniej mój udział w spotkaniach grupy AA. Naprawdę nigdy nie wiadomo, co szykuje dla nas przeznaczenie i jak pokręcone są ścieżki naszych losów. Gdyby ktoś kilka lat temu pokazał mi Heńka i powiedział, że będę słuchała jego porad, a potem wypiję z nim kawę, to chyba brzuch rozbolałby mnie ze śmiechu. Tymczasem nie było w tym nic śmiesznego. Jeżeli już, to gorzka lekcja od życia, dzięki której rozumiałam, że właściwie niczym nie różnię się nie tylko od ludzi takich jak Mateusz czy Jola, ale i takich jak Heniek czy Lidka. Może tylko w pewnym momencie miałam więcej szczęścia. I za to szczęście powinnam być wdzięczna.

*

Z duszą na ramieniu włączyłam komunikator na pięć minut przed umówioną godziną. Mimo wielkiej radości miałam też sporo obaw. Minęło ponad dziesięć lat. Czy naprawdę będziemy miały o czym rozmawiać? Co zrobimy po wymianie grzeczności i relacjach z tego, co się wydarzyło?

Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć o wszystkim. Tak od razu się odsłonić. To wiązało się z zaufaniem, zresztą nie wiedziałam, czy będą chciały słuchać. Nigdy dotąd nie poruszałyśmy bardziej osobistych spraw, o trudnościach czy problemach żadna z nas nie wspominała.

Od rana czekałam niecierpliwie na połączenie, wszystkie czynności były tylko próbą zabicia czasu. Serce waliło mi jak przed ważnym egzaminem. Czułam się odpowiedzialna za przebieg spotkania, w końcu to ja je zorganizowałam. Część stresu oddałam ziemi, przekopując z zapalem miejsce po uschłym igłaku, jednak reszta pozostała. Odliczając ostatnie minuty, nerwowo pocierałam dłonie.

Wreszcie usłyszałam pierwszy sygnał. Jolanta z Agatą. Agnieszka, jak to ona, spóźniła się kilka minut.
– Zawsze lubiłaś mieć mocne wejście – roześmiała się Jola. – Nie zmieniłaś się nie tylko wizualnie, stara wariatko!

Nie wiem, jak i kiedy to się stało, ale pierwsza sztywność szybko została przełamana. Gadałyśmy tak, jakbyśmy się nigdy nie rozstały, jakby ostatnie spotkanie odbyło się nie naście lat temu, a zaledwie wczoraj. Dowiedziałam się o losach dziewczyn, pogadałyśmy o tym, co robią teraz, jak żyją. Wspominałyśmy Kaśkę i Justynę, ale żadna z nas nie wiedziała, co dokładnie się z nimi dzieje.

– A co u ciebie? – Pytanie, którego najbardziej się obawiałam padło z ust Agnieszki.
„Bądź szczerą!” – przypomniałam sobie. I opowiedziałam. Nie ukrywałam ani poronienia, ani nałogu, ani zdrady i rozwodu. Płakałyśmy wszystkie, nawet twarda Agata. I to ona pierwsza skomentowała moje wyznanie.

– Zawsze mówiłam Joli, że jesteś bardzo wrażliwa. Nawet dziwiłam się, że wytrzymujesz tę harówkę

i całe to biznesowe towarzystwo. Gratuluję ci, bo trzeba wiele odwagi, żeby zmierzyć się z samą sobą.

– My o tym dobrze wiemy – dodała Jola.

– Dzięki dziewczyny! – wychlipałam. – Strasznie się cieszę, że was znalazłam.

– Słuchaj, mam pomysł! Zapraszam cię do siebie. Samanty i tak ciągle nie ma, bo jeździ z pokazu na pokaz, więc siedzę sama. Przyjeżdżaj, tutejszy klimat dobrze ci zrobi. Zapomnisz o wszystkim, co złe, gwarantuję! Możesz siedzieć choćby do przyszłej wiosny. – Agnieszka jak zawsze wpadała na niesamowite pomysły i nie brała pod uwagę sprzeciwu.

Podziękowałam jednak.

– Nie mogę teraz wyjechać do Włoch. Mam pewien pomysł, właściwie marzenie, nie wiem tylko dokładnie, jak zacząć.

Jedna przez drugą zaczęły wypytywać i żądały natychmiastowych wyjaśnień. Opowiedziałam więc o wspieraniu kobiet, o miejscu, w którym mogłyby zmienić siebie i swoje życie.

– Gdybym ja trafiła w takie miejsce, może oszczędziłabym sobie wielu niemiłych doświadczeń.

Zamilkłam, czekając na reakcję. I znowu niezawodne okazało się rzeczowe spojrzenie Agaty.

– Powinnaś założyć fundację. To najlepsze rozwiązanie. Będziesz mogła starać się o dofinansowanie z różnych źródeł, teraz jest mnóstwo możliwości. Dam ci namiary na różne kobiece organizacje. Ja już nie działałam tak aktywnie jak kiedyś, ale mam nadal mnóstwo kontaktów.

Uznałam to za doskonały pomysł. Sama już go rozważałam, ale chyba brakowało mi odwagi na podjęcie ostatecznej decyzji. Dziewczyny od razu zadeklarowały pomoc i wsparcie. Przekonywały, że dam sobie doskonale radę.

– Pamiętasz, ile rzeczy razem wymyślałyśmy? – przypomniała Agnieszka. – I zawsze się udawało. Teraz też się uda. A jak będziesz w potrzebie – zawsze pomoże ci któraś przyjaciółka.

– Aga, to doskonała nazwa dla fundacji. Przyjaciółka! – ucieszyła się Jola.

– Twoja Przyjaciółka – sprecyzowałam.

– To teraz umów się z prawnikiem. – Agata od razu urealniła nasze fantazje.

Przegadałyśmy prawie całą noc. Jola opowiadała o swoich wystawach, Agnieszka o córce, Agata o walce o prawa kobiet. Ja chwaliłam Gestalt i obiecałam wrzucić na Facebooka zdjęcia mojej sypialni. To była wspaniała noc. Rozstałyśmy się z obietnicą dalszych wirtualnych spotkań, które miałyśmy zamiar w przyszłości zamienić na rzeczywiste.

Teraz reklama spa przestała już być potrzebna. Zamiast niej przykleiłam na ramce lustra żółtą karteczkę z napisem „Twoja Przyjaciółka”.

*

Rowerowe przejażdżki stały się już stałym elementem mojego życia. Przyłapałam się nawet na tym, że podczas jazdy o wiele lepiej udaje mi się układać plany i podejmować decyzje. Nawet rozmyślenia i wspomnienia były wtedy bardziej optymistyczne. Jakby pęd powietrza na twarzy i wiatr we włosach odganiały złe nastroje i niedobre myśli. Dlatego z coraz większą przyjemnością kładłam ręce na kierownicy, a nogi z ochotą i bez wysiłku wprawiały w ruch koła.

Wyjeżdżałam nie tylko po to, żeby rozmyślać. Właściwie lubiłam samą jazdę, czułam, że to jak daleko dotrę, zależy tylko ode mnie, od mojej wytrwałości i siły. Tak, samochodem byłoby łatwiej, ale nie tak

satisfakcjonująco. A w jazdę rowerem musiałam włożyć swoją energię, pokonać zmęczenie. A dotarcie do celu dawało nie tylko radość, ale i poczucie, że można więcej, jeśli tylko bardzo się pragnie. Takie przekonanie było mi potrzebne i bardzo dobrze współgrało z tym, czego chciałam w innych aspektach życia. Skoro potrafię pokonać swoją fizyczną słabość – myślałam, pedałując zawzięcie – to pokonam też inne przeszkody. To tylko kwestia czasu, wytrwałości i siły.

Dzisiaj jechałam bez celu, bardziej dla przyjemności. Przypominałam sobie rozmowę z dziewczynami, cieszyłam się, że tak dobrze poszło. Miałam do siebie trochę pretensji o to, że nie odszukałam ich wcześniej.

Czasu nie cofnę – pomyślałam, poprawiając się na siodelku. – Za to mamy teraz szansę, żeby wszystko nadrobić. Na tym trzeba się skoncentrować.

Chyba dużo lepiej byłoby, gdybym w tym momencie koncentrowała się raczej na drodze przede mną. Niestety, ta refleksja przyszła o kilka sekund za późno. Usłyszałam głośne przekleństwo i odruchowo zahamowałam. W ostatniej chwili. Rower zatrzymał się tak gwałtownie, że aż poczułam ból w przedramionach.

– Czy ktoś pani zapłacił za zamordowanie mnie?

Niewiarygodne! To znowu ten leśny biegacz! Fatum jakieś?

– Ja chętnie bym zapłaciła, żeby nigdy więcej pana nie spotkać – odparowałam mało grzecznie. – Omijałam tamte krzaki z daleka, a panu się zachciało teraz tutaj biegać?

– Tak, biegam tędy każdego dnia. W garniturze, żeby było elegancko i od razu odpowiednio do okazji, w razie jakby mnie pani rozjechała.

Rzeczywiście. Tym razem był w pełnej korporacyjnej gali – najnowszy model marynarki, błękitna koszula i eleganckie buty. A do tego błyszczący zegarek z niezliczoną ilością małych tarcz i wskazówek – zapewne drogi i markowy. Obiektywnie rzecz biorąc, wyglądał bardzo dobrze i z pewnością był atrakcyjny, ale we mnie budził wyłącznie irytację.

– A to dzisiaj jakieś święto, że pan nie w tych sportowych trykotach? – pozwoliłam sobie na kolejną złośliwość, bo chociaż miałam świadomość, że to ja jestem winna, to ani mi się śniło być pokorną wobec tego wymuskanego młodzieńca.

– Niech sobie pani wyobrazi, że niektórzy muszą pracować, żeby mieć za co żyć. Nie mogą sobie jeździć na rowerze w środowy poranek.

– To chyba słabo panu płacą, skoro piechotą pan do tej pracy chodzi.

– Jak piechotą? – wydawał się nieco zbity z tropu. – A, że samochodu nie widać? No padł mi właśnie. – Przeczesał dłonią blond grzywkę. – A dopiero przegląd robiłem. Zaraz będę miał zastępczy, kazałem pilnie, bo mam ważny briefing. Tylko do głównej drogi muszę wyjść, żeby nie pojechali nie wiadomo gdzie, bo te robole to strasznie są nierozgarnięte.

Ależ mnie ten człowiek denerwował! A teraz jeszcze ten „briefing” i „robole”.

– A pani nadal kasku nie ma? I chodnikami jeździ, zamiast ulicą? Czy pani sobie zdaje sprawę z tego, co robi?

Tak, pewnie – pomyślałam. – Jeszcze zacznij mnie pouczać. Pewnie myślisz, że chętnie posłucham, co o mnie sądzisz, ty pewny siebie wytworze współczesności!

Popatrzyłam na niego w sposób, jaki stosowałam wobec pracowników, którzy nie spełnili moich oczekiwań. Lodowato i wyniośle. Może efekt był mniejszy, bo brakowało kilku dodatkowych atutów –

własnego gabinetu i biurowego stroju, ale miałam nadzieję, że to wystarczy.

– Ja, proszę pana, zawsze doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co robię. I mogę sobie pozwolić na jeżdżenie każdego dnia. Za to nie pozwolę sobie na pana uwagi. Proszę więc uważać na słowa.

– Tak, pewnie, już się boję – roześmiał się ironicznie i zmierzył mnie wzrokiem. – Gospodyni domowa za chwilę na mnie nakrzyczy. Niech pani lepiej zajmie się doglądaniem dzieci i obiadem dla męża, bo do sportu to się pani raczej nie nadaje – otrzepał dłonią niewidzialny pyłek z marynarki.

Aż mnie zapowietrzyło na taką bezczelność.

– Ty uważaj, co mówisz, koleś! – Usłyszałam zza pleców dziewczęcy głos. – Ze słowami się liczy, pajacu!

Widząc zdumioną minę mężczyzny, odwróciłam się z ciekawiona. Kto tak nieoczekiwanie i ostro przyszedł mi z pomocą?

Musiałam przyznać, że nie spodziewałam się tego, co zobaczyłam. Tuż za mną właśnie hamowała z fasonem dziewczyna na rolkach. Ale jaka dziewczyna! Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jej fryzura. Sterczące na wszystkie strony włosy miały kolor, którego nie powstydziliby się Michał Wiśniewski w szczytowym momencie kariery. A to jeszcze nie wszystko. Nieznajoma ubrana była w krótkie dżinsowe spodnie o poszarpanych nogawkach i czarną koszulkę na ramiączkach, dzięki czemu można było podziwiać kolorowe tatuaże na ramionach i jeden, czarny, okalający lewą łydkę. Całości dopełniały oplecione na nadgarstkach kolorowe rzemyki, zielona parczana torba przewieszona przez ramię i różowe rolki.

Widok był naprawdę fascynujący. Dziewczyna wjechała między mnie a chłopaka i stanęła wyprostowana na rozstawionych nogach. Obserwowałam tę dwójkę i podziwiałam cudowność kontrastu. On elegancki, wymuskany niczym model i ona – rozczochrana, kolorowa i dzika. Dwie różne bajki, dwa światy, które tylko dzięki dziwnemu przypadkowi mogły się zetknąć na tej małej uliczce.

– Masz jakiś problem? – Dziewczyny najwyraźniej nie opuszczał bojowy nastrój. – No, słucham? Czego chcesz od mojej mamy?

– To twoja matka? – zdziwił się chłopak.

– Tak. Coś ci nie pasuje? – położyła dłonie na biodrach.

– Nie, nawet pasuje – wzruszył ramionami. – W sumie jaka matka, taka córka...

– Za chwilę przegniesz! – ostrzegła, patrząc mu prosto w oczy.

– Słuchaj, młoda. – Chłopak cofnął się o krok, ale nadal nie dawał za wygraną. – Twoja matka już drugi raz o mało mnie nie rozjechała. Może zanim wypuścisz ją z ogródka, powinnaś udzielić jej kilku lekcji jazdy? Bo będzie nieszczęście.

– Nieszczęście to będzie za chwilę, jeśli się stąd nie zawiniesz. Mama jechała ulicą, a ty wyszedłeś jej prosto pod koła. Widziałam doskonale. Naćpany jesteś czy co? Zresztą policja to chyba sprawdzi, nie?

Chłopak w milczeniu spoglądał na dziewczynę. Widać było, że intensywnie myśli. Wreszcie machnął ręką.

– Nie mam czasu na dyskusje z szurniętymi babami – spojrzał na swój błyszczący zegarek. – I tak już jestem spóźniony.

A, więc taki wybrałeś sposób ucieczki – pomyślałam, patrząc, jak odchodzi w stronę wylotu uliczki.

– Chyba po problemie – stwierdziła nieznajoma, podjeżdżając bliżej mnie i łapiąc za kierownicę roweru. – Wszystko okej? – zapytała.

– Tak, w porządku. – Zauważyłam, że w prawym uchu ma chyba z dziesięć kolczyków. I jeden w brwi.
– Dziękuję za pomoc. Właściwie to była moja wina i powinnam go przeprosić, ale...
– Ale panią wkurza?
– Właśnie.
– Nie dziwię się. Mnie też. Pamiętam go jeszcze ze szkoły, był trzy klasy wyżej. Zawsze taki...
– Idealny?
– Nie. Taki gładki niby. Ale pewny siebie. Że lepszy od innych. Od kasy się w głowie przewraca, nie?
A teraz jeszcze... nieważne zresztą – machnęła ręką. – W każdym razie z przyjemnością go spławiłam.
Aż mi się humor poprawił – uśmiechnęła się i mrugnęła.

Sympatyczna była, chociaż taka... nietypowa. Miała wesołe oczy i naprawdę ujmujący uśmiech. Ale charakter mocny, to było widać.

– I przepraszam, że nazwałam panią moją mamą – dodała.
– Nic nie szkodzi.
– Szkodzi – znowu się uśmiechnęła. – Bo pani wcale nie wygląda. Jakby widział więcej niż czubek własnego nosa, to od razu wiedziałby, że ściemniam. Ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy i liczyłam na to, że łyknie ten kit.

Lubiłam ją coraz bardziej. Jej pozytywna energia sprawiła, że wrócił mi dobry humor. W sumie to nawet warto było znowu wpaść na tego niesympatycznego biegacza, żeby ją poznać.

– Może jakaś kawa w ramach podziękowania? – zaproponowałam. – Mieszkam co prawda kilka kilometrów stąd, ale mamy kółka – wskazałam głową na rower i jej rolki – więc chyba mogłybyśmy dość szybko podjechać?

– Dzięki za propozycję, z przyjemnością, ale nie teraz. Mam parę rzeczy do załatwienia, a autobus już mi pewnie uciekł, więc będę musiała nadrabiać. Zresztą nie trzeba podziękowań, bo ja już swoją przyjemność miałam. Strasznie nie lubię takich łosi. – Poprawiła torbę na ramieniu i wprawnym ruchem wykonała zwrot. – Będę jechać. Powodzenia!

– Do widzenia – odpowiedziałam z uśmiechem.

Patrzyłam, jak odjeżdża. Kiedy zniknęła za zakrętem, wsiałam na mój zielony rower i pojechałam dalej. Postanowiłam, że na bocznych uliczkach nie będę jeździła po chodnikach. Jakies wnioski w końcu trzeba wyciągać z tego, co nam się przytrafia, prawda? Miałam nadzieję, że o to właśnie chodziło losowi i nie narazi mnie już na kolejne spotkania z tym, jak go ładnie nazwała dziewczyna, gładkim łosiem.

A po powrocie ustawiłam rower na tle ogrodu, do koszyczka na kierownicy włożyłam bukiet piwonii i zrobiłam zdjęcie. Miało znaleźć się w drugiej ramce na ścianie sypialni. Zielony rower – symbol mojej odwagi w podejmowaniu nowych wyzwań, zdobywania wiedzy i otwartości na nawiązywanie relacji z ludźmi, bez oceniania ich wyglądu czy przeszłości.

III

Proś o pomoc!

Grupa kobiet na tle złożonej byle jak sterty materacy. Każda inna, różnią się wiekiem i wyglądem. Widać, że ktoś próbował je ustawić w równych rzędach, jednak radość i energia nie pozwoliły im utrzymać ustalonych pozycji i poważnych min. Wszystkie są uśmiechnięte, obejmują się, a ich spojrzenia wyrażają zadowolenie. Widać, że są zrelaksowane, dobrze się ze sobą czują i chcą być razem...

Jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b”, mawiała pani Stasia. Jak się coś zacznie, trzeba dążyć do zakończenia. Teraz już nie miałam wyboru. O dziwo, wcale mnie to nie stresowało. Przeciwnie, jakby wielki ciężar spadł mi z serca. W końcu od dawna myślałam o konkretnych działaniach, ale cały czas brakowało mi impulsu do ostatecznej decyzji. Nie ukrywam, że hamowały mnie też obawy. Bałam się nie tyle tego, czy dam sobie radę, ale bardziej tego, jak zareaguję na stawienie czoła kłopotom i przeciwnościom. Co tu kryć – największy był strach przed tym, że znowu sięgnę po kieliszek.

Poparcie odzyskanych przyjaciółek stało się dla mnie dodatkową podporą, mogłam w razie problemów czy spadku motywacji liczyć na ich dobre słowo i pomoc. To dawało dodatkową siłę i motywację do działania. Agnieszka powiedziała:

– Doskonale pamiętam, jak bardzo potrzebowałam pomocy, kiedy rozstałam się z mężem. I to nie finansowej, bo wiecie, że z tym nie miałam problemu. Dużo bardziej przydałaby mi się osoba, która mnie zrozumie, pozwoli się wygadać. Nie, żeby od razu terapia, tylko zwyczajna rozmowa. Bo mnie się zawalił świat, nie mogłam jeść i spać, a wszyscy mówili, że czas leczy rany. Może mieli rację, ale to wiem teraz. Wtedy nie chciałam takich rad, tylko przyjaznego ramienia, na którym mogłabym się wypłakać.

Tym „ramieniem” byłaby właśnie moja fundacja. A przynajmniej taki miałam plan. Dopóki realizowałam go w marzeniach, rozmyślając wieczorem, bezpieczna we własnym łóżku, otulona ciepłą kołdrą, wszystko wyglądało pięknie, kolorowo i prosto. Zamyśl wypowiedziany głośno, na dodatek słyszany przez przyjaciółki, był już zobowiązaniem, z którego należało się wywiązać. Stawić czoła rzeczywistości, wziąć się za bary z kolejnymi etapami prowadzącymi do celu. Tyle że nie bardzo wiedziałam, jakie to etapy, co powinnam zrobić, jak w ogóle zacząć.

Moje dotychczasowe rozmyślenia koncentrowały się raczej na tym, co będzie, gdy organizacja stanie się faktem. Wyobrażałam sobie efekty, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, że najpierw należy zrobić mnóstwo rzeczy, załatwić wiele spraw. Jakich? To właśnie stanowiło zagadkę.

Agata radziła kontakt z prawnikiem. Pierwszym, jaki przyszedł mi do głowy był Mateusz. Z początku natychmiast odrzuciłam ten pomysł. Poradzę sobie sama, w końcu mam internet, a tam podobno jest wszystko. Z zapałem zabrałam się do poszukiwania informacji, jednak zapał szybko ostudziła rzeczywistość. Czytałam o statucie, notarialnym akcie powołania, rejestracji w Krajowym Rejestrze Sądowym, wielu zgłoszeniach, formularzach i miałam coraz większy mętlik w głowie. Do tego komentarze internautów, z których wynikało, że sam proces rejestracji może trwać co najmniej kilka miesięcy, a nawet dłużej. Przyznam, że w konfrontacji z takimi informacjami poczułam się bezradna i zaczęłam wątpić w możliwość samodzielnego przebrnięcia przez te wszystkie procedury. Najwyraźniej

Agata wiedziała, o czym mówi.

Bez entuzjazmu, bardziej z przymusu niż z przekonania, odnalazłam numer do Mateusza. Co prawda specjalizował się w rozwodach, ale chyba prawnik powinien mieć orientację we wszystkich dziedzinach będących pod opieką Temidy. Przynajmniej wyjaśni mi zawile definicje, dziwaczne pojęcia i cały ten prawniczy bełkot, którego zwyczajny człowiek z pewnością nie zrozumie. Miałam wrażenie, że wymyślono to wszystko specjalnie, żeby radcy, adwokaci i ich koledzy mieli zapewnioną klientelę i dobre zarobki.

– Natasza, miło cię słyszeć!

– Czy znajdziesz dla mnie chwilę? Mam pewną sprawę...

– Oczywiście, ale nie w tym momencie. Przepraszam cię bardzo, ale właśnie wchodzę na salę, nie mogę rozmawiać. Oddzwonię – i rozłączył się.

Nie miałam wyboru. Musiałam czekać i mieć nadzieję, że o mnie nie zapomni. A jeżeli? Nie znosiłam czekania. Wlokące się minuty, brak pewności, uzależnienie od czyjś działania – frustrowało mnie to. Kiedy pracowałam w agencji, najtrudniej znosiłam właśnie oczekiwanie na decyzję klienta. Nie miałam wpływu na to, co działo się w tym czasie, nie wiedziałam, co robi, czy z kimś się konsultuje, czy w ogóle zastanawia się nad propozycją. Teraz czułam podobnie. Czy rozprawa już się skończyła? Może źle mu poszło i nie będzie miał ochoty na rozmowę? A ja tutaj będę czekała, zabijając czas wynajdowanymi na siłę zajęciami. O nie, tak nie będzie!

Odnalazłam w sobie kawałek dawnej Nataszy – zdeterminowanej, zdecydowanej na osiągnięcie sukcesu. W końcu to, co chciałam robić, było ważniejsze niż kolejna kampania reklamowa proszku do prania. Z pewnością w przyszłości będę ciągle stawała w obliczu podobnych sytuacji. Milena opowiadała o tym, ile razy musiała schować dumę do kieszeni, przypominać o swoich podopiecznych, wydzwaniać do różnych ludzi, prosić wielokrotnie, a nawet wyczekiwać przed drzwiami. Tak, to było to!

Zebrałam się błyskawicznie. Przebijając się przez korki na drodze dojazdowej do centrum, niecierpliwie postukiwałam dłońią w kierownicę. No, ale przynajmniej robiłam coś konkretnego. W niespełną godzinę stałam przed drzwiami kancelarii Mateusza. Dziewczyna w sekretariacie z wyuczonym uśmiechem zapytała, czy jestem umówiona z panem mecenasem.

– Nie jestem, ale z pewnością mnie przyjmie.

– W tej chwili to niemożliwe. Jest w sądzie, trudno powiedzieć, kiedy wróci. Spotkania ma umówione dopiero po południu.

– Poczekam – oznajmiłam i zasiadłam na bordowym skórzanym fotelu, nie dając dziewczynie szans na protesty. Ta, chyba w ramach odwetu, nie zaproponowała mi nawet wody.

Kolejne trzy kwadranse spędziłam, obserwując grafiki na ścianach sekretariatu. Starłam się nie poddawać zniecierpliwieniu, traktując tę sytuację jako ćwiczenie na przyszłość. Wreszcie drzwi otworzyły się i stanął w nich Mateusz.

– Panie mecenasie... – zaczęła dziewczyna, ale w tym samym momencie zauważył mnie i przerwał swojej asystentce:

– Natasza! Co ty tutaj robisz?

– Czekam na ciebie.

– Próbuję się do ciebie dodzwonić, odkąd wyszedłem z rozprawy, ale twój operator informuje, że jesteś czasowo niedostępna. Pociuszające jest to, że czasowo, ale zacząłem się martwić – gestem

zaprosił mnie do gabinetu i rzucił w stronę dziewczyny:

– Pani Aniu, prosimy dwie kawy i jakiś sok.

Sprawdziłam telefon. Rozładowany. Naprawdę, profesjonalistka ze mnie! Gdyby nie wariacki pomysł przyjazdu do kancelarii, czekałabym bez końca w domu i pewnie jeszcze złościłabym się na Mateusza.

– Co cię sprowadza? – Za mahoniowym biurkiem, ubrany w grafitowy garnitur i śnieżnobiałą koszulę wyglądał jak uosobienie prawnika z amerykańskich filmów. Tylko wesołe błyski w zielonych oczach psuły nieco ten poważny wizerunek.

– Pewien problem prawny. Chyba tak to można najlepiej ująć.

– A już myślałem, że chcesz mi zaproponować wspólne prowadzenie kurzej fermy – mrugnął okiem. – Domyślam się, ale co konkretnie?

– To trochę nie twoja dziedzina...

– Zabiłaś kogoś i zakopałaś w ogródku? – udał przerażenie. Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– No, nareszcie! – ucieszył się. – Byłaś taka spięta, że nie mogłem na to patrzeć.

Miał rację. Dopiero teraz, kiedy usiadłam swobodniej, poczułam jak bardzo napinałam mięśnie. Popijając przyniesiony przez panią Anię sok, wyjaśniłam powód swojej wizyty.

– Teraz, kiedy wreszcie zdecydowałam się wprowadzić swoje pomysły w życie, trudno mi zachować cierpliwość. Stąd moja niezapowiedziana wizyta, za którą przepraszam, chociaż prawdę mówiąc, nie mam wyrzutów sumienia.

– Zaskoczyłaś mnie, nie ukrywam. Prędzej spodziewałbym się kolejnej spółki, która szybko stałaby się maszynką do robienia pieniędzy. Ale pomysł świetny i godny pochwały. Z przyjemnością ci pomogę.

– Doskonale! W takim razie pomysł, jak to najszybciej załatwić i daj mi znać. No i rozważ kwestię wynagrodzenia. Rozumiem, że to nietypowa dla ciebie sprawa i wiem, że jesteś mocno zajęty...

– Zrobię to bez wynagrodzenia.

– Nie żartuj! Co prawda już jakiś czas nie pracuję zawodowo, ale jeszcze nie zapomniałam, jakie są realia.

– Realia są takie, że mogę sobie pozwolić na pomoc w powstawaniu organizacji pozarządowej i przyczynić się do zrobienia czegoś dobrego. Jeżeli nie wierzysz w czyste intencje krwiożerczego prawnika, możesz uznać, że chcę uspokoić wyrzuty sumienia. Możesz też obiecać mi, że umieścisz mnie na liście przyjaciół fundacji i będę miał darmową reklamę.

– Ale...

– Mateusz oparł ręce na blacie biurka i uniósł się lekko.

– Kwestię wynagrodzenia uważam za zakończoną.

Musiałam przyznać, że był doskonały. Nie wiem, czy ćwiczył te gesty, czy przychodziło mu to naturalnie, ale widząc jego postawę, natychmiast zrozumiałam, że nie mam o czym dyskutować. Nie dziwiła mnie już jego skuteczność.

Nie pozostało mi nic innego, jak podziękować. Wracając do domu, powtarzałam w myślach jak mantrę: „Bądź szczerą”, „Pytaj, gdy chcesz wiedzieć” i „Proś o pomoc”. Te słowa miały chyba naprawdę cudowną moc.

Wymienialiśmy e-maile przez kolejne dwa dni. Wieczorami dyskutowaliśmy o szczegółach statutu. Przycinając żywoplot, zastanawiałam się nad sugestiami Mateusza, rozważałam jego wątpliwości i wynajdywałam kolejne pytania, które potem zadawałam mu przez telefon.

– Jutro o 10.00 u mnie. – Trzeciego dnia zakończyliśmy przygotowanie potrzebnych formularzy. – Pojedziemy do notariusza, a potem do KRS-u.

Następnego dnia miałam w ręku akt notarialny powołania fundacji „Twoja Przyjaciółka” i kopie dokumentów rejestracyjnych złożonych w sądzie. Teraz, chcąc nie chcąc, musiałam uzbroić się w cierpliwość.

– Sądy się nie spieszą, sama wiesz – wyjaśnił Mateusz. – Miejmy nadzieję, że nie będzie konieczności poprawiania jakichś drobiazgów.

– Wierzę, że zrobiłeś wszystko perfekcyjnie. Należy ci się ode mnie jakieś podziękowanie. Sukcesu, co prawda, raczej nie opijemy – mogłam pozwolić sobie na taki żart, w końcu oboje wiedzieliśmy jak jest – ale może zjemy razem obiad?

– Sukces odniesiemy, kiedy zarejestrują fundację. Wtedy będziemy świętować.

– Jak chcesz. – Poczulałam się trochę urażona tą zawołowaną odmową, ale taki drobiazg nie mógł zepsuć mi radości, którą czułam, ściskając zieloną teczkę z dokumentami.

*

Pochwaliłam się dziewczynom moim pierwszym sukcesem. W ogóle sporo rozmawiałyśmy. Facebook okazał się prawdziwym dobrodziejstwem, dzięki niemu byłyśmy na bieżąco. W ramach przygotowań do przyszłych działań kupiłam coś, co sprzedawca nazwał urządzeniem wielofunkcyjnym, a było połączeniem drukarki, kserokopiarki i skanera. Wymogłam na młodym ekspedientce krótki kurs obsługi tegoż i z dumą wrzuciłam na swoją oś czasu nasze zdjęcie. Miałyśmy z tego powodu sporo radości, ale i wzruszenia.

Jola z Agatą tak namawiały mnie na przyjazd do nich, że wreszcie uległam. Pomyślałam, że zmiana otoczenia dobrze mi zrobi. Nie widziałam morza od lat, byłam ciekawa twórczości Joli, a przy okazji mogłam skrócić czas oczekiwania na decyzję sądu. Zdecydowałam się pojechać na tydzień.

Wyprawa pociągiem nie różniła się wcale od tych, które odbywałam w czasach studenckich. Wtedy jeździłam do Krakowa ściśnięta na korytarzu, ale podróż trwała tylko niespełna dwie godziny, więc dawało się wytrzymać. Stojąc na peronie, obserwowałam tłumy wbijające się do wagonów i zastanawiałam się, jak chcą przetrwać osiem najbliższych godzin. W największe zdumienie wprawiały mnie rodziny z małymi dziećmi upychające niezliczoną ilość bagaży na korytarzach wagonów. Ja na szczęście wykupiłam miejsce w kuszetce, więc nie musiałam się martwić o przeżycie. Jeżeli pominąć duchotę w przedziale i współpasażerkę, która przez całą noc jadła coś, chrupiąc przy tym jak chomik, którego miałam w dzieciństwie, podróż uznałam za znośną.

Zresztą zapomniałam o wszystkich niedogodnościach, gdy na peronie w Słupsku zobaczyłam czekające na mnie dziewczyny. Wyściskałyśmy się, piszcząc jak nastolatki. To znaczy piszczałam ja i Jola, bo Agata z typową dla siebie powściągliwością próbowała zapanować nad naszą euforią i zagonić nas do samochodu.

Dziewczyny mieszkały w Jarosławcu, miejscowości, która przez trzy miesiące tętniła turystycznym

zyciem, a przez pozostałą część roku była ostoją ciszy i spokoju. Ich dom był nieco oddalony od głównej ulicy, przy której mieściły się kluby, bary, dyskoteki i wszelkiej maści stragany.

– Od czerwca do września staramy się tu w ogóle nie bywać – wyjaśniła Agata, widząc, jak z przerażeniem patrzę na ludzką masę kłębiącą się między rzędami stoisk z chińskimi pamiątkami, biżuterią z bursztynu i plażowymi zabawkami.

Samochód zaparkował przed drewnianym płotem porośniętym dzikim winem. Sam dom stał dalej od ulicy, prawie na samym brzegu klifu. Nie trzeba było wychodzić poza ogrodzenie, żeby zobaczyć morze.

– Cudownie! – Na nic bardziej ambitnego nie było mnie stać. Wyobraziłam sobie, jakie zachody słońca mnie tu czekają.

Dziewczyny zaopiekowały się mną lepiej niż w pięciogwiazdkowym hotelu. Przydzieliły mi pokój na piętrze, z balkonem od strony morza.

– Do opalania się nie nadaje, wiesz, zachód – wyjaśniła Jola. – Za to widoki piękne i ciągły dopływ jodu gwarantowane.

Ten tydzień wyglądał zupełnie inaczej niż nasze spotkania z dawnych lat. W domku z czerwonym dachem czas biegł inaczej – wolniej i spokojniej. Gwar, który czasami słychać było zza ogrodzenia, wydawał się pochodzić z innego świata. Świata, który nie miał wstępu za drewniany płot i nie miał żadnego znaczenia dla tych, którzy tu byli.

Nigdzie się nie spieszyłyśmy, nie było rozmów o pieniądzach, za to dyskutowałyśmy o przyrodzie, muzyce, sztuce. Szczerze przyznałam się do swoich braków w tych dziedzinach, ale szybko zrozumiałam, że teoretyczna wiedza nie ma tu wielkiego znaczenia. Jola naprawdę była artystyczną duszą, umiała mówić o malarstwie, poezji, muzyce w taki sposób, że słuchając, czułam emocje, które niosły. Karmiła mnie czymś w rodzaju strawy duchowej.

O bardziej przyziemne sprawy dbała Agata. Przygotowywała posiłki i stanowczo wyprosiła mnie z kuchni, gdy zadeklarowałam chęć pomocy.

– Za bardzo to lubię, żeby dać komukolwiek popsuć.

Obserwowałam je, gdy wieczorami siadałyśmy w altanie, obserwując zachodzące słońce. Pasowały do siebie: Jola – emocjonalna, lekko postrzelona, roześmiana, Agata – spokojna, opanowana i rzeczowa. Chociaż nie okazywały sobie uczuć w jakiś ostentacyjny sposób, to widać było, że się kochają. Drobne gesty – poprawienie szala, muśnięcie palców przy podawaniu szklanki, ciepłe spojrzenie – uważny obserwator mógł bez problemu odgadnąć ukryte za nimi emocje. Cieszyłam się ich szczęściem i trochę zazdrościłam im, że odnalazły się, tworzą szczęśliwy związek i żyją razem. Patrząc na ich miłość, czułam, jak bardzo mnie tego brakuje. Pustka, która została w moim sercu po odejściu Darka, nadal była niezapełniona.

Sporo czasu spędziłam także na rozmowach z Agatą. Doświadczona w działaniach na rzecz kobiet, opowiadała mi o wielu sprawach, o których dotąd nie miałam pojęcia. Poznałam ogrom spraw, z jakimi być może przyjdzie mi się zetknąć i byłam pełna obaw, czy sobie poradzę. Na szczęście Agata ratowała mnie przed popadnięciem w rezygnację, odgrzebując stare kontakty i wskazując ludzi, do których w razie potrzeby mogłam się zwrócić, powołując się na nią.

Kilka razy łączyłyśmy się z Agnieszką, która z początku robiła swoją popisową minę obrażonej księżniczki, wypominając nam, że nie zaprosiłyśmy jej na nasz „złot przyjaciółek”. Szybko jednak darowała nam winy, twierdząc, że zimny polski klimat i tak jej nie odpowiada. Z uwagą słuchała

o postępach w pracy nad fundacją i wprost zadeklarowała darowiznę, gdy tylko formalności się zakończą.

– Tylko nie myśl sobie – pogroziła palcem wprost w kamerkę internetową. – Rozliczę cię co do grosza.

– Proszę bardzo – roześmiałam się. – Nie ma obaw, nie przepiję twoich pieniędzy.

Okazało się, że Jola nie tylko maluje.

– Wiesz, cenią mnie za bardzo, żebym mogła oferować tanio swoje obrazy, a jeszcze za mało, żeby kupcy walili drzwiami i oknami – powiedziała wprost. – A z czegoś żyć trzeba. Agata pisze do tych feministycznych gazet, ale też kokosów z tego nie ma, więc wyrabiam tu takie małe co nieco i sprzedaję do galerii i sklepików w całym kraju.

Małe co nieco Joli było piękną biżuterią tworzoną z połączenia metalu z drewnem i kamieniami półszlachetnymi, pocztówkami malowanymi akwarelami i ozdobami z kamieni, suszonych roślin i sznurka. Proste, ale niezwykle piękne. Wyrażałam szczery zachwyt nad każdym drobiazgiem.

– Nie myśl sobie, że z tego można żyć – poinformowała mnie na boku Agata. – Dobrze, że wynajmujemy jeszcze jej mieszkanie w Krakowie. – I zmierzyła Jolę spojrzeniem, które było mieszanką miłości i matczynej wyrozumiałości.

*

Pogoda dopisywała każdego dnia, zadając kłam opinii, że nad polskim morzem można liczyć wyłącznie na deszcz i wiatr. Korzystałam ze słońca, ile tylko się dało. Moje ciało nabrało więc ładnego brązowomiodowego odcienia. Nie chodziłam na plażę. Tylko raz trafiłam tam podczas spaceru i poczułam, że nie wytrzymałabym w takim miejscu ani chwili. Ludzie kłębili się na każdym wolnym skrawku piaszczystego terenu, a nad wszystkim unosiła się mieszanina krzyków, muzyki i nawoływań sprzedawców lodów i napojów. Gorzej mogłoby być chyba tylko podczas wyprzedaży w galeriach handlowych.

W zacisznym ogródku dziewczyn pozwoliłam sobie nawet na szaleństwo opalania topless. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, nie odważyłam się na zdjęcie góry kostiumu kąpielowego nawet na zagranicznych plażach, gdzie nikogo to nie dziwiło. Darek kilka razy mnie namawiał, ale moje stanowcze odmowy skutecznie go zniechęciły. A teraz postanowiłam spróbować.

Leżałam więc półnaga i czułam, jak promienie słoneczne rozgrzewają mi piersi. Był w tym jakiś dreszczyk emocji, jakbym robiła coś niedozwolonego. Ja, czterdziestolatka „z małym hakiem”, wstydzę się swojego nagiego ciała. To dobrze czy źle? – zastanawiałam się i nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. – W każdym razie przyjemnie – stwierdziłam.

– Jeżeli już się zdecydowałaś – usłyszałam głos Agaty tuż za leżakiem – to użyj mocniejszego filtra na sutki.

W panice szukałam czegoś do okrycia. Agata obserwowała moje gwałtowne ruchy z rozbawieniem.

– Uspokój się – podała mi ręcznik. – Czy sądzisz, że widok kobiecego biustu jest dla mnie czymś dziwnym?

– Kobiecego może nie – odetchnęłam z ulgą, przykrywając się. – Ale to MÓJ biust. I dla mnie to dziwne.

– Że ktoś patrzy na twoje piersi?

– Że kobieta patrzy – uściśliłam. – A na dodatek... – przerwałam, zdając sobie sprawę z niestosowności tego, co chciałam powiedzieć.

– A na dodatek taka, co woli kobiety, tak? – Agata nie wyglądała na urażoną. Usiadła wprost na trawie i objęła rękami kolana.

– Czy kiedy nawet podoba ci się jakiś facet, wiesz, tak fizycznie, to jeśli zobaczysz go nagiego, zaraz się na niego rzucisz? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. – Tak samo jest ze mną czy z Jolą. Traktuj nas więc normalnie, jak koleżanki.

– To nie chodzi o was – zaczęłam się tłumaczyć, bo naprawdę było mi trochę głupio. – Raczej o mnie...

– Jak zwał, tak zwał. I nie chciałam cię stresować. Czuj się swobodnie. Przyszłam tylko dlatego, że naprawdę chciałam ci dać ten krem.

– A gdzie Jola? – postanowiłam zmienić temat.

– Maluje. A jak maluje, to lubi być sama. Jak to artystka.

Pokiwałam głową. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

– Dobrze wam tutaj? – ni to zapytałam, ni to stwierdziłam. Bo w sumie po co było pytać? Domek nad morzem, miłość, spokój – czego chcieć więcej?

– Dobrze, nawet bardzo – potwierdziła Agata. – Cieszę się zwłaszcza ze względu na Jolę. Wreszcie ma to, o czym zawsze marzyła. Bo ja to wiesz, nie potrzebuję za wiele. Twardsza chyba jestem, mniej uczuciowa...

– Bzdury gadasz! – zaprotestowałam. – Wystarczy przez chwilę z wami być, żeby nie mieć wątpliwości co do twoich uczuć. Nawet trochę zazdrozczę Joli. Chciałabym, żeby o mnie ktoś tak się troszczył.

– Na pewno kiedyś znajdzie się odpowiedni ktoś. – Agata poklepała mnie po dłoni. – A nawet gdyby nie, w co osobiście bardzo wątpię, to świetnie poradysz sobie sama. W tym jesteśmy akurat podobne. Jola jest inna, taka niepraktyczna, naiwna, ufna. I oprócz mnie nie ma nikogo. Nie poradziłaby sobie. Znasz przecież jej historię. Sama zresztą wiesz...

– Tak, ale na szczęście ma ciebie.

Agata westchnęła. Niby zwyczajnie, ale było w tym głębokim wydechu coś, co mnie zaniepokoiło. W pierwszej chwili chciałam to przemilczeć, bo przecież zawsze uważałam, że nie powinno się wtrącać w życie innych ludzi, ale to przecież nie był ktoś obcy. Nie mogłam i nie chciałam udawać, że niczego nie zauważyłam.

– Agata... czy coś jest nie tak?

Milczała. Zamilkłam i ja, chociaż ten brak odpowiedzi był bardziej wymowny niż słowa. Nie chciałam nalegać, chociaż czułam smutek i niepokój. Zastanawiałam się, czego dotyczyło to westchnienie. Czy Agata ma kogoś innego? Nie, to niemożliwe. Przecież byłam tu przez ostatnie dni, obserwowałam ją. Kocha Jolę i nie ma nad czym się zastanawiać. Pozostawała więc druga opcja. Ta, którą bałam się nazwać nawet w myślach. Za to zdecydowała się na to Agata.

– Nikomu do tej pory o tym nie mówiłam, ale chociaż ciebie nie znałam wcześniej zbyt dobrze, to wydaje mi się, że mogę ci zaufać. – Wstała i podeszła do ogrodzenia, zostawiając mnie za plecami. – W ubiegłym roku wymacałam sobie guzek w piersi. Próbowałam to zlekceważyć, ale jestem zbyt racjonalna, żeby udawać, że czegoś nie ma. Poszłam więc do lekarza, zrobiłam badania. Potem biopsję. – Objęła się ramionami, nadal odwrócona do mnie tyłem. Widziałam tylko jej dłonie, palce, które wbijała sobie w plecy. – W sumie jest ich tam siedem. Na razie nie są złośliwe. Lekarze proponowali mi

wycięcie, ale się nie zgodziłam. Nie chciałam, żeby Jola się zorientowała, a blizny po zabiegu nie udałoby mi się ukryć.

– Może lepiej... – zaczęłam, ale Agata mi przerwała.

– Tak zdecydowałam. Nie ma o czym dyskutować. Kontroluję się, regularnie badam, na razie jest w porządku. I może będzie. Ale może nie. Nikt tego nie wie. Żyję więc sobie od badania do badania, trochę jak na bombie z opóźnionym zapłonem. Czasami mi ciężko, zwłaszcza gdy pomyślę o Joli, co byłoby z nią, gdybym ja... – przerwała i głośno przełknęła ślinę – gdyby mnie nie było.

Zamilkła, a ja nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć.

– Zdecydowałam, że nic jej nie powiem. Dopóki nie będzie to konieczne. Może wcale nie będzie. Ale cokolwiek ma się zdarzyć, chcę, żeby jak najdłużej była szczęśliwa, żeby nie musiała się zamartwiać. Niech żyje, maluje, robi naszyjniki. Kocham ją i chcę widzieć radosną i zadowoloną. – Odwróciła się i popatrzyła mi w oczy. – Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Bo czasami ciężko tak dusić coś w sobie. Wiem, że to nic miłego, wybac. Ale to dla mnie bardzo ważne, że mogłam się z kimś podzielić tym, co mnie dręczy.

Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy, więc zrobiłam to, co czułam. Podeszłam do Agaty i przytuliłam ją mocno, najmocniej jak potrafiłam. Stałyśmy tak w promieniach letniego słońca, splecione ramionami, połączone wspólną tajemnicą. Nie trzeba było żadnych słów. Wystarczyło poczucie bliskości, zrozumienia, zaufania.

I rodzącej się właśnie przyjaźni.

*

Wyjeżdżałam z Jarosławca opalona, bogatsza o wiele wrażeń, wypoczęta, naładowana pozytywną energią i z dodatkową torbą, w której było wiele drobiazgów zrobionych przez Jolę oraz lokalne smakołyki – zapakowane próżniowo wędzone ryby od zaprzyjaźnionego rybaka. Nie jakieś mrożone falsyfikaty sprowadzane nie wiadomo skąd, ale świeżo złowione i uwędzone za domem pana Kazia. Palce lizać! Pod pachą niosłam jeszcze zawinięty w kilka warstw papieru obraz przedstawiający bukiecik niezapominajek. Do sypialni – powiedziała Jola. Pożegnałam je ze łzami w oczach.

Na szczęście tym razem nie miałam problemów ze współpasażerami i dojechałam do Warszawy wypoczęta, za to nieco głodna. Nie odważyłam się na skorzystanie z Warsa, a wałówkę przygotowaną przez dziewczyny zostawiłam przez roztargnienie u nich w kuchni, o czym poinformowały mnie telefonicznie, jeszcze zanim sama zauważyłam jej brak.

Wytaszczyłam bagaż na peron i stanęłam porażona panującym tu hałasem. W nadmorskim domku odwykłam od miejskiego gwaru. Nagle zobaczyłam, że jakaś męska dłoń chwyta za uszy moją torbę.

– Proszę zostawić! To mój bagaż!

Kilka przechodzących osób odwróciło głowę, a mężczyzna z potężnym brzuchem nawet się zatrzymał.

– Natasza, przecież to ja! Sól morska wypaliła ci oczy? – usłyszałam znajomy głos. Ze zdziwieniem dostrzegłam Mateusza, który zabierał się już za walizkę. Pan z brzuchem zrobił kilka kroków w naszą stronę.

– Błagam, powiedz, że mnie znasz, bo za chwilę stracę zęby – scenicznym szeptem ponaglał mnie Mateusz.

– Dziękuję panu, ale okazuje się, że znam tego człowieka – uśmiechnęłam się najładniej jak potrafiłam.
– Mała pomyłka, przepraszam za zamieszanie.

Grubas zamruczał coś pod nosem i niechętnie oddalił się w kierunku ruchomych schodów. Najwyraźniej miał ochotę komuś przyłożyć i był niepoczyszony, że dobra okazja przeszła mu koło nosa. Na wszelki wypadek wybraliśmy schody po przeciwnej stronie peronu. Przebijanie się przez tłoczne zakamarki dworca nie sprzyjało rozmowom, więc dopiero kiedy wyszliśmy na powietrze, zapytałam:

– Czy coś się stało? I skąd w ogóle wiedziałeś, że tutaj będę?

– Nie wiedziałem, że dzisiaj, ale liczyłem na to. Bo wczoraj cię nie było, a miałaś wrócić za tydzień.

Rzeczywiście, mówiłam, że na taki czas wyjeżdżam, ale nie mówiłam dokąd. Skąd wiedział? Oczywiście zapytałam.

– Jak widać, nie wierzysz do końca w moją skuteczność. – Postawił walizkę przy samochodzie i przecesał palcami kasztanową czuprynę. – Twoja sąsiadka wszystko mi powiedziała. To znaczy wszystko, co wiedziała. Że nad morze i gdzieś niedaleko Ustki. Zastałem ją w twoim ogrodzie, więc kiedy powiedziałem, że jestem twoim prawnikiem, zaczęła się gęsto tłumaczyć. No to sprawdziłem pociągi z Ustki i miałem nadzieję, że trafię.

– A nie prościej było zadzwonić?

– Normalnie to prościej, ale jakoś nie mam szczęścia w tej formie komunikacji z tobą.

Fakt, dziewczyny wspominały o problemach z zasięgiem, ale jakoś to zlekceważyłam. To już drugi raz wychodzę przed nim na niefrasobliwą i nieprofesjonalną. Aż dziw, że jeszcze chce coś dla mnie zrobić.

– Pewnie jesteś zmęczona. Może zawiozę cię do domu i porozmawiamy po drodze?

– Chętnie najpierw zjadłabym coś dobrego. I napiła się soku, bo ten upał mnie wykańcza.

– W takim razie zapraszam na obiad.

Usiedliśmy w restauracji, którą wybrał. Klimatyzacja zapewniała miły chłód, kelner był uprzejmy, a wokół przy stolikach siedziały panie w garsonkach i panowie w garniturach.

Bez wątpienia ja w letniej sukience na ramiączkach i sandałkach wyróżniałam się z tego grona.

– To jakaś knajpa dla rekinów biznesu – bardziej stwierdziłam niż zapytałam, bo w powietrzu prawie można było wyczuć zapach dużych pieniędzy.

– Za to dobrze karmią, więc warto się poświęcić – wzruszył ramionami Mateusz.

Rzeczywiście, naprawdę dobrze gotowali. Pieczeń marynowana w ziołach smakowała wspaniale. Po szarlotce z lodami i moich zachwytach nad pobytem u Joli i Agaty, Mateusz uznał, że może wreszcie wyjawić mi tę niezwykle ważną sprawę, która skłoniła go do biegania po peronach warszawskiego dworca.

– Znalazłem dojdzie do KRS-u. Okazało się, że jest tam moja koleżanka ze studiów. Odnowiłem ten miły, a nieco zaniedbany kontakt i właściwie mamy już ten wpis...

– To świetnie! Jesteś naprawdę niesamowity! – miałam ochotę go uściskać. Nawet w najśmielszych snach nie spodziewałam się, że to potrwa niecałe dwa tygodnie.

– Momencik, wstrzymaj się z gratulacjami. Jest małe „ale”. Małgosia dopatrzyła się jakichś drobnych braków w dokumentach. Możemy to poprawić tak poza oficjalnym obiegiem, wiesz, będzie szybciej, ale trzeba to załatwić jutro, bo potem ona wyjeżdża na urlop i nie będzie jej trzy tygodnie. Przygotowałem wszystko, musisz tylko podpisać. – Wyciągnął z teczki plik dokumentów.

– Oczywiście, dawaj. I coś do pisania, bo nie mam.

– Nawet nie czytasz, co podpisujesz? – zdziwił się Mateusz.

– Wierzę ci.

– Miło mi to słyszeć, ale jako twój prawnik ostrzegam, że to bardzo zły nawyk – stwierdził z nagłą powagą. – Świat nie jest taki przyjazny, jakbyśmy chcieli. Sama wiesz.

Westchnęłam. Widziałam bardzo dobrze i byłam mu wdzięczna, że sprowadza mnie na ziemię. Chociaż wolałabym nadal bujać beztrosko w obłokach.

– W takim razie wytłumacz mi, co podpisałam.

Nie zdążył powiedzieć ani słowa, bo jak spod ziemi wyrosły nagle przy naszym stoliku nogi obleczone w cieniutkie pończochy i zakończone na dole stopami w bordowych szpilkach z włoskiej skóry. Obcasy nie były tak wysokie, żeby sprawiać wrażenie wulgarności, ale na tyle akurat, żeby przyciągać męskie spojrzenia i skłaniać męskie mózgi do skoncentrowania się na nich. Wyżej była wąska spódnica w kolorze wanilii i pasujący do niej żakiet z wcięciem w talii, które podkreślało kusząco także krągłość bioder. Tyle miałam na wysokości oczu. A do tego zapach – lekki, letni, ale kuszący. Z ciekawością podniosłam głowę, żeby zobaczyć, co jest na drugim końcu tej nienagannej elegancji.

Na drugim końcu była głowa, która miała znaną mi twarz. Usta pociągnięte pomadką w kolorze zgaszonej czerwieni rozciągnęły się, ukazując w uśmiechu śnieżnobiałe drobne zęby.

– Jak miło spotkać znajomego! Witaj, Mateuszu! Co tutaj robisz?

Mateusz wstał i uścisnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Dzień dobry. Wpadliśmy z Nataszą na obiad – powiedział.

Dopiero wtedy Jolanta popatrzyła na mnie. Dobrze wiedziałam, że dostrzegła mnie już wcześniej. Doskonale znałam te sztuczki, więc jej pozorne zdumienie nie zrobiło na mnie wrażenia.

– Ach, nie poznałam cię – zaszczębiotała. – Dobrze wyglądasz. Chyba trochę przytyłaś od naszego ostatniego spotkania, prawda?

Uśmiechnęłam się i pomyślałam jednocześnie, jak bardzo różni się ta kobieta od swojej imienniczki, z którą spędziłam ostatnie dni. Ta Jolanta z pewnością nie mogłaby zostać moją przyjaciółką. Za bardzo przypominała mi mnie samą sprzed lat. Tymczasem ona szczębiotała dalej słodko, a w oczach miała lód.

– Nie wiedziałam, że się spotykacie. No, ale to przecież nic złego, w końcu Natasza już do nas nie przychodzi. – Bordowa kopertówka, idealnie dobrana do koloru butów, wylądowała na stoliku tuż obok mojej filiżanki. – Może dołączę do was? Też miałam w planie jakiś lunch. No, może nie aż tak kaloryczny – wymownie spojrzała na talerzyk po mojej szarlotce – ale chętnie coś przekąszę w miłym towarzystwie.

– Jesteśmy tu, można powiedzieć, służbowo – wtrącił Mateusz. Niby dobrze, bo była szansa na spławienie Jolanty, ale z drugiej strony poczułam, jakby tłumaczył się tej kobiecie z naszego spotkania. Po co te usprawiedliwienia? – pomyślałam.

– Natasza postanowiła zrealizować swoje plany – kontynuował mój towarzysz – i pomagam jej po koleżeńsku odnaleźć się w gąszczu przepisów.

– O ile pamiętam, to już raz się rozwiodłaś? Czyżby kolejny wybranek zawiódł twoje zaufanie? – strzyknęła w moim kierunku lukrowanym jadem.

– Bez obaw – odpowiedziałam. – Teraz nie zaufam już żadnemu, który daje się nabierać na namalowaną urodę i słodkie minki.

– A, to dlatego taki... naturalny wizerunek wybrałaś – zmierzyła wzrokiem moje sandały i sukienkę. – To na pewno wygodne, tylko nie wiem, czy w twoim wieku nie jest zbyt odważne.

Robi się ciekawie – pomyślałam, zastanawiając się, do czego ta wymiana pseudouprzejmości doprowadzi. Nie miałam jednak szansy się przekonać, bo Mateusz wyczuł chyba, co się święci i postanowił zadziałać.

– Przepraszam was, ale muszę być za pół godziny w sądzie, więc wolałbym dokończyć omówienie spraw z Nataszą...

– Oczywiście, rozumiem i nie zamierzam przeszkadzać. – Szczupła dłoń Jolanty wylądowała na piersi Mateusza. – Ja też mam za chwilę spotkanie, więc poplotkujemy sobie innym razem. Zdzwonimy się.

Nie zaszczyciła mnie już nawet spojrzeniem. Odeszła krokiem gwiazdy filmowej, lekko kołyszając biodrami. Zauważyłam, że Mateusz odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi. Wszyscy mężczyźni są tacy sami – pomyślałam. – Tacy naiwni i przewidywalni.

Nie zamierzałam jednak dłużej zastanawiać się nad tajnikami męskiej psychiki. Chciałam wrócić do domu i odpocząć.

– To co? Ochłonałeś już? – Nie powstrzymałam się od drobnej złośliwości. – Możesz mi wyjaśnić, o co w tych papierach chodzi?

Nie skomentował. Po prostu sięgnął po kolejną kartkę.

Po załatwieniu spraw z dokumentami posiedzieliśmy jeszcze chwilę, dopijając espresso. Mimo że napój był aromatyczny i mocny, nie mogłam powstrzymać ziewania.

– Przepraszam, to jednak zmęczenie po podróży.

– Zawsze to lepsze niż gdyby miało się okazać, że to ja cię tak zanudziłem.

Jak zawsze dowcipny i elegancki. Nic dziwnego, że klientki nie mogły się go nachwalić. Zresztą i ja nie miałam mu nic do zarzucenia. Z wdzięcznością przyjął propozycję odwiezienia do domu i wniesienia bagażu. Oraz to, że zaraz po postawieniu walizki za progiem grzecznie i elegancko pożegnał się. Dzięki temu już kwadrans później spałam słodko w mojej biało-błękitnej sypialni.

*

– Pani Nataszo, co za spotkanie!

Spacerowałam po galerii handlowej, bo wczorajsza wizyta w restauracji uświadomiła mi, że mam duże zaległości w oficjalnej, biznesowej garderobie. A jako prezes fundacji powinnam przecież jakoś wyglądać. Oglądałam wystawy, nawet przymierzyłam kilka żakietów i spódnic, ale na razie nic nie wydało mi się odpowiednie. Każdy z tych strojów sprawiał, że widziałam w lustrze przymierzalni Nataszę z czasów pracy w agencji reklamowej, obcą mi już osobę. Niby rozumiałam bezsens takiego myślenia. Tłumaczyłam sobie: było i minęło, powinnam zaakceptować nawet tę nielubianą przeszłość, ale opornie mi to szło. Liczyłam, że kilka kolejnych przymiarek złagodzi niemiłe wrażenia i ostatecznie coś kupię.

Odwrociłam się w stronę, z której dobiegał głos i zobaczyłam Helenę Marczewską, żonę właściciela jednej z firm kosmetycznych, którą kiedyś obsługiwałam. Robili doskonałe kremy na bazie naturalnych składników, ale nie szło im zbyt dobrze. Dopiero gdy przekonałam ich do zmiany nazwy na francuską i reklamę z udziałem znanej aktorki – sprzedaż ruszyła z kopyta. Przy okazji tego przekonywania spędziłam z panią Heleną weekend w Paryżu, gdzie pod pretekstem przeglądu wizerunków znanych marek kosmetycznych zajmowała się głównie przeglądem sklepów z ciuchami. Teraz stała przede mną,

pokazując w uśmiechu garnitur uzębienia tak równy i biały, że nawet bardzo naiwna osoba nie uwierzyłaby w jego naturalność.

– Dzień dobry, pani Heleno. Widzę, że czuje się pani świetnie. Co u pani słyhać?

Marczewska nie była osobą, która ograniczyłaby się do krótkiej odpowiedzi. Znałam ten typ kobiet – bogate i nudzące się. Gdy już znalazły ofiarę, nie wypuszczały jej z rąk tak łatwo.

– Długo by opowiadać – machnęła dłonią pani Helena. – Wrosłybyśmy w te sztuczne marmury – wskazała na podłogę galerii. Chodźmy do jakiejś kawiarenki, to pogadamy.

– Chętnie, ale nie mam zbyt wiele czasu, a muszę koniecznie coś kupić...

– W takim razie tu zaraz, za tamtym filarem, są stoliki i dają nawet całkiem znośną kawę. Na taką krótką chwilę wytchnienia na pewno może sobie pani pozwolić. – Najwyraźniej nie zamierzała rezygnować, więc kiwnęłam głową na znak zgody. Usiadłyśmy na fotelikach ze skaju, przy chybotającym się stoliku. Nazwanie podanej nam kawy znośną było grubą przesadą. Na szczęście nie byłam smakoszką w tej dziedzinie, ale wyobraziłam sobie reakcję Agnieszki i nie mogłam powstrzymać uśmiechu, co Marczewska odebrała jako zachętę.

Wysłuchałam jednym uchem kilkunastominutowego monologu o rozwoju firmy. Chociaż nie ukrywam, że bardzo mnie ucieszyło jedno ze stwierdzeń mojej rozmówczynie:

– Pani Nataszo, ja do dziś wspominam nasz paryski weekend. I pamiętam, że to pani wymyśliła zmianę nazwy. Mąż do tej pory podaje to za przykład kreatywności i wyczucia rynku innym agencjom, które przygotowują dla nas kampanie.

– To nie korzystacie już z usług Darka?

– Pani Nataszo, nie mogłam na to pozwolić. Kiedy tylko się dowiedziałam, jak on panią potraktował! Wie pani, przepraszam, że o tym mówię, ale to prawda przecież, że zdradził panią z jakąś siksą. Tak długo suszyłam mężowi głowę, aż od niego odszedł. A co, jeden pan Darek w Warszawie? Teraz w agencjach można przebierać jak w ulęgalkach. A myśmy tam u was byli ze względu na pani pomysły. No a jak pani odeszła, to nawet ze względu na nasze relacje, wie pani, taka kobieca solidarność. Zresztą nie chciałam, żeby mąż się zapatrzył i nie daj Boże wziął przykład z pana Darka.

A więc to był prawdziwy powód. Wygadała się pani Marczewska. Bała się, że może podzielić mój los żony porzuconej dla młodszej kobiety, więc zapobiegliwie zabrała męża ze strefy zagrożenia. Teraz patrzyła wyczekująco, najwyraźniej na pochwałę.

– Dziękuję, pani Heleno, za ten przejaw solidarności. Nie wiedziałam...

– Domyślam się – przykryła moją dłoń swoją. Zauważyłam, że ma na palcu pierścionek z brylantem. Widać firma Marczewskiego naprawdę dobrze prosperuje. Miło było wiedzieć, że choć trochę się do tego przyczyniłam.

– Zresztą nie ja jedna zdecydowałam się na taki krok – kontynuowała Helena zachęcona moimi podziękowaniami. – Wiem o co najmniej czterech innych paniach z naszego towarzystwa, które także nakłoniły mężów do odejścia od pana Darka – wymieniła kilka nazwisk, a mnie ciarki przeszły po plecach. Sami bardzo znaczący klienci.

– Darek nic mi nie wspominał...

– Nie dziwię się, pani Nataszo, wcale się nie dziwię. Wie pani, jacy są mężczyźni. Żaden się nie przyzna, że bez kobiety sobie nie radzi. I do błędu też się nie przyznają, wiadomo.

Popijałam lurowatą kawę, układając sobie w głowie to, co usłyszałam. Zaczynałam rozumieć, skąd

wzięły się problemy Darka. Nagła utrata znaczących klientów, a co się z tym wiąże, dużych wpływów, może zachwiać płynnością nawet najlepszej firmy. W sumie nie dziwiłam się, że nie wspominał o całej sprawie. Nie było się czym chwalić.

Tymczasem Marczevska, widząc, jakie wrażenie wywołały jej informacje, z wężowym uśmiechem wyciągnęła asa z rękawa.

– I niech sobie pani wyobrazi, kochana pani Nataszo, że nie myliłam się. Pan Darek tę sikse zaczął zabierać ze sobą na spotkania biznesowe. A ona sprytna, wiadomo, szybko się zorientowała, co się święci, chyba szybciej niż pan Darek. Ja mówiłam innym paniom, że tak będzie, to niektóre nie wierzyły. I co? Wyszło na moje. Jak ta mała zobaczyła, że u pana Darka coraz mniej klientów i kasy, to szybciotko się zakręciła wokół tego, no jak mu jest, tego prezesa od komputerów i gier, zresztą nieważne. Zakręciła się i pana Darka zostawiła. A tamtego żona to do mnie co wieczór dzwoniła, żeby się wypłakać. A co, miałam ją pocieszać? Sama się prosiła. Ja ostrzegałam – znowu poklepała mnie po dłoni. – Ale o alimentach od pana Darka to ta mała nie zapomniała. Podobno solidne mu zasądziła, bo na podstawie przychodów, co wykazał jeszcze z czasów, zanim klienci odeszli. Niezły numer, co? Zachciało mu się młodej dupeczki, to teraz ma za swoje.

Uśmiechałam się do Marczewskiej, potakując jej słowom, ale myślami byłam gdzie indziej. Dopiero teraz wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Nie ma żony, nie spieszy się do domu, informacja, że tamta nie pracuje w firmie. Biedny Darek – pomyślałam. Naprawdę zrobiło mi się go żal. Wiedziałam, jak boli zdrada, jak to jest być porzuconym. Mogłam sobie wyobrazić, co czuł. A do tego jeszcze kłopoty finansowe. Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Dopiłam kawę i jakoś udało mi się spławić Marczewską obietnicą, że zadzwonię do niej w najbliższym czasie i umówimy się na dłuższe plotki. Udawałam, że wchodzę do sklepu, a gdy tylko czerwone podeszwy jej szpilek znikły za zakrętem, natychmiast skierowałam się do wyjścia. Nie miałam już nastroju na zakupy.

Nie doszłam daleko, bo moją uwagę przykuło zamieszanie po drugiej stronie galerii. Spojrzałam raczej odruchowo, zauważając kątem oka nietypowe zachowanie trójki osób stojących przy sklepie z bielizną. Mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego, a stojąca obok niego nastolatka odpychała nacierającą na niego młodą kobietę. I pewnie nie zainteresowałamby się sprawą dłużej, w końcu wiedziałam, że od tego jest tu ochrona, której barczysty przedstawiciel na pewno zaraz się pojawi, gdyby nie to, że widoczne z daleka czerwone włosy dziewczyny wywołały natychmiastowe skojarzenie.

Od razu ruszyłam w tamtym kierunku. Żeby się do nich dostać, musiałam okrążyć prawie całe piętro, bo środek galerii nie był zabudowany. Wiedziałam doskonale, że to celowy zabieg, niemający nic wspólnego z dbałością o ciekawą formę architektoniczną. Po prostu chodziło o to, żeby klienci nie mogli iść na skróty i w drodze do sklepu po przeciwnej stronie musieli obejrzeć wystawy co najmniej kilkunastu innych. Marketingowy chwyt obliczony na zwiększenie sprzedaży. Teraz przeklinałam w myślach tych wszystkich specjalistów, przez których musiałam nadłożyć drogi. Prawie biegłam i byłam wdzięczna samej sobie za buty na prawie płaskim obcasie. W szpilekach prędzej połamałabym nogi niż podbiegła po tych błyszczących płytach, którymi wyłożono galerię.

Lekko zdyszana osiągnęłam wreszcie cel. Sytuacja chyba się nieco uspokoiła, bo moja czerwonowłosa znajoma już nie skakała do oczu mężczyźnie i tylko mówiła coś, energicznie gestykulując. Za to nastolatka wzruszała lekceważąco ramionami i ostentacyjnie żuła gumę.

Może moja interwencja nie jest już potrzebna? – zastanowiłam się i zwolniłam, udając, że zainteresowała mnie wystawa. Jednak w szybie obserwowałam rozwój wypadków.

Tymczasem mężczyznę chyba zdenerwowało coś, co usłyszał, bo złapał tę, którą znałam, za bluzkę i przyciągnął do siebie. Ta próbowała się wyrwać, ale nie dawała rady.

– Co pan robi? – zainteresowała się przechodząca obok kobieta z wózkiem. – Proszę ją puścić, bo wezwę ochronę.

– Spadaj, kobieto. Swym dzieckiem się zajmij. – Mężczyzna najwyraźniej nie należał do uprzejmych, chociaż jego wygląd wcale na to nie wskazywał. Nosił dość elegancki garnitur, dobrze dobrany krawat i markowe buty. Sprawiał wrażenie biznesmena w średnim wieku, a przyprószone siwizną skronie i lekki, ale zadbane zarost dodawały mu powagi i jednocześnie atrakcyjności. Mijając go na ulicy czy spotykając się w interesach, uznałabym, że to godny zaufania i poważny człowiek. Jego obecne zachowanie jednak zupełnie nie pasowało do tego wizerunku.

Nie miałam jednak czasu na analizowanie osobowości tego człowieka, bo uznałam, że najwyższy czas na interwencję.

– Proszę natychmiast zostawić tę dziewczynę – powiedziałam stanowczym tonem, podchodząc do nich. – Czego pan od niej chce?

– Niech się pani nie wtrąca – burknął. – To nie pani sprawa.

– Jak najbardziej moja, bo to moja córka – bez zastanowienia posłużyłam się tym samym fortelem, którego użyła ona. – Jeżeli ma pan coś do powiedzenia, to proszę rozmawiać ze mną. A przede wszystkim niech pan natychmiast zabierze ręce, bo wezwę policję. – Na dowód, że nie żartuję, sięgnęłam do torebki i wyjęłam telefon.

Mężczyzna puścił czerwono włosą, za to nastolatka kurczowo chwyciła się rękawa jego marynarki. Wymienili spojrzenia, a ja zobaczyłam w oczach małej panikę.

– A to pana córka? – zapytałam, intuicyjnie wyczuwając, że to jest jakiś słaby punkt przeciwnika. Miałam taki dar, coś w rodzaju intuicji, co wiele razy pomagało mi w pracy. Bez pudła namierzałam słabości i wykorzystywałam to w negocjacjach. Teraz, w chwili emocji, zadziałałam odruchowo. – Bo wygląda na wystraszoną. Wyjaśni mi to pan, czy woli opowiedzieć o całym zajściu na komisariacie?

– Właściwie nic się nie stało. – Mężczyzna poprawił marynarkę i koszulę. – Drobne nieporozumienie, które chyba już wyjaśniliśmy – popatrzył na moją znajomą i widząc jej pełne złości spojrzenie, dodał szybko:

– To nie moja córka. Nie znam jej.

Nastolatka zamrugała ciężkimi od tuszu rzęsami, ale chyba zrozumiała, że nic tu po niej. Zrobiła z gumy dużego balona, który następnie wciągnęła do ust.

– To ja lecę – stwierdziła beznamiętnie. – Jakby co... – nie dokończyła, wzruszyła ramionami i odeszła bez pośpiechu.

– Niech pani pilnuje córki, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. – Po odejściu nastolatki mężczyzna chyba poczuł się pewniej.

– Coś jeszcze chciałby pan powiedzieć? – natarłam na mężczyznę, chcąc jak najszybciej zakończyć sprawę.

– Nie.

– W takim razie chodźmy – zwróciłam się do dziewczyny. Ponieważ jednak nie ruszyła się z miejsca,

pociągnęłam ją za rękę, zmuszając do pozostawienia napastnika własnemu losowi.

– No to teraz jest okazja na zaległą kawę – powiedziałam, gdy oddaliśmy się nieco od miejsca szarpaniny.

– W sumie tak. – Dziewczyna się uśmiechnęła. Zaczynała się uspokajać, emocje najwyraźniej opadały, więc puściłam jej dłoń.

Przysiadliśmy w wygodnych wiklinowych fotelach wyłożonych poduszkami. Czekałam, aż moja kawa nieco przestygnie, a dziewczyna grzebała łyżeczką w swojej latte macchiato. Wreszcie odzyskała równowagę i podniosła głowę.

– No to chyba mamy remis – stwierdziła. – Dziękuję. Nie sądziłam, że będzie się tak rzucał. Zwykle szybko uciekają, bo boją się, że ktoś się dowie. Żona na przykład.

Spojrzałam pytająco, bo naprawdę nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Jejku, przecież to widać z daleka, że ją tu wyhaczył i miał coś kupić w zamian.

– W zamian za co? – właściwie już się domyślałam, w czym rzecz.

– Za seks. W toalecie albo w samochodzie na parkingu. Przecież to galerianka była, z daleka widać.

Tak, słyszałam o galeriankach, oczywiście. Jednak jakoś nie zdawałam sobie do końca sprawy z realności tego zjawiska. Dopiero teraz, kiedy na własne oczy zobaczyłam, nabrało to rzeczywistego wymiaru.

– Przecież ona miała z piętnaście lat.

– Bardzo wątpię – pokręciła głową moja rozmówczyni. – Raczej mniej. Jakby miała piętnaście, to by tak nie panikowała na myśl o policji. Wiem, co mówię.

– A pani się tym zajmuje? – zaciekawilo mnie, skąd tyle wie.

– Nie „pani”. Ania jestem. Proszę mi mówić po imieniu.

– Ania? – zdziwiłam się. – A myślałam, że przynajmniej Zuza albo Kaja.

Roześmiała się.

– Że zbyt pospolicie? To już do rodziców proszę zgłaszać pretensje. Mnie się tam podoba, lubię być Anią. A co do pani pytania, owszem, zajmuję się tym. Jestem streetworkerką, taką lotną pomocą, jak to nazywam. Chodzę po galeriach, klubach i wszędzie tam, gdzie są te dziewczyny. Gadam z nimi, staram się coś wytłumaczyć, ale ciężko jest.

– Domyślałam się – pokiwałam głową.

– One nie są złe – energicznie machnęła dłonią. – Dużo by opowiadać, naprawdę. Ale najbardziej to mnie wkurzają ci goście. Przyjeżdżają i wybierają jak na targu. Wygodnie im tak – dadzą kilka stów albo kupią majtki i mają z głowy. Nie pytają, ile młoda ma lat, nie martwią się o konsekwencje. Gnoje! – podsumowała. – Jednego spłoszysz, to zaraz następny się znajdzie. Szkoda gadać!

Opowiadała mi jeszcze chwilę o tym, co robi. Słuchałam opowieści o nastolatkach zagubionych w świecie kolorowych obrazków i o chęci posiadania przesłaniającej wszystkie inne wartości. Opisywała sprawy, o których co prawda słyszałam, ale dopiero teraz z całą mocą uświadomiłam sobie, że istnieją nie w filmach czy w głowach dziennikarzy, ale naprawdę i to tuż obok mnie.

Dobrze, że są takie Anie – pomyślałam. – Ja też już niedługo zacznę dokładać swoje cegiełki do tego, żeby coś zmienić na lepsze.

Odzwajemniłam się jej opowieścią o moich planach.

– Może być z tego dobra rzecz – podsumowała.

Też miałam taką nadzieję.

*

Wieczorem długo nie mogłam zasnąć. Myślałam o Darku, jego dziecku (nawet nie wiedziałam, jakiej jest płci), kłopotach. Jako zdradzona żona powinnam się cieszyć, że sam los załatwił za mnie sprawę zemsty, ale jakoś nie potrafiłam. Przewracałam się z boku na bok, zanim wreszcie zasnęłam płytkim, niedającym odpoczynku snem.

Nic dziwnego, że kiedy obudził mnie dzwonek telefonu i spojrzałam na zegarek, zobaczyłam, że jest prawie południe.

– Słucham? – zachrypiałam do słuchawki, próbując jednocześnie wyplątać się z poszewki na kołdrę, w którą jakimś cudem wsadziłam w nocy nogi.

– Gdzie jesteś? – usłyszałam głos Mateusza.

– Jak to: gdzie? W domu.

– Jesteś pewna? Bo stoję przy furtce od co najmniej dziesięciu minut i dzwonię, a ty nie otwierasz. A mam coś, co cię ucieszy.

Już wiedziałam, o co chodzi.

– Nie uciekaj, zaraz otwieram! – wrzasnęłam i rzuciłam telefon. Udało mi się uwolnić nogi, chwyciłam szlafrok i zatupałam bosymi stopami, zbiegając ze schodów. Przycisnęłam guzik otwierający furtkę i natychmiast otworzyłam drzwi. Mateusz właśnie wbiegał po schodkach, machając kilkoma kartkami z widocznymi z daleka pieczęciami.

– Udało się! – wydyszał z uśmiechem. – Oto oficjalny dokument rejestracyjny. Niniejszym możemy uznać, że fundacja „Twoja Przyjaciółka” otrzymała osobowość prawną, a mówiąc po ludzku – możesz działać!

Ogarnęła mnie niesamowita radość, która domagała się, aby natychmiast dać jej upust. Bez zastanowienia rzuciłam się Mateuszowi na szyję, piszcząc ze szczęścia. Poczułam jak mnie obejmuje i okręca wokół siebie. Miał silne ramiona, nawet przez koszulę czułam jego napięte mięśnie. Pęd powietrza i zapach dobrej wody toaletowej odurzały, a w połączeniu z wypełniającym mnie szczęściem sprawiły, że stałam się dziwnie bezwolna i słaba. Lekki zawrót głowy, mięknięcie kolana i naraz poczułam jego wargi na swoich. Nie miałam siły ani ochoty na protesty. Poddałam się, zapadłam w miękki i pełen słodczy niebyt, za którym od dawna tęskniłam. Oddawałam pocałunki, zanurzyłam dłonie w kasztanowych włosach Mateusza, wtulałam się w ciepło promieniujące od męskiego torsu. Pragnęłam, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Nagły ryk silnika przywołał mnie do rzeczywistości. To syn sąsiada wyruszał spod domu na swoim japońskim ścigaczu. Czar prysł, cudowna chwila zapomnienia została przerwana, a ja zdałam sobie sprawę, że stoję w kusej koszulce na progu domu i całuję się ze swoim prawnikiem. Zrobiło mi się wstyd, nie wiedziałam, co mam powiedzieć, jak wytłumaczyć to, co się stało. Żadne sensowne usprawiedliwienie nie przychodziło mi do głowy, tym bardziej że sama nie rozumiałam, jak mogło do tego dojść. Zadziałałam spontanicznie. Zrobiłam dwa kroki w tył i kiedy znalazłam się za progiem – zatrzasnęłam drzwi. Mateusz został na zewnątrz.

Nie miałam zamiaru mu otwierać, ale byłam rozczarowana, że nawet nie zapukał. Kiedy usłyszałam, że

odjechał, odważyłam się wyjść. Na wycieraczkę leżała papierowa teczka. Nawet nie zajrzałam do środka, musiałam najpierw ochłoniąć po tym, co się stało. Po prysznicu i mocnej kawie powoli wracałam do równowagi. Powinnam chyba coś zrobić, nie można przecież udawać, że nic się nie wydarzyło. Przeprasić? Wyrazić żal? Nie, to bez sensu, tym bardziej że nie żałowałam. Cały czas czułam na policzkach drapanie jego zarostu, zapach, nadal nie wyparowało ze mnie ciepło, którym mnie obdarował. Przez tę krótką chwilę zapomniałam o wszystkim, o całym świecie, byłam znowu zupełnie wolna, swobodna, pełna radości i nadziei. Przypomniał mi, że jestem kobietą, że mam ciało, obudził dawno zapomniane potrzeby. Miałabym tego żałować?

Teraz nie może już być między nami tak, jak do tej pory. Miałabym patrzeć na niego i widzieć prawnika, skoro poczułam, że jest mężczyzną? Teraz już zawsze, gdy go zobaczę, będą przychodziły mi na myśl męskie dłonie, mięśnie, usta i twardy brzuch. Czy będę umiała się uwolnić od tych myśli?

A co on na to? Czy będzie myślał tak jak ja? Co teraz czuje? Ogarnęła mnie panika. Z jednej strony chciałabym budzić w nim podobne pragnienia, z drugiej – nie wyobrażałam sobie naszych dalszych relacji. A jeśli dla niego to była tylko chwila, o której już nawet nie pamięta? Moment słabości albo wykorzystana okazja bez żadnych refleksji? Nie, nie powinnam dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobił na mnie ten pocałunek.

Żeby na chwilę uwolnić się od natrętnych myśli, włączyłam komputer. Na monitorze zamigotała ikonka nowej wiadomości. To od Mateusza! Przeczytać? Może później? Nie, lepiej od razu, wolałam wiedzieć.

Nataszo, mam nadzieję, że zabrałaś dokumenty. Teraz musimy poczekać na numer REGON i NIP. Kolejnym krokiem będzie zrobienie pieczętek i założenie konta. Warto także poszukać biura rachunkowego, które poprowadzi sprawy księgowe. Jeszcze raz gratuluję! Mateusz.

Ani słowa o tym, co się stało! Powinnam się domyślić, że dla przystojnego, wziętego prawnika takie przygody to codzienność niewarta większej uwagi. Przynajmniej mam jasność – nasze relacje pozostaną jedynie zawodowe. Już miałam wyłączyć program pocztowy, gdy pod podpisem zauważyłam postscriptum.

Kiedyś obiecałaś mi obiad, gdy uda się zarejestrować fundację. Dzisiaj otrzymałem dużo piękniejsze podziękowanie. Jeżeli uważasz, że może być ono początkiem czegoś, co potrwa dłużej, będę szczęśliwy.

Długo wpatrywałam się w ostatnie zdanie. Czułam fale radości na zmianę z przyływami lęku. Miałam wrażenie, że to wszystko dzieje się za szybko, jakbym jechała rollercoasterem – w górę i w dół, niespodziewanie, bez uprzedzenia. Zapierające dech w piersiach doświadczenie, ale podszyte strachem i niepewnością. Starłam się jakoś uporządkować i nazwać swoje emocje, spokojnie zastanowić się, co do niego czuję.

Po namyśle wystukałam na klawiaturze odpowiedź.

Mateuszu, dziękuję za wszystko. Nie ukrywam, że wywołałeś w moim życiu małą burzę. Nie chcę podejmować ważnych decyzji pod wpływem chwilowych emocji, bo uważam, że działając w taki

sposób, mogłabym skrzywdzić nas oboje. Nie potrafię powiedzieć, czy jestem gotowa na głębszą i dłuższą relację. Mam nadzieję, że zrozumiesz i nie poczujesz się urażony. N.

Odpowiedź przyszła po kilku minutach.

Doceniam twoją szczerość. Będę czekał aż emocje opadną, chociaż mam nadzieję, że nie wszystkie. Odezwę się, gdy będę miał wieści w sprawie fundacji. Pozdrawiam ciepło. M.

Przystojny, wykształcony, bogaty i na dodatek dżentelmen. Dlaczego się zastanawiałam? Może powinnam brać, co mi życie przynosi i cieszyć się? Nie miałam przecież już dwudziestu lat. Rozejrzałam się po salonie, który nagle wydał mi się zbyt duży i pusty. Miło byłoby dzielić go z kimś, mieć obok przyjazną duszę, wspólnie jeść kolację i... śniadania. Tak, byłoby miło, ale czy już raz nie liczyłam na coś takiego? Nie czułam się dość silna, żeby podejmować to ryzyko po raz drugi. Może kiedyś, ale na pewno jeszcze nie teraz – postanowiłam.

*

Sierpniowy Kraków przywitał mnie słonecznie. Rozpalona płyta Rynku wypełnionego turystami z różnych stron świata nie zachęcała do dłuższego pobytu. Wybrałam więc spacer Plantami, aż do Wawelu. Ze wzruszeniem powspominałam studenckie czasy, a stojąc nad brzegiem Wisły, przypomniałam sobie Jacka, który w marcu uparł się na przepłynięcie rzeki i zrobił to, chociaż do tej pory nie wiem jak. Specjalnie przyjechałam dzień wcześniej, żeby odbyć jeszcze jedną sentymentalną wycieczkę. Miasto bardzo się zmieniło od moich studenckich czasów i chociaż z pewnością było nowocześniej, bardziej kolorowo i europejsko, to z żalem stwierdzałam, że znikło wiele miejsc, z którymi coś mnie łączyło. Ot, choćby mieszkanie, w którym spędzałam sylwestra. W tej kamienicy na ul. Retoryka był teraz hotel. Cóż, znak nowych czasów. Tak jak żelazne pudło Galerii Krakowskiej, której widoku nie mogłam znieść. Tylko „Adaś” na Rynku stał niewzruszony.

O ile lipcowy zjazd nie dostarczył mi żadnych specjalnych przeżyć, o tyle ten zapamiętam chyba do końca życia. Pierwszy dzień minął niewinnie, jedynie w przerwie obiadowej zdałam Milenie relację ze swoich fundacyjnych poczynań. Autentycznie się ucieszyła i obiecała pomoc przy pierwszych działaniach.

Drugiego dnia Maja zaproponowała ćwiczenie. Leżałyśmy na podłodze i każda z nas, kierując się poleceniami naszej opiekunki, wyobrażała sobie siebie w wielkim przezroczystym pęcherzu. Próbowaliśmy nazwać towarzyszące nam uczucia i lokalizować je w ciele. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że smutek czuję w żołądku, radość pulsuje mi w skroniach, a złość piecze w dłonie.

Starając się prawidłowo oddychać, w skupieniu wykonywałam kolejne polecenia. Praca z ciałem sprawiała mi kłopot. Niezbyt dobrze potrafiłam je odczuwać, zaakceptować jako część siebie, a nie tylko „pokrowiec na duszę”. Dlatego zadania związane z cielesnością uważałam za szczególnie ważne i poświęcałam im najwięcej uwagi.

Wreszcie Maja poprosiła o wyrównanie oddechu, powolne przejście do skłonu, później klęczenia, aż do powstania. Wróciłam do rzeczywistości i dopiero wtedy zauważyłam, że leżąca obok mnie Urszula nie wstała. Leżała nadal z zamkniętymi oczami i oddychała jakoś dziwnie – nierówno i niespokojnie.

Zaniepokojona, poprosiłam Maję. Opiekunka usiadła obok leżącej i próbowała nawiązać z nią kontakt. Urszula nie odpowiadała. Była w stanie dziwnego transu, nie docierało do niej nic, żadne sygnały, przebywała we własnym świecie, jakby zapadła się do wewnątrz.

Cała grupa zebrała się wokół Mai i z ciekawością, a potem z przerażeniem obserwowała, co się dzieje. W milczeniu wymieniałyśmy spojrzenia, ale żadna nie odważyła się wypowiedzieć nawet słowa, żeby nie przerwać tego, co działo się na naszych oczach.

Maja powoli gładziła Urszulę po rękach i nogach, przemawiając do niej szeptem. Mimo panującej w sali ciszy nie słyszałam, co mówi, ale spokojny szmer jej głosu działał kojąco.

Urszula jęczała, chwilami mniej, chwilami bardziej. Brzmiało to tak, jakby coś ją bolało, jakby z czymś walczyła. W pewnym momencie zaczęła poruszać się, wiła się na podłodze, wykonując zupełnie nieskoordynowane ruchy rękami i nogami. Spod zamkniętych powiek spływały jej łzy. Maja cały czas szepcząc uspokajająco, podtrzymywała głowę Uli. Widać było, że kosztuje ją to wiele wysiłku, bo strużki potu spływały jej z czoła, a koszulka na plecach była zupełnie mokra. Dagmara bez słowa wyjęła chusteczkę i otarła pot z czoła naszej opiekunki.

Patrzyłam na scenę rozgrywającą się na moich oczach i nie mogłam zrozumieć, co właściwie się dzieje. Czy Urszula ma jakiś atak? Czy każdej z nas mogło się to przytrafić? Nikt nie uprzedzał, że ćwiczenia mogą być niebezpieczne. Czy Maja nad tym panuje? Jak to się skończy?

Wreszcie Urszula zaczęła się uspokajać. Jej oddech wyrównał się, ciało przestało wykonywać dziwne ruchy. Maja wciąż ją gładziła. Niespodziewanie ciszę przerwał głośny szloch. To Urszula płakała. Płakała tak, jak nowo narodzone dziecko. Nagle otworzyła oczy i wodziła spojrzeniem po naszych twarzach, starając się zrozumieć, gdzie jest. Zatrzymała wzrok na Mai i uśmiechnęła się. Było w tym coś symbolicznego. Ciało Urszuli rozluźniło się, twarz złagodniała. Powoli wracała do rzeczywistości. Odetchnęłyśmy z ulgą.

Całe wydarzenie trwało ponad godzinę. Kiedy Ula miała już dość sił, żeby wstać, Maja zarządziła trzydzieści minut przerwy. Każda z nas musiała odpocząć po tym niesamowitym przeżyciu, po niezwyklej sytuacji, której byliśmy świadkami. Nie bardzo wiedziałam, co to było, ale dopiero efekty wprowiły mnie w prawdziwe zdumienie.

Na naszych oczach Urszula przeszła przemianę. Symbolicznie można powiedzieć, że narodziła się na nowo. Zmieniła się – rysy twarzy wygładziły się, zniknął wyraz ciągłego napięcia, kąciki ust nie były już wygięte w dół. Ruchy stały się delikatniejsze, mniej zamaszyste, gesty łagodne. Widziałyśmy przed sobą już nie sfrustrowaną i spiętą Urszulę, ale delikatną, miłą i kobiecą Ulę. Jakby tego było mało – zmienił się jej także głos. Wcześniej mówiła z lekką chrypką, ostro, dość nisko, a teraz nieco ciszej, a dźwięki miały cieplejszą, choć wyższą barwę.

Gdybym na własne oczy nie widziała tego wszystkiego, gdyby ktoś mi o tym opowiadał – uznałabym to za wymysł, podkoloryzowaną anegdotę albo przejaw wybujałej wyobraźni. Jednak byłam świadkiem wydarzeń, stałam tuż obok. To doświadczenie wywarło na mnie niesamowite wrażenie. Zrozumiałam, jak ogromna siła tkwi w każdym z nas, a umiejętnie wyzwolona i kierowana może pomóc nam w odnalezieniu prawdziwego „ja”, zaakceptowaniu go i osiągnięciu szczęścia. Ula stała się dla mnie żywym przykładem na to, jaka jest różnica między życiem według narzuconych norm a byciem prawdziwym sobą. Wystarczyło popatrzeć na jej wygładzoną twarz, błyszczące oczy i uśmiech. Wiedziałam, że nie każdy przechodzi to w tak spektakularny sposób i jest to wyjątkowy przypadek.

Jednak cieszyłam się, że było mi dane uczestniczyć w czymś tak niesamowitym.

Po powrocie do domu długo oglądałam w lustrze własną twarz. Czy się zmieniam? Myślałam o tym, jak przeżycia, wszystkie decyzje i wybory odciskają ślady na naszym ciele. Chyba dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo moje ciało i dusza są jednością, współistnieją i współzależą od siebie. Pogładziłam się po policzku, później po ramionach i brzuchu. I w tym momencie pomyślałam o Mateuszu. Zaczerwieniłam się jak nastolatka i czmychnęłam do kuchni zająć się robieniem kolacji. Chyba jeszcze nie byłam całkowicie gotowa na zintegrowanie ciała z umysłem.

Po chwili jednak wróciłam do sypialni. Z podróźnej torby wyciągnęłam zdjęcie, które zrobiliśmy sobie całą szkoleniową grupą na drugim zjeździe. Każda dostała swoją odbitkę. Włożyłam fotografię do kolejnej ramki i cofnęłam się kilka kroków, żeby zobaczyć efekt. Tak, było dobrze. Miałam dowód na to, że ludzie są życzliwi i gotowi pomagać nawet w trudnych chwilach. Wystarczy tylko dać znak, że tej pomocy potrzebujemy i gotowi jesteśmy ją przyjąć.

*

Wieczorem poczułam się źle. Rozboliła mnie głowa, było mi niedobrze. W pierwszej chwili myślałam, że to wynik szczególnie silnych przeżyć podczas zjazdu. Kilku dziewczynom zdarzało się już wcześniej, że po ćwiczeniach, które bardzo je poruszyły lub wymagały od nich pracy nad trudnymi emocjonalnie problemami, miały fizyczne objawy choroby. Organizm reagował właśnie bólem głowy lub żołądka, w ten sposób psychika próbowała obronić wyuczone mechanizmy, nie dopuścić do zmiany.

Łyknęłam proszek przeciwbólowy i położyłam się do łóżka. Miałam nadzieję, że zasnę i do rana samo mi przejdzie. Nie mogłam zamknąć oczu, bo gdy tylko opuszczałam powieki, natychmiast w głowie zaczynała mi wirować karuzela. Wpatrywałam się więc w ciemność i zastanawiałam się, co takiego poruszył we mnie przypadek Uli. Wreszcie zasnęłam.

Obudziłam się w środku nocy, a właściwie obudził mnie ból gardła. Kiedy tylko otworzyłam oczy, dołączyło pulsowanie w skroniach. Dowlokłam się do łazienki i oparłam głowę o lustrzaną taflę. Miły chłód uświadomił mi, jak bardzo jestem rozpalona. Usiadłam na podłodze i nie miałam siły wstać. Co chwila zapadałam w płytką drzemkę, z której raz po raz wybudzał mnie ból gardła. Wreszcie jakoś zebrałam resztki sił i zesłam do kuchni, gdzie kilkoma łykami zimnej herbaty przepchnęłam przez gardło kolejną tabletkę. Przetrwałam pół godziny z głową opartą o blat i ból lekko ucichł. Wykorzystując chwilową, jak się domyślałam, poprawę, zagotowałam wodę i rozpuściłam w kubku lek przeciwgorączkowy. Zabrałam pod pachę butelkę z wodą mineralną, a do kieszeni szlafroka termometr i z powrotem wdrapałam się na piętro.

Odliczałam minuty, trzęsąc się pod kołdrą i oblizując raz po raz spierzchnięte usta. Wreszcie gorączka zaczęła opadać i chociaż za oknem wstawał dzień, zasnęłam.

Niestety, kiedy się obudziłam, wcale nie było lepiej. No, może tylko tyle, że już nie było mi niedobrze. Najwyraźniej złapałam jakąś paskudną grypę. Pewnie to pamiątka po nocnym powrocie z teatru w Krakowie. Sierpniowe wieczory bywają zdradliwe, o czym mogłam się właśnie przekonać.

Zastanawiałam się, czy zejść na dół, żeby zrobić sobie śniadanie, ale na samą myśl o jedzeniu żołądek zareagował skurczem, więc porzuciłam ten zamiar i zostałam w łóżku. Przeleżałam kilka kolejnych godzin, nawadniając się powoli przyniesioną w nocy mineralną i zastanawiając się, co robić. Jechać do

lekarza? Nie miałam na to dość sił. Wezwanie pogotowia także nie wchodziło w grę, bo aż tak źle nie było, żeby absorbować tych, którzy mają ratować życie. Na szczęście miałam jeszcze podstawowe leki, więc powinnam jakoś przetrwać.

Ból głowy nie pozwalał mi na czytanie, mogłam tylko leżeć i patrzeć w sufit, co robiłam aż do wczesnego popołudnia. Musiałam zejść do kuchni, bo skończyła mi się woda, poza tym chciałam się umyć, bo po nocnej gorączce lepiałam się od potu.

Na prysznic się nie zdecydowałam, ciągle czułam się słaba i bałam się, że mogą wrócić zawroty głowy. Umyłam się więc tylko, starając się nie patrzeć w lustro, bo widok bladej twarzy i podkrążonych oczu w otoczeniu przepoconych włosów nie był tym, co chciałabym widzieć.

Każda czynność wymagała ode mnie ogromnego wysiłku. Ukrojenie chleba wydało mi się zajęciem ponad siły, więc zjadłam trochę jogurtu i dwa plasterki wędliny, a i tak tylko z rozsądku, bo nie czułam głodu. Poza tym ból gardła utrudniał połykanie. Zasłoniłam okna w salonie i ułożyłam się na kanapie. Tutaj było chłodniej niż na górze i miałam bliżej do apteczki.

Pierwszy atak kaszlu przyszedł akurat wtedy, kiedy już miałam nadzieję, że zaczynam czuć się lepiej. Kilkanaście minut później mogłam już dopisać do listy objawów ból w klatce piersiowej. Z niepokojem czekałam na wieczór, bo spodziewałam się, że wtedy temperatura może znowu narastać. Kiedy pomyślałam o kolejnej nocy, która mogłaby być podobna do poprzedniej, zachciało mi się płakać. Miałam piękny dom z ogrodem, pieniądze, ale nie było nikogo, kto zaopiekowałby się mną, podał termometr czy filiżankę herbaty. Tak właśnie wyglądało moje życie – samotne i puste. Mogłabym umrzeć w otoczeniu tych drogich mebli, na skórzanej kanapie i nikogo by to nie obeszło. Dałam upust smutkowi, popłakując między kolejnymi atakami kaszlu.

Byłam tak rozżalona na cały świat i wszystkich ludzi, że nie miałam zamiaru odebrać telefonu. Niech sobie dzwoni. I dzwonił, nawet kilka razy. Bardzo dobrze – pomyślałam. – Może ten ktoś, kto tak bardzo chce ze mną rozmawiać, zainteresuje się moim losem? Może nawet się zdenerwuje? Dobrze, zasługuje na to, kimkolwiek jest. Chociaż nie potrafiłam wymyślić, kto to mógłby być. Ponieważ jednak jego natręctwo mnie znużyło, a muzyczka telefonu grzmiała mi w głowie jak dzwon Zygmunta, nakryłam telefon poduszką.

Zmęczona kaszlem i uzalaniem się nad sobą, zasnęłam. Obudziło mnie stukanie w drzwi tarasowe. Nie wiedziałam, która jest godzina, bo szczelnie zasunięte zasłony skutecznie odgradzały mnie od świata. W pierwszej chwili nie bardzo też wiedziałam, co się dzieje, czy to jeszcze sen, czy już rzeczywistość. Pukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze i bardziej stanowcze.

– Nata, jesteś tam?! Natasza!

Dlaczego Darek dobija się do okien, zamiast jak normalny człowiek zadzwonić do drzwi? Chciałam odpowiedzieć, ale z gardła zdołałam wydobyć tylko coś pomiędzy prychnięciem a zgrzytem. Zebrałam się więc z kanapy i szurając stopami po dywanie, podeszłam do przeszklonych drzwi.

– Co ty wyprawiasz?! Jasna cholera, już miałem wzywać policję! – Darek rozpoczął tyradę, gdy tylko wszedł do pokoju. – Pół Polski postawione na nogi, bo od wczoraj nie można się z tobą skontaktować. Dopadła mnie Jolka, miała numer jeszcze z dawnych lat. Tak długo mnie męczyła, że zgodziłem się tu przyjechać. Myślałem, że dramatyzuje, jak to ona, ale podjeżdżam, w domu ciemno, okna pozasłaniane, a ty nie reagujesz na dzwonek do drzwi. Komórka nie odpowiada, stacjonarny też, a Jolka twierdzi, że od trzech dni nie było cię na Facebooku. W końcu sam zacząłem się denerwować, więc przelażem przez

ogrodzenie i wałę w te okna od kwadransa. – Zaaferowany opowieścią rozsiadł się w fotelu, nie czekając na zaproszenie. – W końcu chciałem dzwonić na policję, na szczęście raczyłaś wreszcie otworzyć. Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

Nie mogłam, z dwóch powodów. Po pierwsze: głos nadal odmawiał mi posłuszeństwa, po drugie: złapał mnie kolejny atak kaszlu. Dopiero teraz Darek przyjrzał mi się uważniej. Nie wiem, jak wyraźnie widział mnie w panującym w pokoju półmroku, ale chyba wystarczyło.

– Rany boskie, jak ty wyglądasz?! Jesteś chora – stwierdził odkrywczco. – I z takim kaszlem siedzisz tutaj boso? Byłaś u lekarza?

Pokręciłam przecząco głową. Spojrzał na zegarek.

– Dzisiaj już za późno, ale jutro ściągniemy tu kogoś na wizytę domową. Od kiedy tak leżysz? – Widząc, że nie uzyska odpowiedzi, machnął ręką. – Nieważne.

Rozejrzał się po salonie, zajrzał do kuchni.

– No pięknie, nie ma co! – skomentował krótko. – Szkoda czasu na gadanie. Pakuj się do łóżka. Dasz radę iść?

Wzruszyłam ramionami, więc nie pytał więcej. Wziął mnie pod ramię i pomógł dojść do sypialni. Była już za to najwyższa pora, bo zaczynałam szcząkać zębami. Opatulił mnie kołdrą i kocem.

– Zaraz przyniosę leki i gorącą herbatę. – Dotknął ręką mojego czoła. – I chyba zimny okład na głowę, bo jesteś strasznie rozpalona.

Słyszałam, jak w korytarzu rozmawia z Jolą.

– Tak, jest chora, ale będzie dobrze... Oczywiście, że się zajmę... Nie ma potrzeby, żebyś przyjeżdżała z drugiego końca Polski... Tak, będziemy w kontakcie.

Z ulgą poddałam się wszystkiemu, co zarządził. Rozczuliło mnie, że nawet pokruszył tabletki, żeby było mi łatwiej je przełknąć. Nieco nieporadnie zmieniał mokre kompresy, mocząc przy tym kołdrę, ale wzruszały mnie jego starania. Później zapadłam w pełen majaków półsen. Za każdym razem, gdy się budziłam, Darek podawał mi coś do picia i okrywał.

Kolejne dwa dni pamiętam jak przez mgłę. Wiem, że był lekarz, osłuchiwał mnie i zapisał nowe leki. Przypominam sobie też, że coś jadłam, ale niechętnie i namawiana przez Darka. Trzeciego dnia obudziłam się i poczułam głód.

– No to chyba już będzie dobrze. – Darek się uśmiechnął. – Mam na podorędziu rosółek. Co prawda nie wiem, czy jadalny, bo dawno nie gotowałam, ale liczę, że osłabiona chorobą nie zauważysz jego niedoskonałości.

Zjadłam ten rosół. Nie był zły.

– Jest niezły – wychrypiałam.

– Wielkie dzięki! A ja się tak starałem! – udawał obrażonego.

Chciałam się roześmiać, ale natychmiast zaczęłam kasłać. Mimo to czułam się o niebo lepiej. Głowa nie bolała, miałam więcej siły i ochotę na wstanie z łóżka.

– Nic z tego. Może jutro. Na razie masz leżeć i dochodzić do siebie.

Jakoś specjalnie nie zależało mi, żeby postawić na swoim. Miło było odpoczywać, wiedząc, że ktoś jest gotów w każdej chwili spełnić twoje zachcianki.

Wieczorem zeszłam jednak do salonu. Usiedliśmy przy herbacie. Gadaliśmy o pogodzie, Darek z ciekawością słuchał o odnowieniu moich kontaktów z dziewczynami. Sam mówił o kilku nowych

klientach.

– Wreszcie coś się ruszyło. Dzięki temu już za tydzień, może dwa, będę mógł spłacić ci resztę pieniędzy.

Przypomniała mi się rozmowa z Marczewską.

– Nie musisz. Możemy pozostać przy ustalonych terminach – zaprotestowałam. – Mnie się nie spieszy.

– Może i tak, ale zrozum, będę czuł się lepiej, wiedząc, że mam to z głowy.

– Słuchaj, wiem więcej niż ci się wydaje. – Postanowiłam zagrać w otwarte karty. – Spotkałam w galerii tę Marczewską od kosmetyków i powiedziała mi o problemach z kilkoma klientami. A wiem dobrze, co to oznacza dla firmy. Nie bądź dzieckiem, nie upieraj się. Jeżeli możesz, zapłać, jeśli potrzebujesz więcej czasu – wykorzystaj ten ustalony.

– Dziękuję, ale wiedz, że nie czuję się dobrze z tym przeterminowanym długiem wobec ciebie. I robię wszystko, żeby spłacić go jak najszybciej. – Sprawę klientów pominął milczeniem, ale dwie bruzdy między brwiami dały mi jasny sygnał, że nie jest zadowolony z tego, że dowiedziałam się o jego problemach. Jak zawsze zbyt ambitny – pomyślałam. – Cóż, gdyby nie ta cecha, pewnie nie dorobiliśmy się tego wszystkiego.

Atmosfera zrobiła się nieco ciężka, więc próbowałam ją rozładować.

– Właściwie to ja powinnam ci podziękować. Zajmowałeś się mną przez cały ten czas, zamiast pracować nad rozwojem firmy. Przepraszam, że cię tak zaabsorbowałam, ale naprawdę nie chciałam. Nie miałam pojęcia, że Jolka może narobić takiego rabanu.

– Możesz sobie pogratulować oddanej przyjaciółki – roześmiał się Darek. – Była niezwykle skuteczna. Ale potem, kiedy cię zobaczyłem, już nie potrzebowałem większej motywacji. Wyglądałaś jak zombie.

– Rzeczywiście musiałam się strasznie prezentować, skoro siedziałeś tu bez przerwy przez trzy dni...

– No, bez przesady, nie bez przerwy. Dużo spałaś, więc od czasu do czasu wyskakiwałem na zakupy. Poza tym – dodał z wahaniem po kilku sekundach – skoro widziałeś się z Marczewską, to wiesz, że nikt na mnie nie czeka.

– Wiem. Przykro mi.

– Nie musi ci być przykro. Nawet może normalne byłoby, gdyby nie było – wzruszył ramionami. – Przecież sam sobie jestem winien. Nawarzyłem piwa, to muszę je teraz wypić.

– Skoro już tak szczerze rozmawiamy – zdecydowałam się zadać pytanie – to jak się ma twoje dziecko? To chłopiec czy dziewczynka? Widujesz je?

– To syn, Karol. Fajny chłopak. I mądry, po tatusiu – roześmialiśmy się oboje. – Widujemy się co drugi weekend, ale często w tygodniu zabieram go z przedszkola albo odwożę na zajęcia muzyczne. Ustalamy to z Łucją, nie robi problemów.

– Cieszę się. Jestem pewna, że jesteś świetnym ojcem.

– To złośliwość? – spiął się znowu.

– Nie, szczerść. Zresztą dobrze wiesz, że zawsze w to wierzyłam. I nie nadymaj się, chyba możemy teraz rozmawiać normalnie, prawda?

Darek wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Zawsze tak robił, gdy rozważał jakąś szczególnie trudną sprawę. W dużym domu nie stanowiło to problemu, ale kiedy jeszcze mieszkaliśmy w kawalerce, śmiałam się, że wydepcze dziurę do sąsiadów, drepcząc w tę i z powrotem po kilku metrach wolnej przestrzeni. Nie przerywałam mu, bo wiedziałam, że tego nie lubi.

– Wiesz – zaczął wreszcie – kiedy leżałaś półprzytomna w łóżku, a ja co dziesięć minut jak głupi sprawdzałem, czy wszystko w porządku, przypomniało mi się, kiedy... no wiesz... – Sięgnął po figurkę kota stojącą na kredensie i zaczął nerwowo obracać ją w palcach. – I pomyślałem, że popełniłem wiele błędów, takich, których się nie wybacza. Mam tego świadomość. Do tej pory myślałem, a może chciałem myśleć, że jesteś mi zupełnie obojętna, ale ostatnie dni przekonały mnie, że tak nie jest. Nie, nie mówię o miłości, nie przeraż się. Mówię o tym, że dużo razem przeszliśmy i zawsze będziesz dla mnie wiele znaczyć. Chcę, żebyś o tym wiedziała. – Odłożył kota na miejsce i wreszcie spojrzął mi w twarz. – A teraz już możesz mnie wyrzucić.

Miałam łzy w oczach. Znałam Darka tak dobrze jak nikt inny i wiedziałam, ile kosztowało go to wyznanie. Słuchając go, czułam, że mówi coś, co sama mogłabym powiedzieć do niego. Rozstaliśmy się w gniewie i dużo było między nami złych emocji. Pamiętam chwile, gdy nienawidziłam go z całego serca, ale przecież i ja nie byłam bez winy.

– Siadaj – wskazałam mu fotel. – Albo nie, najpierw zaparz jeszcze herbatę, ta choroba bardzo mnie wysuszyła. Muszę uzupełnić zapasy, jak wielbłąd.

Głośno wypuścił powietrze. Najwyraźniej opuściło go napięcie. Wypiliśmy kolejny dzbanek earl greya, a później zamówiliśmy chińskie jedzenie. Jak kiedyś. Chociaż minęło wiele lat od tamtego czasu, to orzekliśmy zgodnie, że sajgonki są tak samo tłuste, a ryż tak samo rozgotowany.

Darek wypytywał, co robiłam przez ostatnie lata. Opowiedziałam o terapii, o wyjazdach do Krakowa. Rozmawialiśmy do późna. O przeszłości i przyszłości. W tej ostatniej kwestii zdecydowaliśmy, że spróbujemy jeszcze raz. To nie była łatwa decyzja. Oboje nie wiedzieliśmy, czy się uda, ale podjęliśmy ryzyko i trud odbudowania naszego związku. Nie byliśmy już parą studentów, ale dwójką dorosłych ludzi. To jednak nie gwarantowało niczego i oboje byliśmy tego świadomi.

Sypialnia od tej pory miała znowu być miejscem dla dwojga. Oboje wiedzieliśmy, że nie powinniśmy odwlekać tej chwili. Myślenie o odbudowaniu czegokolwiek czy o nowym początku byłoby bez sensu, gdyby pozbawić je tego aspektu wspólnego życia.

Obawiałam się. Nawet bardziej niż pierwszego wspólnego razu. Wtedy zastanawiałam się tylko nad tym, czy mu się spodoba, czy będzie nam dobrze. Teraz, chociaż przecież wiedziałam, że potrafimy się zaspokoić, obawy miałam ogromne. Bo przecież i wtedy miałam świadomość, że nie jestem dla niego pierwsza, ale tamte poprzednie nie były realne, nie mogłam ich sobie nawet wyobrazić, więc dla mnie nie istniały. Teraz było inaczej. Bo przecież ją znałam. Widywałam codziennie, sama przyjeżdżałam na staż w naszej firmie. Nie mogłam udawać, że nie istnieje. I nawet jeżeli dla niego była przeszłością, to przecież właśnie ona sprawiła, że Darek zdecydował się odejść.

Mogłam przekonywać samą siebie, że ostatecznie ja wygrałam. Bo przecież wrócił, chce ze mną być. Niby tak, ale bardzo bałam się, że nie będę mogła o niej zapomnieć, że świadomość jej istnienia położy się z nami w łóżku. Zastanawiałam się, czy Darek czuje coś podobnego.

Z niepewnością oczekiwałam jego pieszczot. Nie wiedziałam, jak na nie zareaguję. Czy potrafię się rozluźnić? Odpowiedzieć spontanicznie i szczerze? Czy moje rany zagoiły się już na tyle, żeby jego dotyk nie sprawił mi bólu, nie był koniecznością, czymś przyjmowanym bardziej z obowiązku niż z chęci i pożądania?

Wiele podobnych myśli kłębiło mi się w głowie, gdy brałam prysznic. Wyszłam z łazienki zdenerwowana niczym młoda dziewczyna przed pierwszym zbliżeniem z ukochanym. Darek czekał

w sypialni. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa, gdy wsunęłam się pod kołdrę. Przez chwilę myślałam nawet, że tej nocy nic się nie wydarzy, że po prostu zaśniemy obok siebie, jak to często bywało. Bo przecież nie kochaliśmy się codziennie, zwłaszcza w ostatnim okresie naszego małżeństwa. Dlaczego więc oczekiwałam, że akurat dziś wybuchnie w nas dawna namiętność?

A jednak to się stało. Poczułam dłoń Darka na brzuchu i po plecach przebiegł mi miły dreszcz. Jednak byłam na to gotowa. Co więcej, czułam, że bardzo potrzebuję tej bliskości. Z przyjemnością poddawałam się jego dotykowi, nie protestowałam, czując usta i język we wgłębieniu szyi. Doskonale wiedział, co robić, żeby sprawić mi przyjemność. Nie mogło być inaczej, skoro uczyliśmy się siebie przez wiele lat. Przeznaczyliśmy na to niezliczoną liczbę nocy.

Ja także znałam jego potrzeby, miejsca szczególne, pieszczoty, które sprawiały, że zaczynał szybciej oddychać. Skorzystałam z tej wiedzy, zadowolona, że oboje nie zapomnieliśmy tej drogi prowadzącej do wyczekiwanego coraz bardziej finału.

Nie spieszyliśmy się. Nie musieliśmy. Wszystko miało swój czas, a oczekiwanie mogło jedynie spotęgować doznania. Jednocześnie osiągnęliśmy spełnienie. To sztuka, która podobno niewielu parom się udaje, a nam było to dane prawie zawsze.

A potem, jak dawniej, leżeliśmy obok siebie, starając się głaskaniem i delikatnymi pocałunkami złagodzić emocje i uspokoić serca. Było mi dobrze, ale... jakoś zwyczajnie. Czegoś zabrakło? Nie, musiałam przyznać, że Darek był naprawdę dobrym kochankiem. A to, w połączeniu ze znajomością swoich potrzeb musiało dać dobry efekt.

Nie wymyślaj, Nataszo – skarciłam się w myślach. – Było naprawdę dobrze. Nie szukaj dziury w całym, bo ją naprawdę znajdziesz.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Darek badawczo mi się przygląda. Jakby chciał wyczytać z mojej twarzy, co myślę. Uśmiechnęłam się. A więc on też był zdenerwowany i niepewny. Na szczęście mieliśmy to już za sobą. I wyszło lepiej, niż można by się spodziewać.

– Było mi dobrze – powiedziałam. – Dziękuję.

Poczułam, że się rozluźnił. Pocałował mnie w policzek.

– Cieszę się, Nata.

Zasnęłam, czując na plecach jego oddech. Jak kiedyś, jakby te wszystkie złe rzeczy się nie wydarzyły.

*

Następnego dnia spotkałam Darka w kuchni. W pierwszym odruchu nawet się zdziwiłam obecnością drugiego człowieka, ale po chwili – ucieszyłam, bo kawa już ciurkała z ekspresu, a na szafce leżała reklamówka ze świeżym pieczywem.

Darek, gryząc rogalika, wskazał na leżące na stole papiery.

– Niczego nie ruszałam, ale przyznaję się, że zerknęłam. Realizujesz jednak swój plan?

– Owszem. I nieźle mi idzie, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy formalne. – Nalałam sobie kawy i usiadłam na ulubionym miejscu. – A ty nie idziesz do pracy?

– Idę, tylko nie wiem, dlaczego zasnęłam – puścił do mnie oczko znad słoika z dżemem. – Skończę śniadanie i już mnie nie ma.

– O której wrócisz? – zapytałam odruchowo, ale natychmiast dodałam: – Pomyślałam, że mogłabym coś

ugotować i dlatego...

– Nie tłumacz się. To nawet miłe, dawno nikt nie pytał, o której wrócę. Niestety, nie umiem powiedzieć. Wpadnę do firmy, rozejrzę się i dam ci znać.

Pokiwałam głową, ale już tego nie widział.

Pijąc kawę, przekładałam papiery. Przypomniało mi się, że Mateusz wspominał coś o REGON-ie i NIP-ie, o pieczętkach i koncie bankowym. Zerwałam się i pobiegłam do skrzynki. Nie znalazłam w niej nic poza reklamami i gazetkami z supermarketu. Odetchnęłam z ulgą. Moja choroba niczego nie opóźniła.

Włączyłam komputer i nadrobiłam zaległości w korespondencji. Szczególnie ciepły e-mail napisałam do Joli, dziękując jej za troskę. Nie podzieliłam się z dziewczynami informacją, że Darek ze mną zamieszkał. Przecież sama nie wiedziałam, co z tego tak naprawdę wyniknie.

Później napisałam do Mateusza. Powiadomiłam go, że nie otrzymałam żadnego ze wspomnianych przez niego dokumentów. Postanowiłam zjeść śniadanie. Odczuwałam jeszcze osłabienie i chociaż niewiele zrobiłam od rana, musiałam odpocząć i dostarczyć organizmowi energii. Kiedy wróciłam z kuchni, w skrzynce zastałam odpowiedź od prawnika.

Spokojnie, musisz uzbroić się w cierpliwość. Urzędy się nie spieszą. Za to ja przygotowałam kilka wzorów różnych umów, które przydadzą ci się na początku działalności. Przesyłam je w załączeniu.
Mateusz

PS: Jeżeli będziesz w centrum, wpadnij do mnie. Mam też kopie dokumentów, które składaliśmy ostatnio w sądzie.

Resztę przedpołudnia spędziłam, leniuchując na tarasie. Około czternastej zadzwonił Darek.

– Pomyślałam, że nie powinnaś może jeszcze dzisiaj gotować. Co powiesz na obiad w restauracji? – Chyba wyczuł moje wahanie, bo dodał: – Znajdziemy jakąś małą knajpkę, gdzie nie trzeba od razu przychodzić w sukni wieczorowej. Zresztą ja też nie zdążyłem się rano ogolić. Przyjadę po ciebie o siedemnastej.

Doprowadziłam się do porządku, w sumie zadowolona, że znalazł się bodziec, który mnie do tego zmobilizował. Wiedziłam, że Darek jest punktualny, więc kilka minut przed piątą byłam gotowa. W drodze przypomniałam sobie o e-mailu Mateusza. Wystukałam jego numer.

– Jesteś u siebie? Za chwilę będę w centrum, mogłabym odebrać te dokumenty...

Po kwadransie zjawiłam się w kancelarii.

– Pięknie wyglądasz – skomplementował mnie Mateusz.

– Przesadzasz. Chorowałam, wczoraj wstałam z łóżka, więc wiem, jak wyglądam – roześmiałam się. – Ale miło wiedzieć, że są jeszcze na świecie dzentelmeni.

– Mogłaś zadzwonić. Przywiózłbym jakieś zakupy czy leki...

– Poradziłam sobie, dzięki – poklepałam go po ramieniu. – Przepraszam cię, ale muszę lecieć, spieszę się.

– Ja też wychodzę – sięgnął po marynarkę.

Zeszliśmy razem na parking. Darek czekał na mnie przy samochodzie. Pomachałam do niego. Odmachał. Mateusz przystanął.

– Rozumiem, że lepsze stare, ale znane niż nowe i ryzykowne. – Mogłabym potraktować to jako żart, ale minę miał poważną. – Nie będę przeszkadzał. Do widzenia.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Było mi głupio, ale przecież niczego mu nie obiecywałam. Odprowadziłam go wzrokiem, a kiedy wsiadł do auta, ruszyłam w kierunku Darka. „Stare, ale znane...” Bez przesady! Nie będzie jakiś prawnik dyktował mi, co mam robić ze swoim życiem. Nawet bardzo wzięty prawnik o zielonych oczach.

*

Spędziłam bardzo miłe popołudnie. Najpierw obiad – nie żałowałam sobie, bo Darek doskonale wiedział, co lubię. Zabrał mnie tam, gdzie serwowali najlepszego łososia z pieca i szpinakowe roladki. Co prawda miałam lekkie wyrzuty sumienia, ale przecież powinnam się wzmocnić po chorobie – usprawiedliwiałam się sama przed sobą.

– Jedz, nie żałuj sobie. – Darek się uśmiechnął, widząc, że waham się, czy sięgnąć jeszcze po resztę tiramisu. – Spalisz wszystko, jeżdżąc na rowerze.

– Skąd wiesz? – zdziwiłam się.

– Byłem w garażu. I stwierdziłem, że skoro samochód trzymasz na podjeździe, a ten pojazd zajmuje centralne miejsce pod dachem, to musi być niezwykle ważna sprawa – stwierdził z powagą, ale widziałam, że chce mu się śmiać.

– No co?! – udałam oburzenie. – Uważasz, że nie pasuje mi rower?

– Skądże! Przeciwnie. Bardzo się ucieszyłem. Tylko wiesz, pomyślałem, że nic się nie zmieniłaś.

– W jakim sensie? – zapytałam podejrziwie.

– W takim, że jak sobie coś ubzdurasz, to nie ma odwrotu. I od razu musisz to robić bez opamiętania. Nie powiem, zazwyczaj masz efekty, bo wiadomo, zaangażowanie to podstawa, ale z drugiej strony czasami przydałoby się trochę rozwagi. Sama zobacz, nawet ten rower. Od razu widać, co jest dla ciebie w tym momencie najważniejsze.

– A to coś złego?

– Nie, nawet dodaje ci uroku. Twierdzą tylko, że czasami koszty mogą być zbyt duże. Sama zresztą oceń – teraz jest lato, więc samochód ma się dobrze. Ale gdyby była zima?

– No to miałam rower wystawić na podwórko?

– Nata, wiesz dobrze, że to tylko przykład, więc nie próbuj tych swoich psychologicznych sztuczek. Nie dam się zbić z tropu, pamiętaj, że znam cię jak mało kto. – Uśmiechnął się i otarł usta serwetką. – Na rower można zrobić wieszak na ścianie i wszystko się zmieści. Ale ty o takich rzeczach nie myślisz. I to dobrze. Bo od tego właśnie jestem ja. Zawsze byłem. I jutro zajmę się także tym rowerem. – Podkreślił słowo „także”.

Udałam, że bardzo zajmuje mnie kończenie deseru. Jedząc, zastanawiałam się nad tym, co powiedział Darek. Czy rzeczywiście angażuję się we wszystko tak jednokierunkowo. Czy kiedy pochłonie mnie nowy pomysł, to mam klapki na oczach i nie widzę nic, oprócz celu, do którego dążę? I jeszcze te koszty, o których wspominał. Może było w tym coś?

A ta aluzja do roli, jaką odgrywał? Rzeczywiście, musiałam przyznać, że od początku naszego związku to właśnie Darek myślał o naszej przyszłości. Planował ją i konsekwentnie realizował te plany. Ja

angażowałam się w swoją pracę, ale nigdy nie patrzyłam na to szerzej. Byłam skoncentrowana na konkretnych zadaniach, nowych wyzwaniach, ale czy wiedziałam, jak to się ma do dalszej perspektywy? Nie zastanawiałam się nad tym wcale. A Darek owszem, zawsze. Dzięki jego przezorności i dobrej ocenie sytuacji, przenieśliśmy się do Warszawy. Tak, nigdy tego nie doceniałam.

Popatrzyłam spod oka na mężczyznę siedzącego naprzeciwko mnie. Był inny niż dwadzieścia lat temu, nie tylko wizualnie. Inaczej siedział, inaczej patrzył. Kiedy zaszła ta zmiana? Dlaczego tego nie zauważyłam? Będę musiała od nowa się go nauczyć, poznać, przyzwyczaić się. Do własnego, byłego męża.

A jednak nie wszystko się zmieniło. Odgarniał włosy z czoła zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy go poznałam. I chociaż tych włosów było dużo mniej, to gest pozostał taki sam. Może uda się też odnaleźć kawałek młodego chłopaka z nadmorskiej plaży? – pomyślałam. – Tak jak mnie udało się z dawną Nataszą.

Przełknęłam ostatni kawałek tiramisu i odłożyłam łyżeczkę.

– To dobry pomysł z tym wieszakiem – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

– A czy równie dobry będzie wieczorny spacer po Starówce? – zapytał.

Pokiwałam głową. Wiedziałałam, że zrozumiał nie tylko to, co powiedziałam, ale i to, o czym pomyślałam.

Szliśmy uliczkami bez pośpiechu, w milczeniu. Nie trzymaliśmy się za ręce, nie obejmowaliśmy. Było miło, ale pomyślałam przez chwilę, że jakieś to mało romantyczne. Czy ludzie, którzy postanowili ze sobą być, nie powinni się tym cieszyć, przytulać, całować? Pragnąć bliskości w każdej chwili?

Z drugiej strony – czego ja się spodziewałam? Przecież znaliśmy się od tak wielu lat, że wspólny spacer nie był początkiem niczego nowego, a raczej powrotem do tego, co w pewnym momencie zostało przerwane. Nie miałam co liczyć na etap fascynacji, motyle w brzuchu, tęsknoty i oczekiwania. To wszystko już dawno było za nami, takich emocji nie można powtórzyć z tym samym człowiekiem. Nie byliśmy przecież bohaterami komedii romantycznej, którzy po kilku nieporozumieniach i zwrotach akcji spotykali się na oświetlonym moście i wpadli sobie w ramiona. Po prostu podjęliśmy wspólną, dorosłą decyzję i staraliśmy się zrealizować ustalony plan. Dzięki temu powinniśmy uniknąć wielu niebezpieczeństw i krzywdzenia się nawzajem. To przecież dobre rozwiązanie – pomyślałam. Jednak nie udało mi się powstrzymać westchnienia.

– O czym myślisz? – zapytał Darek.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Z opresji wybawił mnie radosny okrzyk:

– O! Co za spotkanie! – Jolanta machała wypielegnowaną dłonią, na której pobrzękiwały srebrne bransoletki. – Tutaj jesteśmy!

Rzeczywiście, byli. Ona i Mateusz. Siedzieli przy niewielkim stoliku w kawiarnianym ogródku. Nie miałam ochoty na to spotkanie, ale nie było wyjścia. Jolanta przyzywała nas gestami. Darek spojrzał pytająco, ja wzruszyłam ramionami. Podeszliśmy.

– Piękny wieczór, prawda? – zaszczębiotała słodziutko Jolanta. – Wszyscy spacerują, zwłaszcza tutaj, bo to takie nastrojowe miejsce. Czyż nie? – zwróciła się w stronę Darka. Najwyraźniej chciała dowiedzieć się, kim jest mój towarzysz. Udałam jednak, że nie pojmuję jej intencji i nie dokonałam prezentacji.

– Może się do nas dosiądziecie? – Towarzyszka Mateusza nie zamierzała dać za wygraną. – Ja wiem,

że zakochani chcą być tylko we dwoje – zerknęła wymownie na prawnika, sugerując, że są tutaj w takim właśnie charakterze – ale czasami przyda się jakaś odmiana – roześmiała się perliście.

Spojrzałam na parę przy stoliku, potem na Darka. Widziałam, że podoba mu się Jolanta. Nawet mnie to nie dziwiło, bo trzeba było przyznać, że prezentowała się nienagannie. Jak zawsze zresztą. Nie, nie byłam zazdrosna. Chyba...

Mój wzrok spotkał się ze spojrzeniem Mateusza.

– Nie będziemy przeszkadzać. Mamy już swoje plany na wieczór, wy zapewne także. I przypadkowe spotkanie nie powinno ich zmieniać. W końcu wiadomo, że lepsze stare, ale znane niż nowe, ale ryzykowne.

Pożegnaliśmy się i poszliśmy, zostawiając zawiedzioną Jolantę z milczącym prawnikiem. Jednak jakoś nie miałam ochoty na dalszy spacer.

– Wracajmy do domu – zaproponowałam.

– A co? Już spaliłaś wszystkie kalorie z obiadu? – zażartował Darek.

– Bardzo śmieszne – skomentowałam sucho. To chyba ta Jolanta tak działała mi na nerwy.

IV

Uwierz, że będzie dobrze!

Mała dziewczynka leży na materacu położonym wprost na podłodze. Niewielka lampka oświetla delikatną buzię. Pulchne rączki obejmują dużego drewnianego kota. Spod kołderki w misie wystaje stópka w różowej skarpetce. W tle, za oknem, widać czubki ośnieżonych świerków i rozgwieżdżone niebo...

Powoli nadchodziła jesień. Za dnia jeszcze słońce dawało sobie radę i nawet czasami przypiekało niczym w środku lata, ale wieczory i poranki stawały się coraz chłodniejsze. Na wiśni w moim ogrodzie zaczynały żółknąć liście, powoli przekwitały letnie kwiaty. I chociaż wrześnie dni mogły być przykładem czytankowej złotej polskiej jesieni, to patrząc na zmieniający się ogród, czułam nostalgię.

Nie miałam jednak zbyt wiele czasu na kontemplację przyrody, bo załatwiałam ostatnie urzędowe formalności. Wreszcie w pierwsze piątkowe popołudnie września usiadłam przy biurku i położyłam przed sobą pieczętę fundacji ze wszystkimi niezbędnymi numerami oraz drugą z napisem Natasza Dębicka, prezes zarządu. Co prawda Agata przekonywała mnie do żeńskiej formy „prezeska”, ale jakoś mi to nie brzmiało. Poza tym uważałam, że niektóre żeńskie formy nazw funkcji i zawodów bardziej szkodzą sprawie równouprawnienia niż ich brak.

Z dumą patrzyłam na pieczętę i teczkę z dokumentami. Doszłam do końca pierwszego etapu. Etapu, który wydawał mi się najtrudniejszy. Z pomocą Mateusza udało się go pokonać właściwie bezboleśnie. Teraz pora na działanie. I znowu czas na kolejny krok w nieznaną. Swoją drogą to niesamowite, że ja, która zawsze ceniłam bezpieczeństwo i stabilność, ciągle podejmuję nowe wyzwania. Mogłabym przecież siedzieć spokojnie, żyć sobie z procentów od kapitału i miałabym to, o czym zawsze marzyłam. A tymczasem rozważałam, jak teraz wprowadzić w czyn kolejny pomysł.

Im bardziej się zastanawiałam, tym bardziej byłam przerażona. Niby prosta rzecz – pomagać. Kiedy istniało to tylko w mojej wyobraźni, było piękne, zorganizowane z rozmachem, skutecznie działające. A teraz naprawdę nie wiedziałam, co robić.

– O czym tak rozmyślasz? – Darek niespodziewanie wszedł do pokoju. Aż podskoczyłam, bo nadal nie mogłam przywyknąć do obecności drugiej osoby w domu.

– Co z tym teraz zrobić – wskazałam na rzeczy leżące na biurku.

– Możesz nic nie robić – wzruszył ramionami.

– To nie wchodzi w grę.

– No to zastanów się, co jest najważniejsze. Normalnie, jak w każdym projekcie – przysiadł na brzegu biurka z kubkiem herbaty w dłoni. – I od tego zacznij. Weź kartkę i napisz, czego potrzebujesz, żeby to zrobić. A potem zdobądź to, zorganizuj i już. Tylko nie zapomnij przemyśleć, po co to wszystko, bo ja naprawdę nie wiem. Poza oczywiście utopieniem mnóstwa pieniędzy.

I poszedł sobie. Pewnie oglądać jakiś film. Nie był przekonany do fundacji, tolerował ją, traktował chyba jako moją fanaberię. Nie krytykował za bardzo, bo ustaliliśmy, że nie będziemy się wtrącać do swoich interesów. Jednak dawał do zrozumienia, że nie uważa moich planów za realne.

Mimo to oceniłam jego pomysł jako całkiem użyteczny. Spróbuję coś zaplanować, bo samo nic się nie

zrobi. Po chwili miałam przed sobą kilka najważniejszych rzeczy wypisanych zielonym flamastrem.

PUNKT POMOCY DLA KOBIET

Lokal.

Zespół (a przynajmniej jedna osoba).

Wiedza (o innych, którzy pomagają).

Dotarcie do potrzebujących (plan obiegu informacji).

Pieniądze (nie muszą być od razu).

Gryząc końcówkę flamastra, rozważałam każdy punkt. Ostatni na razie odłożyłam, ale uwaga Darka o utopieniu pieniędzy trochę mnie otrzeźwiła. Zdecydowałam więc, że wyznaczę kwotę, która będzie do dyspozycji fundacji. Natomiast w przyszłości rozejrzę się za sponsorami albo poszukam innych sposobów na zdobycie pieniędzy.

Obiegiem informacji zamierzałam zająć się sama. W końcu to była moja działka. Co prawda, nie robiłam nigdy kampanii dla organizacji pozarządowej, ale miałam zamiar poszperać w internecie i zorientować się w temacie.

Lokal nie powinien stanowić problemu. Najpierw jednak musiałam zrealizować punkt drugi i trzeci. Od Agaty miałam listę kontaktów. Konieczna była także rozmowa z Mileną, która na pewno dużo wiedziała na ten temat. Zawsze też pozostawała nieoceniona sieć, gdzie z pewnością było mnóstwo potrzebnych mi informacji.

Najtrudniejsze wydawało mi się znalezienie odpowiednich ludzi. Nie miałam właściwie żadnego doświadczenia w działaniach pomocowych. Mogłam opierać się wyłącznie na własnych wyobrażeniach, nie mając pojęcia, czy w ogóle przystają do rzeczywistości. Ale od czego miałam wypisane na żółtej karteczce zasady? Darek już kilka razy z nich żartował. Chciał nawet wyrzucić kartkę, bo twierdził, że przeszkadza mu w goleniu, ale nie pozwoliłam mu na to.

– Przecież wszystko jest zgodnie z zasadami – śmiał się z moich protestów. – Szczerze mówię, że mi przeszkadza, pytam o pozwolenie na zdjęcie i proszę o pomoc przy goleniu.

Dostał rękamiem po głowie, udawał obrażonego, ale podśmiewywał się pod nosem.

A mnie te słowa już tyle razy pomogły, że nie mogłam pozwolić na wyrzucenie ich. Liczyłam, że pomogą mi także w sprawach fundacji. Była też Agata, Milena i Mariusz. Z nim spotykałam się rzadziej, co kilka tygodni, ale zawsze nasze rozmowy były dla mnie dużym wsparciem i pomagały w trudniejszych momentach. Ostatnio pracowaliśmy nad stresem i naprawdę wiele wyniosłam z tej wizyty.

Niby niewiele zrobiłam, ale byłam zadowolona, bo z doświadczenia wiedziałam, że plan to podstawa. Przynajmniej dla mnie. Dorysowałam na kartce uśmiechniętą buźkę i odłożyłam zapiski na bok.

– No, Natasza, teraz naprawdę zaczniemy działać. Masz szansę stworzyć coś od podstaw, po swojemu. Dasz radę!

Zesłam na dół w doskonałym nastroju. Wszystko zaczęło się układać, zrobiłam porządek z własnym życiem, a teraz pomogę w tym innym kobietom. I nikt mi nie powie, że się nie da. Trzeba tylko chcieć, marzyć i dążyć do celu. Krok za krokiem, krok – za – krokiem – skandowałam w myślach, wystukując rytm na schodach.

Tanecznym krokiem weszłam do kuchni i podśpiewując, zajęłam się przygotowaniami do kolacji. Nie

planowałam nic nadzwyczajnego, ot, wędlina, ser, trochę ogórków i pomidorów, pieczywo. Może ugotuję jajka na twardo, Darek lubi z majonezem – myślałam, krojąc chleb. – Jak człowiek w dobrym humorze, to nawet w zwykły posiłek może włożyć trochę serca.

– Kolacja będzie za pół godziny – wesolutko zakomunikowałam wchodzącemu do kuchni Darkowi.

– Dla mnie nie rób.

Spojrzałam zaskoczona i zobaczyłam, że stoi w drzwiach ubrany w garnitur.

– Wychodzisz?

– Tak. Mam kolację z klientem. Pewnie późno wrócę, więc nie musisz czekać. Ale widzę, że humor ci dopisuje, więc już tak bardzo się nie martwię, że cię zostawiam.

Dopisywał – poprawiłam w myślach. Liczyłam na wspólny wieczór, chciałam pogadać, pożartować. Nie wspominał wcześniej, że wychodzi. Wypomniałam mu to.

– E, tam, na pewno mówiłem. Może nie słuchałaś uważnie, byłaś taka zaaferowana tą swoją fundacją...

Nie wspominał, byłam pewna, ale nie chciałam się kłócić. Zresztą, czy miałam prawo? Sama nie wiedziałam, jaki jest status naszego związku. Nawet nie byłam pewna, czy to związek, czy układ. Niby mieliśmy budować go od nowa, lepiej, ale czy to polega na informowaniu w ostatniej chwili o wyjściu w piątkowy wieczór?

– Skoro musisz, to idź.

– Nie dąsaj się. Dasz sobie radę, prawda?

– Jakoś do tej pory sobie dawałam, to i dzisiaj dam.

– Cieszę się – podszedł i pocałował mnie w policzek. Pachniał swoją ulubioną wodą po goleniu. – To ważny klient, więc naprawdę nie mogę odmówić.

Pokiwałam głową na znak zrozumienia i wróciłam do krojenia cebuli. Zawsze mogłam powiedzieć, że to ona wywołała zdradziecką wilgoć w oczach.

Darek wyszedł, a ja zostałam sama przy stole zastawionym talerzykami z jedzeniem. Kolacja z klientem. Niby normalna rzecz, sama kiedyś bywałam na podobnych. Takie niby nawiązywanie prywatnych relacji, ale obie strony mają nadzieję, że przy dobrym jedzeniu i alkoholu uda się załatwić korzystniejsze warunki. Wygrywa ten, kto ma mocniejszą głowę.

Dobrze, że ma szansę na kolejną dużą umowę – tłumaczyłam sobie. – Agencja zyska stabilność, będzie miała większą renomę na rynku. Jednak w głowie zapalił się ostrzegawczy płomyk i za nic nie mogłam go ugasić.

Skąd mogłam wiedzieć, że to naprawdę klient? Nie podał nazwiska ani nazwy firmy. Równie dobrze mógł pójść na spotkanie z kolejną młodą przyjaciółką, a może nawet kochanką. Skoro kiedyś to zrobił, dlaczego teraz by nie mógł? Na dobrą sprawę był wolny. Nawet obrączki nie musiał chować do kieszeni.

Ale przecież gdyby chciał spotykać się z kimś innym, nie wprowadzałby się do mnie. Jeżeli wybrał nasz związek, to chyba znaczyło, że mu zależy. Nie musiał, nie zmuszałam go, właściwie to była jego inicjatywa. Płomyk nieco zmalął.

A może tak mu wygodniej? Miał darmową prачkę, sprzątaczkę i kucharkę, dom z ogrodem zamiast niewielkiego mieszkania na osiedlu ogrodzonym siatką. Nie musiał się tłumaczyć, robił, co chciał. Żyć, nie umierać! Ja siedziałam i czekałam, żeby z radością powitać go w progu, a on nie musiał przejmować się spóźnieniem czy ewentualnymi wyrzutami. Płomyk zapłonął z nową siłą.

Nie, nie mogłam tak myśleć. Musiałam mieć do niego zaufanie, bo inaczej cały wysiłek nie miał sensu.

Nie będziemy mogli żyć razem, jeżeli między nas wejdzie nieufność i podejrzliwość. Co było – minęło. Dlaczego zakładałam, że nie wyciągnął z tego wniosków? Sam twierdził, że popełnił błąd. Nie chciałam się dłużej nad tym zastanawiać, żeby całkiem nie zepsuć sobie humoru.

Obijające się o ścianki garnka jajka wyrwały mnie z zamyślenia. Wylałam resztkę wody, która nie zdążyła się wygotować i odłożyłam jajka do miseczki. Będą na śniadanie, razem z resztą jedzenia, które zabezpieczone folią przed wyschnięciem schowałam do lodówki. Moje przemyślenia chwilowo także postanowiłam zamrozić.

*

Darek wrócił chyba bardzo późno i, jak się domyślam, nie całkiem trzeźwy, bo rano zastałam go śpiącego na kanapie. Popatrzyłam z rozczuleniem na potargane włosy, kiedyś blond, teraz mocno siwiejące. Niech śpi – zdecydowałam i cicho przeszłam do kuchni.

Dzień zaczęłam od pracy w ogródku, bo zaplanowałam sobie zasadzenie cebulek nowych tulipanów, żonkili i krokusów. Wykopywałam dołki w różnych miejscach trawnika, bo wymarzyłam sobie wiosenne kwiaty rozsiane nieregularnie na tle soczystej zieleni.

– Polujesz na kreta?! – krzyknął do mnie Darek. Stał na tarasie w samych spodniach od pizamy i przeciągał się, ziewając.

– Załóż coś na siebie, bo się rozchorujesz. Nie jesteś już młodzieniaszkiem! – odkrzyknęłam, wstając. Złośliwość za złośliwość – roześmiałam się.

Spojrzałam krytycznie na swoje dzieło. Rzeczywiście, trawnik wyglądał tak, jakby szalenięć próbował upolować tu małe podziemne zwierzątko, kopiąc gdzie popadnie. Za to wiosną będzie pięknie – pomyślałam.

Darek wszedł do domu i wrócił akurat, kiedy kończyłam wtykanie cebulek w przygotowane dołki. Był w dresie i niósł tacę z dzbankiem i filiżankami.

– Zostaw to grzebanie, moja kuro domowo-ogrodowa, i chodź na kawę.

Usiedliśmy i przez chwilę w milczeniu popijaliśmy gorący napój.

– Będę miał tę umowę – pochwalił się wreszcie. – Producent soków, jedna z największych krajowych firm. Kampania nowego produktu skierowanego do młodzieży.

– Gratuluję. I bardzo się cieszę.

Było mi wstyd, że go podejrzewałam. Naprawdę pojechał na służbowe spotkanie. Ale z drugiej strony mam prawo być nieufna – usprawiedliwiałam w myślach samą siebie. – W końcu już raz mnie zawiódł.

Popołudnie spędziłam na wyszukiwaniu w sieci organizacji i punktów pomocowych dla kobiet. Było tego całkiem sporo, więc szybko zrozumiałam, że moja fundacja musi się czymś wyróżniać, żeby ktoś w ogóle zwrócił na nią uwagę. Postanowiłam iść za podpowiedzią Agnieszki i postawić na miejsce spotkań, w którym kobiety dostaną coś w rodzaju pierwszej pomocy w problemach. Jak u przyjaciółki. Moja koncepcja zaczynała nabierać realnych kształtów.

Późnym wieczorem miałam gotową strategię działania. Postanowiłam nie czekać do poniedziałku, nie miałam tyle cierpliwości. Napisałam do dziewczyn i zwołałam wirtualne spotkanie na niedzielne popołudnie. Ciekawa byłam, co powiedzą na moje pomysły.

Darka wygoniłam z gabinetu i zakazałam mu wchodzenia.

– Tu będzie bardzo ważne kobiece spotkanie. Mężczyznom wstęp wzbroniony.

Wcale się tym nie przejął, bo miał do przejrzenia jakieś dokumenty i chociaż starał się to ukryć, było mu na rękę, że może robić, co chce bez wyrzutów sumienia.

*

W niedzielny poranek snułam się w dresie i domowej koszulce po domu, zastanawiając się, jak doczekam popołudnia. Do głowy przychodziły mi kolejne pomysły, już nawet nie starałam się ich notować, bo musiałabym nieustannie tkwić przy biurku. Zaczynałam różne rzeczy, ale wszystko leciało mi z rąk. Zawsze tak miałam, gdy w głowie układałam kolejny projekt. Mogłam myśleć tylko o nim, pozostałe sprawy musiały zejść na drugi plan. Zapomniałam, że tak reaguję i nieco mnie to irytowało, ale wiedziałam, że kiedy zacznę konkretne działania, sprawy znowu przybiorą prawidłowy bieg. Na razie, jak artysta, byłam w fazie kreacji.

Tak sobie to tłumaczyłam, zbierając z podłogi resztki potłuczonego kubka.

– Chwileczkę! – wrzasnęłam mało elegancko w stronę drzwi, zastanawiając się, kogo tam diabli niosą w niedzielny poranek. Dzwonek zabrzączał po raz drugi, dłużej i bardziej niecierpliwie. Przycisnęłam guzik domofonu, a potem przekręciłam zamek, szykując w myślach reprimendę dla nieproszonego gościa.

Zapomniałam o tym natychmiast po otwarciu drzwi, bo zobaczyłam na progu Jolę, a za nią Agatę pokazującą mi na migi, że nie miała wpływu na tę nieoczekiwaną wizytę.

– Takie pilne to zebranie zwołałaś – trajkotała Jola – że zdecydowałam się stawić osobiście. Nie ma to jak pogaduchy twarzą w twarz, a w końcu jest niedziela. Wyjechałyśmy skoro świt i przyskamy wieczorem, więc nie kłopotz się, że zwalimy ci się na głowę.

– Wchodźcie, wchodźcie, jestem co prawda niesamowicie zaskoczona, ale równie bardzo szczęśliwa, że was widzę. Możecie zostać, jak długo chcecie.

Usadziłam dziewczyny w salonie i akurat wnosłam herbatę i kanapki, kiedy na schodach pojawił się zaspany Darek.

– Cześć! – rzucił beztrasko. – Jest jakaś kawa? Skoro już budzicie mnie o świcie, to chociaż zadbajcie o mój poziom energii – i szurając kapciami, przeszedł do kuchni.

Agata rzuciła pytające spojrzenie, ale Jolka nie bawiła się w ceregiele.

– Co on tutaj robi?

– Mieszka – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Zdecydowaliśmy się spróbować jeszcze raz.

– Zwariowałaś? Po tym, co ci zrobił?

– Ja nie byłam lepsza. A jeśli nawet, to niewiele. Zresztą...

– Jolu, nie wtrącaj się, proszę. To ich sprawa. – Agata wkroczyła w odpowiednim momencie. – Ona się po prostu o ciebie martwi – starała się tłumaczyć.

– Naprawdę nie ma potrzeby. Wiem, co robię.

Jola złożyła usta w śmieszny ryjek, ale nie powiedziała już ani słowa.

Przegadałyśmy całe przedpołudnie. Pokazałam dziewczynom ogród, pochwaliłam się sypialnią. Zjadłyśmy naprędce przygotowany obiad i usiadłyśmy w gabinecie w oczekiwaniu, aż Agnieszka da znać, że już może się z nami połączyć.

– Oj, baby, ależ wam zazdrozczę! Swoją drogą, to wstręciuchy jesteście, że mnie nie uprzedzacie!

– Mnie też nie uprzedziły, a ty i tak nie przyjechałaś z tych swoich Włoch.

– Ona też nam nie powiedziała, że znowu jest z Darkiem – wyrwała się Jola.

– O, super! Wrócił skruszony? To masz okazję się zemścić. Nie żałuj sobie! – Aga, jak zawsze, interpretowała świat swoimi kategoriami. Nie podtrzymałam tematu.

– Chciałam z wami pogadać raczej o fundacji niż o moim życiu prywatnym. Posłuchajcie, jaką mam wizję. „Twoja Przyjaciółka” będzie miejscem, w którym kobiety będą mogły przede wszystkim uzyskać pierwsze wsparcie w trudnych sytuacjach, ale nie tylko. Widzę to jako centrum, do którego będzie można przyjść, żeby porozmawiać, poradzić się, znaleźć odpowiedzi na pytania i wątpliwości, a nawet spróbować zmienić swoje życie.

– Brzmi nieźle. A bardziej konkretnie? – Agata swoim zwyczajem starała się urealnić moje pomysły.

– Proszę bardzo – sięgnęłam po notatki. – Znajdę odpowiedni lokal, który stanie się naszą bazą. W jednej części stworzymy większą przestrzeń ze stolikami i krzeselkami. W rogu pomieszczenia planuję kącik zabaw dla dzieci, żeby matki mogły przyjść, nie martwiąc się o znalezienie opieki dla maluchów. Pod ścianami regały, na których będzie miejsce na kobiece rękodzieło przeznaczone do sprzedaży. Będą też książki polskich autorek. Może także jakieś kosmetyki produkowane przez małe rodzime firmy zarządzane przez kobiety, może wieszak z ubraniami szytymi przez panie. Na ścianach obrazy i fotografie artystek amaterek. Do oglądania i sprzedaży. Kawa i herbata gratis i do woli.

Przerzuciłam kilka kartek i napiłam się soku, bo zaschło mi w gardle z przejęcia.

– Kolejne pomieszczenie powinno być czymś w rodzaju małej sali konferencyjno-warsztatowej. W niej zorganizuję szkolenia dla kobiet właściwie z każdej możliwej dziedziny. Chętne panie będą mogły prowadzić zajęcia tematyczne, ucząc inne rękodzieła czy czegokolwiek, co potrafią i czym się interesują. Myślałam także o grupach wsparcia dla kobiet z różnymi problemami; może łączyć je wspólny problem, choroba czy plany. – Kontynuowałam i z każdym kolejnym słowem upewniałam się, że to, co wymyśliłam wygląda naprawdę dobrze. – Będziemy także potrzebować jednego pomieszczenia na coś w rodzaju biura i jednego na gabinet do spotkań indywidualnych, dla tych, które będą potrzebować wsparcia psychologicznego, rady w szczególnie trudnych i wymagających intymności sprawach. Do tego jeszcze przydałby się aneks kuchenny i oczywiście zaplecze sanitarne. Jak wam się podoba?

Chwila milczenia, w czasie której dziewczyny zastanawiały się nad moją koncepcją, wydawała się trwać wieki. Oczekiwałam konstruktywnej krytyki, ale miałam nadzieję, że ogólny zarys pomysłu zyska ich aprobatę. Chyba przed żadnym klientem nie denerwowałam się tak jak dziś, siedząc przed najbliższymi przyjaciółkami. Naprawdę zależało mi na ich opinii.

– Powiecie coś, czy czekacie aż dostanę zawału? – nie wytrzymałam napięcia.

– Skąd ci to wszystko przyszło do głowy? – Głos Agnieszki docierał do nas nieco przerywany. – To jest świetne! Jak cię słuchałam, to pomyślałam, że może jeszcze przydałyby się jakieś porady dla kobiet. Wiesz, takie kosmetyczne i modowe. Z tym w Polsce jest nie najlepiej, a nic tak kobiecie nie poprawia nastroju, jak zmiana wyglądu na lepsze.

– Świetna myśl! – Pomysł bardzo przypadł mi do gustu. – Zapisuję od razu, żeby nie zapomnieć. Pomyślcie jeszcze przez chwilę, a ja skoczę po kawę i wyślę Darka po coś słodkiego.

– Bardzo dobrze, niech się stara. – Agnieszkę ucieszyło to, co usłyszała.

Darek niechętnie oderwał się od papierów i komputera, żeby pojechać do supermarketu. Marudził coś pod nosem o złotych czarownic, ale nawet nie chciało mi się z nim dyskutować.

Kiedy wróciłam, Agata z Jolą rzucały sobie nieco wrogie spojrzenia.

– Pokłóciłyście się czy co? Tak wilkiem na siebie patrzycie...

– Od razu ci powiem, że jak ruszysz z tym lokalem, to podeślę ci pakę moich prac do sprzedania i cały zysk możesz przeznaczyć na fundację. Tak zdecydowałam, więc nawet nie próbuj protestować.

– Jesteś cudowna! – W podziękowaniu wyciągnęłam ją i uścisnęłam.

– Jola nie chciała, żebym o to pytała, ale jednak to zrobię. – Agata popatrzyła mi prosto w oczy. – Wiesz, że dobrze ci życzę i dlatego nie mogę udawać, że czegoś nie widzę. Wszystko, o czym mówisz, wygląda pięknie. Oczywiście ja też pomogę, znajdę kogoś, kto może poprowadzić warsztaty o równości szans, ewentualnie udzielać porad z tego zakresu, ale powiedz mi, czy myślałaś o tym wszystkim w wymiarze, że tak powiem, finansowym? Z tego, co słyszę, będziesz potrzebowała ze sto metrów kwadratowych. Wiesz, jakie są ceny w stolicy? Do tego opłaty za media, ta kawa i herbata, ludzie prowadzący grupy, udzielający porad. Liczyłaś koszty?

Przewidziałam to pytanie. Zresztą finanse wynikły automatycznie, w związku z moim punktem piątym. Miałam przygotowaną odpowiedź, chociaż nie wiedziałam, czy zadowolili Agatę.

– Zrobiłam coś w rodzaju ramowego biznesplanu. Poszukam tańszego lokalu, może nawet do remontu. Nie musi przecież znajdować się w centrum. I nie wszystko będzie za darmo. Warsztaty, szkolenia i grupy wsparcia zorganizujemy odpłatnie. Mam nadzieję, że prowadzące na początku zadowolą się mniejszym wynagrodzeniem. Liczę też na wolontariuszy, może studentów. Rozważam stażystów, praktykantów, szukam jeszcze innych rozwiązań. Tę kwestię jeszcze dopracuję. Do tego będziemy pobierać procent od sprzedaży rękodzieła i prac plastycznych – zerknęłam do notatek. – Będę też szukała sponsorów, może odnowię stare kontakty biznesowe. Czytałam też o grantach, konkursach na projekty, ale ten temat dopiero liźnęłam i nie mogę nic konkretnego powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że to na razie nic pewnego, ale uważam, że najpierw trzeba to wszystko uruchomić. Na początek mam pewną kwotę, więc dam radę.

Agata słuchała uważnie, co jakiś czas kiwając głową. Kiedy skończyłam, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Spodziewałam się, że może być gorzej, ale i tak niezła z ciebie marzycielka. Poklepała mnie po dłoni i dodała:

– Masz wspaniałą wizję, ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile czeka cię ciężkiej pracy. Może to i lepiej, zresztą potrzebni są tacy ludzie jak ty, którzy wierzą w marzenia. Trzymam kciuki za powodzenie tego przedsięwzięcia. I oczywiście będę cię wspierała nie tylko duchowo. Na pewno dasz radę, Nataszo!

– Ja też, ja też! – krzyczała z Toskanii Agnieszka. – Moja córka ma znajomości w świecie mody, coś pokombinujemy, kiedy tylko wróci z Mediolanu.

Dziewczyny dały mi dużo wiary w powodzenie całej akcji. Wieczorem, kiedy wyjeżdżały, Jola jeszcze szepnęła mi do ucha przy pożegnaniu:

– Mam jeszcze tych swoich polityków z dawnych lat, ale nie chciałam mówić przy Agacie, bo ona się strasznie denerwuje, jak o tym wspomina.

Były naprawdę kochane.

*

Kiedy skończyłam machać na pożegnanie i zamknęłam drzwi, poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. To

był pracowity dzień. Bolały mnie mięśnie, jakbym przekopała cały ogródek. Najchętniej walnęłabym się na łóżko w ubraniu i poszła spać. Po cichu liczyłam na to, że Darek pomyślał o kolacji.

Nie pomyślał. Nawet nie pozmywał po obiedzie. Zezłościłam się. Przecież wiedział, że omawiam ważne dla mnie rzeczy, a dawał mi do zrozumienia, że wizyta dziewczyn to tylko towarzyskie spotkanie i powinnam sama posprzątać po swoich gościach.

Nie pukając, weszłam do sypialni. Leżał na łóżku i kiedy stanęłam w drzwiach, chyba zakończył rozmowę, bo dziwnie nerwowo próbował schować komórkę pod leżącą na narzucie gazetą.

– Zamierzasz jeść kolację? – zapytałam złośliwie.

– Już jadłem. Odgrzałem sobie to, co zostało z obiadu. Wiesz, że przepadam za odsmażanymi ziemniakami. Przypominają mi studenckie czasy.

Wcale mnie nie wzruszył, wcale, ale to wcale. A nawet jeszcze bardziej zirytował.

– W studenckich czasach zdarzało ci się jeszcze pamiętać o kimś poza sobą samym.

Usłyszałam bzyczenie spod gazety, ale to mi nie przeszkodziło.

– Poza tym mógłbyś wziąć pod uwagę, że ty cały dzień odpoczywasz, a ja pracuję.

Kolejne bzyczenie. I jeszcze jedno.

– SMS-y przyszły. Nie przeczytasz?

– Pewnie znowu reklamy i konkursy. – Wstał i schował telefon do kieszeni. – Czy ty, Nata, nie możesz powiedzieć normalnie, że chcesz, żebym pozmywał i zrobił kolację? Zawsze mnie wkurzała twoja skłonność do wyolbrzymiania drobiazgów. – Przeciągnął się i podrapał po brzuchu. – Zaraz to wszystko zrobię, czekałem tylko aż twoje psiapsiółki pojedą, bo nie chcę, żeby mnie uważały za całkowitego pantoflarza, co to jeździ po ciasteczka i zmywa naczynia.

Rzeczywiście, też pomysł! Pantoflarz! Jaki to wrażliwy na swoim punkcie. Czasy się zmieniły, mój panie, i zmywający mężczyzna to norma, a nie jakaś łaska czy objaw zniewieścienia. Chciałam mu to powiedzieć i wyszłam za nim z sypialni, ale zobaczyłam, że stoi w połowie schodów wpatrzony w ekran telefonu. Jednak czytał te SMS-y. Wycofałam się cicho.

Jedząc kolację, zerkałam na Darka zmywającego naczynia. Od kogo były te wiadomości? Czy od początku wiedział, kto do niego pisze? A może... może to jakaś kobieta? Płomyk w głowie zapalił się po raz kolejny. I nie znajdowałam argumentów, które pomogłyby mi go ugasić.

*

Siedziałam na nieco sfatygowanym fotelu i bębniłam palcami o drewniany podłokietnik. Mariusz musiał odebrać jakiś pilny telefon, więc czekałam aż skończy rozmowę. Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu o swoich wątpliwościach i podejrzeniach. Tak naprawdę wiedziałam, że powinnam, ale...

Podzieliłam się nimi najpierw z dziewczynami. Jolka, czego mogłam się spodziewać, próbowała je zbagatelizować, Agata milczała, za to Agnieszka nie owijała w bawełnę.

– Wywal go, póki czas! Czy ty nie widzisz, co się dzieje, dziewczyno? Będziesz udawała, że nic się nie dzieje? Że nie wiesz, co oznaczają częste wyjścia, praca po godzinach i tajemnicze wieczorne SMS-y? Błagam cię! Poprzednio przynajmniej lepiej się ukrywał, a teraz to już nie ma żadnych oporów. Niedługo ci się rogi w drzwiach nie zmieszczą!

Tak, nie chciałam przyjąć do wiadomości tego, co mówiła. Wolałam wierzyć, że to niedobre

doświadczenia przez nią przemawiają. I w to, że ja także jestem przewrażliwiona. Ale Mariusz to co innego. Bałam się jego opinii, bo wiedziałam, że ona będzie obiektywna i nie będę mogła jej zlekceważyć. Może lepiej nie mówić?

– I jak tam? – Terapeuta wszedł do pokoju i zajął miejsce na drugim fotelu. – Jak sobie radzisz?

– Myślę, że całkiem nieźle. Wiesz, zawsze może być lepiej, ale nie narzekam.

Popatrzył na mnie uważnie i czułam, że mnie przejrzał. Nic nie mówił. Czekał po prostu na moją decyzję.

– No dobrze, wygrałeś – uśmiechnęłam się z przymusem. – Jest kilka rzeczy, które mnie niepokoją.

– To jeszcze nic strasznego. – Marcin patrzył spokojnie na moje nerwowo wybijające rytm palce. – Mnie niepokoiłoby, gdybyś powiedziała, że nie ma takich rzeczy.

– Tylko że one niepokoją mnie bardzo. Bardziej niż powinny i bardziej niż tego chciałabym. Na dodatek boję się, że gdyby okazało się, że jest tak jak myślę, to...

– Poczekaj – zatrzymał mój słowotok. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Możesz bardziej konkretnie? Co cię martwi, czego się obawiasz i co dokładnie miałyby się okazać prawdą.

No tak, jedna z podstawowych zasad – konkretyzujemy. Żadnych uogólnień, same fakty. Znowu zapomniałam. Okej, zatem niech będzie! Nabrałam powietrza i zaczęłam jeszcze raz:

– Chodzi o Darka. Niby wszystko jest w porządku, nie kłócimy się, a nawet jeśli, to staramy się o tym rozmawiać i tak dalej. Wiesz, takie rozważne i odpowiedzialne podejście do związku. Jak dorośli ludzie. Tylko że ja ciągle doszukuję się w jego zachowaniu czegoś, no, jakichś dowodów na swoje podejrzenia.

– A co podejrzewasz? – zapytał, chociaż obydwoje wiedzieliśmy, że zna odpowiedź. Jednak musiało to zostać wypowiedziane, zabrzmieć, żeby nabrało realności.

– Podejrzewam, że kogoś ma.

– Że cię zdradza? – uściślił Mariusz.

– Tak. I tego się panicznie boję. Zamieram na dźwięk każdego SMS-a, nie mogę sobie znaleźć miejsca, gdy zostaje dłużej w pracy. Wtedy przychodzi mi do głowy, żeby... żeby się napić. Kieliszek wina, na uspokojenie – machnęłam ręką. – Tak, nie musisz mówić, wiem. Wiem, ale i tak przychodzi mi to na myśl. Daję radę, ale najbardziej przeraża mnie to, że gdyby się okazało, że znowu mnie zawiedzie, to nie wytrzymam.

– Nie myślałaś o tym, kiedy zdecydowałaś się spróbować?

– Myślałam. I wtedy też się bałam.

– Ale podjęłaś ryzyko. A to znaczy, że czułaś się na siłach. Dlaczego więc miałabyś sobie nie poradzić? Doskonale wiesz, że to twój wybór, Nataszo.

– Czyli uważasz, że on mnie zdradza?

– Tego nie wiem. Bo skąd miałbym wiedzieć? Przypominam ci tylko, że wybory są zawsze twoją decyzją. Jakie usprawiedliwienia dla nich znajdziesz – zależy także tylko od ciebie. Po które argumenty sięgniesz. Czy po te o konsekwencjach i o tym, co chcesz osiągnąć, czy po te, które usprawiedliwią chwilę słabości.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Patrzył przez chwilę gdzieś w dal, jakby zastanawiając się, co mi powiedzieć.

– A co do twoich podejrzeń, to musisz zastanowić się, ile mają wspólnego z rzeczywistością, a na ile są wytworem wyobraźni, którym karmi się twój strach. To trudne, ale wydaje mi się, że dasz radę,

Nataszo.

Miał rację. Tylko jak to wytłumaczyć swojemu sercu, które drży, jak pozbyć się podejrzliwości, jak zapomnieć o poprzedniej zdradzie? Stara prawda o tym, że sklejona filiżanka nigdy nie będzie tak piękna jak nowa, wydawała się w tym momencie bardzo trafna. Z drugiej strony do starych pamiątek mamy zwykle sentyment i często jest on ważniejszy niż walory estetyczne. Może zbyt dużo oczekuję? Naprawdę powinnam to przemyśleć. Spokojnie, oddzielając emocje od faktów, tu Mariusz ma zupełną rację.

– Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty spróbować jeszcze raz spotkań grupowych – powiedział mój terapeuta. – Tworzę nowy skład, więc tym razem zaczynałabyś właściwie z obcymi sobie osobami. Może poszłoby lepiej?

Zaskoczył mnie tą propozycją, ale nad odpowiedzią nie musiałam się zastanawiać.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Dużo się teraz dzieje w moim życiu, sam wiesz. Nie mam ochoty na dodatkowe zmiany i emocje. – Pokiwał głową na znak, że rozumie i akceptuje mój wybór. To właśnie najbardziej lubiłam w naszych spotkaniach. Akceptacja i zrozumienie, bez zmuszania i nacisków.

– A co się stało z poprzednią grupą? – zapytałam, bo naprawdę byłam ciekawa. W końcu przez chwilę stanowiłam jej część.

– Trochę się posypała. A właściwie zreorganizowała. Wiem, że widziałaś się z Heńkiem, mówił mi o tym. On, jako jedyny, zostaje ze starego składu. Przemek zmienił grupę, bo jak wiesz, wziął do pomocy Heńka i razem pracują. Losy Lidki znasz. Luiza wyjeżdża do Londynu, do pracy, młody Kamil przeszedł do młodzieżowej grupy terapeutyczno-muzycznej, którą stworzyliśmy. Jolanta zmieniła ośrodek z powodów osobistych, a Mateusz przeszedł na terapię indywidualną, bo obowiązki zawodowe nie pozwalają mu na regularne spotkania. No i sama widzisz – miejsca są.

Tak – pomyślałam złośliwie – już ja znam te powody osobiste Jolanty. Mają kasztanowe włosy i zielone oczy.

– O czymś jeszcze chcesz dziś porozmawiać? – zapytał Mariusz, przerywając moje zamyślenie.

– Owszem, ale nie o mnie. A właściwie o mnie, tylko pośrednio – odpowiedziałam. – Chodzi o te plany związane z fundacją...

Marcin bardzo się ucieszył, kiedy przedstawiłam mu sytuację.

– Wpadnij do mnie, dam ci wykaz instytucji, które mogą pomóc w trudnych sytuacjach. Wiesz, domy dla matek z dziećmi, poradnie leczenia uzależnień, ośrodki pomocy psychologicznej i interwencji kryzysowej. Przyda ci się, przynajmniej na początek, dopóki nie wypracujesz własnych kontaktów. I pomyślę jeszcze o jednej sprawie, ale daj mi ze trzy dni na rozejrzenie się.

*

Rzeczywiście, rozejrzał się skutecznie. Kiedy przyjechałam do niego w czwartek, oprócz obiecannej listy wręczył mi jeszcze wykaz nazwisk z numerami telefonów.

– To studenci, którzy byli u nas na praktykach albo jako wolontariusze. Sprawdzeni, wstępnie przeszkoleni, a co najważniejsze – chętni do pracy. Umiejętności mają akurat do pierwszego kontaktu. Dzwoniłem do nich i wstępnie są zainteresowani. Nie wiedziałem, czy chcesz wyłącznie kobiecego personelu, więc wpisałem też chłopaków. Zresztą nie rezygnuj z nich zbyt pochopnie, mogą się przydać przy remoncie i pracach porządkowych.

Byłam mu bardzo wdzięczna za pomoc. Wypytałam jeszcze o kilka spraw organizacyjnych, bo nie miałam przecież pojęcia, jak funkcjonuje taki ośrodek. Chodziło mi głównie o kwestie związane z personelem i potencjalnymi potrzebującymi. Odpowiadał cierpliwie na moje pytania. Nawet podsunął kilka pomysłów, które wcześniej nie przyszły mi do głowy. Podpowiedział, na co zwrócić uwagę, czego się wystrzegać i jak nie dać się nabrać.

– Jesteś nastawiona idealistycznie i to dobrze, ale musisz zrozumieć, że nie każdy jest uczciwy. Ludzie kombinują i oszukują, taka jest prawda. Nie wszyscy, ale trzeba nauczyć się wyłapywać tych, którzy wcale nie szukają pomocy, nie chcą się zmieniać, a tylko mieć jakąś korzyść. Dla niektórych celem jest narobienie kłopotów małżonkowi albo zdobycie zaświadczenia o leczeniu, czasem znalezienie sojuszników w walce o wyłączne prawo do opieki nad dziećmi. Udają zaangażowanie tylko do czasu, aż dostaną to, czego chcieli.

Nie mogłam uwierzyć, ale przecież Mariusz wiedział, co mówi. Miał praktykę, od lat pracował w ośrodku. Przyjęłam tę nową wiedzę, ale nie do końca wiedziałam, jak uda mi się odróżnić jednych od drugich.

– Z czasem się nauczysz. Oni cię nauczą. To, co chcesz robić, da ci wiele radości, ale przygotuj się też na trudne momenty. Jak mawiał mój znajomy: kto ma miękkie serce, musi mieć twardą dupę – poklepał mnie po ramieniu. – Coś w tym jest.

Miałam nadzieję, że nieprędko się o tym przekonam. Na razie zajęłam się szukaniem odpowiedniego lokalu. Przeglądałam portale oferujące nieruchomości do wynajęcia, ale ceny były naprawdę bardzo wysokie. Zresztą większość tych lokali była przygotowywana pod firmy – wyremontowana, w sąsiedztwie innych przedsiębiorstw, z nowoczesną infrastrukturą. Wzdychałam i wykreślałam kolejne adresy.

– Już nie wiem, jak ja znajdę to pomieszczenie – żaliłam się Darkowi. – Fundacja nie da rady pokrywać takich kosztów.

– Gdzie ty szukasz, kobieto. – Darek popukał się w głowę. – Przecież nie chcesz tam przyjmować bogatych prezesów, tylko raczej osoby, które groszem nie śmierdzą. Już widzę, jak dręczone przez mężów-alkoholików kobiety zasłaniające podbite oczy ciemnymi okularami wchodzą przez obrotowe drzwi i cichobieżną windą wjeżdżają do wyłożonej marmurem i klimatyzowanej siedziby fundacji, żeby siedzącej tam panience w idealnym kostiumie zwierzyć się ze swojej niedoli. Nata, oprzytomniej!

Mówił to z ironią i przekąsem, ale były to bardzo ważne słowa. Miał rację. Powinnam szukać lokalizacji na nasz punkt tam, gdzie są moje podopieczne. I stworzyć miejsce, w którym one będą się czuły dobrze i swobodnie. A takich lokalizacji nie znajdę na dużych portalach.

Wsiadłam więc do samochodu i zaczęłam objeżdżać boczne uliczki, oddalone od ścisłego centrum. Notowałam adresy i numery telefonów umieszczone na bannerach z napisem „do wynajęcia”. Popołudniami prowadziłam rozmowy z właścicielami, ale nadal nie miałam odpowiedniego lokalu. Było trudniej, niż podejrzewałam.

Potrzebowałam też księgowej. Biura rachunkowe w stolicy nie należały do tanich. Dla dużej firmy stawki może nie były nie do przyjęcia, ale ja założyłam sobie liczenie się z każdym groszem, bo chciałam, żeby fundacja jak najszybciej mogła się sama finansować. Argumenty o działalności na rzecz innych, dobrym sercu i wspieraniu potrzebujących nie działały na księgowych. Byłam naprawdę załamana. Czy nie porwałam się z motyką na słońce? Nawet przy najlepszych chęciach nie mogłam stale

finansować fundacji, aż tak bogata nie byłam.

Po dwóch tygodniach przyszedł kryzys. Jak zawsze usiadłam z wieczorną herbatą i nie wiadomo skąd pojawiły się łzy. Siedziałam z filiżanką w dłoni, a słone krople kapały do niej jedna po drugiej. Nie dam rady – myślałam. – Marzenia są piękne, ale rzeczywistość skutecznie potrafi sprowadzić człowieka do parteru. Na co mi było to wszystko? Mało razy w życiu przekonałam się, że jedyną drogą jest dbanie tylko o siebie? Narobiłam zamieszania, a najgorsze, że znowu tyle osób będzie mną rozczarowanych. Trudno, pomyliłam się, przeceniłam swoje możliwości. Będę szczerą, powiem wprost dziewczynom, Marlenie, Mariuszowi, że się do tego nie nadaję. Zlikwiduję ten teatrzyk, Mateusz powie mi jak, i będę sobie siedzieć spokojnie na tarasie. Albo przy kominku.

Darek zastał mnie siedzącą z zapuchniętymi od płaczu oczami i zimną, słoną herbatą.

– Coś się stało? – zapytał, zdejmując marynarkę i rozluźniając krawat.

Coś tam bąknęłam o księgowej, bo to pierwsze przyszło mi do głowy. I dodałam o załamaniu i swojej głupocie.

Darek usiadł obok mnie na kanapie i przytulił.

– No, nie becz już, bo ubrudzisz mi koszulę. A jak się ten tusz nie dopierze, to dopiero będzie powód do płaczu. Ty wiesz, ile ona kosztowała? – Gładził mnie po głowie, a ja poczułam się trochę lepiej. Jak dobrze, że był, jak dobrze, że nie krytykował tym razem, że zrozumiał, czego mi potrzeba. Tuliłam się do Darka, a smutek powoli odchodził, ustępując miejsca zwyczajnemu zmęczeniu. W tej chwili najbardziej chciałam znaleźć się w łóżku, blisko niego, czuć dotyk czułych dłoni i znajomy, bezpieczny zapach. Zapach?

– Dziwnie pachniesz – stwierdziłam i wysunęłam się z jego objęć. – Inaczej niż zwykle.

– Kupiłem nową wodę. Podobno bardzo modna teraz. – Wstał i strzepnął gors koszuli. – Nie podoba ci się? Dziewczyny w firmie powiedziały, że niezły. Kupują dla swoich facetów.

– Dziewczyny?

– Tak, dziewczyny. Na przykład te od copywritingu. Lepiej ci? – zmienił temat. – To dobrze, bo muszę zadzwonić.

Poszedł z telefonem na górę. Słyszałam, jak rozmawia, ale nie mogłam rozróżnić słów. Zszedł po chwili, przebrany w luźne spodnie i koszulkę. Spędziliśmy miły wieczór – zjedliśmy kolację, obejrzelśmy film, później poczytaliśmy, leżąc w łóżku. Darek wypytywał o szczegóły moich poszukiwań. Normalnie uznałabym ten czas za bardzo udany, ale nie mogłam przestać myśleć o nowym zapachu i tych dziewczynach, o których wspomniał. A może to jedna dziewczyna? Bo czy to normalne, że pracownice doradzają szefowi, jaką ma wybrać wodę toaletową? Dawniej zawsze robiłam to ja, dlaczego tym razem nie zapytał mnie o zdanie? Fakt, nie musiał. Jednak płomyk nieufności tlił się coraz mocniej. Dlatego, kiedy Darek w nocy zaczął całować moją szyję i dekolt, odwróciłam się.

– Przepraszam, ale jestem zmęczona. Miałam fatalny dzień, przecież wiesz.

Nie odpowiedział. Nie nalegał. Byłam mu za to wdzięczna, ale jednocześnie przyszło mi do głowy, że może niezbyt mu zależy, skoro tak łatwo zrezygnował. Długo nie mogłam zasnąć dręczona sprzecznymi uczuciami.

Dopiero kolejny tydzień przyniósł zmianę na lepsze. Pogadałam z Marleną, która opowiedziała mi trochę o tym, jak długo czasami czegoś szuka i jakiej cierpliwości trzeba, żeby załatwić niektóre sprawy. Podniosła mnie na duchu. Zrozumiałam, że to nie problemy są porażką, ale właśnie poddanie się i rezygnacja mogłyby się nią stać.

– Tacy już musimy być, jeśli chcemy coś wywalczyć. Uparci, cierpliwi i odporni na niepowodzenia. Jak nas wyrzucają drzwiami, wchodzimy oknem. Inaczej się w tym kraju nie da. Pomyśl o tych, dla których chcesz to robić. To daje power.

Pomyślałam. I nie poddałam się. Jeździłam po mieście, dzwoniłam, próbowałam negocjować. Wreszcie pewnego dnia zobaczyłam na jednej z ulic starszą panią, której pękło ucho reklamówki, a zakupy rozsypały się na chodniku. Chciała je pozbierać, ale padająca mżawka i laska, na której się wspierała utrudniały zadanie. Zatrzymałam auto, wysiadłam i pomogłam. Zwyczajny ludzki odruch. Doniosłam nawet siatkę do pobliskiej bramy i wniosłam pod drzwi staruszki. Przyjęłam podziękowania i wróciłam do samochodu. Już miałam zapalać silnik, gdy po drugiej stronie ulicy zauważyłam pusty lokal. Gdybym jechała, z pewnością nie dostrzegłabym go, bo na witrynie nie było widocznego napisu. Brudne szyby sprawiały, że lokal wtapiał się w fasadę dawno niemalowanej kamienicy. Poczułam, że to może być to, czego szukam. Wysiadłam z samochodu po raz drugi i od razu spod drzwi zadzwoniłam pod nabazgrany na żółtkłej już karteczce numer.

Po godzinie oczekiwania w aucie zdążyłam już trochę zmarznąć, bo jesienny deszcz, choć nie ulewny, to jednak na dłuższą metę dawał się we znaki. Nie przewidziałam tego postoju, więc nie miałam nawet kurtki. Wreszcie pojawił się właściciel – niewysoki mężczyzna, z wydatnym brzuszkiem, ubrany w skórzaną kurtkę i nieco wyblakłą czapkę z daszkiem. Otworzył skrzypiącą kratę i wpuścił mnie do środka.

Zachowując kamienną twarz, oglądałam lokal, ale z każdą chwilą byłam coraz bardziej pewna, że nic lepszego nie znajdę. Z ulicy wchodziło się do dużego pomieszczenia, z którego niewielki korytarzyk prowadził do pozostałych części. Zaplecze składało się z trzech pomieszczeń, toalety i szumnie nazwanego przez właściciela „pomieszczenia socjalnego” – malutkiej klitki z zamontowanym na starej szafce zlewozmywakiem. Niewiele ponad sto metrów kwadratowych. Idealne dla moich celów.

Oczywiście nie wszystko było wspaniałe. Ze ścian odpadała farba, urządzenia sanitarne nie widziały chyba nigdy szczotki i środków czystości, na podłodze leżał powycierany gumolit, pod który na razie wolałam nie zaglądać. Jednym słowem: do gruntownego remontu.

– Sama nie wiem... – zaczęłam wybrzydzać. – Tutaj trzeba dużo zainwestować, a skąd mam wiedzieć, że jak ja zrobię remont, to pan mi nie wypowie umowy? Już raz się tak przejechałam – blefowałam.

Pociągnęłam nosem i krytycznie spojrzałam na pajęczyny na suficie.

– I zapach jest tu dziwny. Może to grzyb?

– Nie, nie, tylko zakurzone. Niech pani patrzy – wszędzie czysto, żadnych zacieków czy wilgoci. Wietrzone dawno nie było.

– Właśnie widzę, że tu od dawna nikogo nie było. A wcześniej ktoś tu miał sklep?

– Spożywczy był, ale go hipermarkety wykończyły. Ludzie w okolicy liczą się z groszem, to nie Marszałkowska.

– Muszę pomyśleć. Nie wiem, czy tu się opłaci coś robić – udawałam rozczarowaną. – Z zewnątrz wyglądało lepiej. A ile pan za to chce?

Nie chciałam wcale tak dużo, ale i tak zaprotestowałam.

– Mowy nie ma. Za drogo. Skoro tak długo nikt tego nie wziął, to jak widać, nie tylko ja tak sądzę.

– A za ile by pani wzięła?

Podaliśmy kwotę i zapisałam mu na kartce numer telefonu.

– Niech się pan zastanowi. Za tyle mogę zaryzykować. I zrobię remont, ale w umowie się zabezpieczę.

Niech się pan zastanowi i zadzwoni. Tylko proszę się za długo nie namyślać, bo mam jeszcze dwa lokale na oku.

Odjechałam z drżeniem serca i nadzieją, że się skusi. Lokal był dokładnie taki, jak sobie wymarzyłam. Mogłabym w nim robić wszystko, co planowałam. Do tej pory nie znalazłam lepszego. Z wdzięcznością pomyślałam o staruszce, która nieświadomie pomogła mi bardziej niż ja jej. Oby tylko ten drobny cwaniaczek w bejsbolówce zgodził się na moje warunki.

Zadzwonił następnego dnia.

– Może być, ale jeszcze media według liczników – powiedział.

– Zgoda.

Nie miałam jakoś ochoty widzieć się z Mateuszem. Wykorzystałam jeden z wzorów umowy, który mi przysłał, i zasięgnęłam porady na jednym z portali prawnych. Dopisałam punkt zobowiązujący wynajmującego do zwrotu kosztów remontu, gdyby wypowiedział umowę przed upływem pięciu lat. Właściciel trochę kręcił nosem, ale w końcu podpisał.

– Tylko niech pani tu jakichś „hifowców” nie sprowadza, bo panią ludzie zlinczują – doradził, widząc, że wynajmującym jest fundacja.

Podziękowałam za dobrą radę, wzięłam klucze i pożegnałam się z nadzieją, że nieprędko będę musiała znowu spotkać się z nim osobiście.

*

Darek, kiedy zobaczył zdjęcia lokalu, złapał się za głowę.

– Ty naprawdę straciłaś rozum! Przecież to zatęchła dziura na zadupiu. Ani grosza się z tego nie wyciągnie!

– Sam mówiłeś, że powinnam być w takim miejscu, gdzie moje podopieczne nie będą się wstydziły przychodzić.

– Tak, ale to była ironia. Nie wyczułaś? Miałem nadzieję, że to ci pozwoli wrócić do normalności, a tymczasem widzę, że nie zanosi się na poprawę. Natasza, popatrz wreszcie na to rozsądnie. Co ty chcesz robić? Ty wiesz w ogóle?

– Wiem. Chcę pomagać kobietom.

– Nie no, to jakaś paranoja! – Krążył nerwowo po pokoju, raz po raz pocierając dłonią czoło. – Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę! Nie szkoda ci czasu i pieniędzy na takie utopijne przedsięwzięcia? Pomyśl, że gdybyś je rozsądnie zainwestowała, mogłabyś czerpać niezłe dochody, nie robiąc praktycznie nic.

Usiadł obok mnie, położył mi ręce na ramionach i popatrzył głęboko w oczy.

– Posłuchaj uważnie. Naprawdę uważnie. Zostaw to w cholerę, tę umowę da się jeszcze jakoś anulować. Jesteś świetna we wszystkim, do czego się zabierzesz, ale szkoda twojego talentu dla tych

nieudaczników. Przecież my też zaczęliśmy od zera i wiesz najlepiej, że trzeba ciężko pracować, żeby coś osiągnąć. Nic nie spada z nieba. Czy nam ktoś coś dawał? Nie, nie prosiliśmy o pomoc, nie chcieliśmy nic za darmo. Bo byliśmy ambitni i pracowici. A ci, którym chcesz pomagać tacy nie są. Czekają biernie na gwiazdkę z nieba, na cud, który odmieni ich życie. Szkoda wysiłków.

Słuchałam uważnie, tak jak prosił. Bardzo uważnie. Bez słowa.

– I ciebie szkoda. Po co masz się z nimi użerać. Proponowałem ci już współpracę i ponawiam prośbę. Wykorzystaj swój talent, zarabiaj na nim. A jeśli nie chcesz ze mną, to sama zacznij jakiś biznes. Pomogę ci, przecież znowu jesteśmy razem. Przyznaj, że taki duet jak my może wszystko. Pomyśl logicznie, proszę. Zawsze byłaś rozsądna. No, Nata – potrząsnął mną. – Podejmij dobrą decyzję.

– Już podjęłam – powiedziałam spokojnie.

– Co za szczęście! – Darek wzniosł oczy ku niebu. – Wierzyłem w ciebie. No, to jesteśmy w domu! Bardzo się cieszę! Już nie mogłem patrzeć, jak wyrzucasz pieniądze w błoto. A kiedy pomyślałem, że ja na nie musiałem tak harować, to naprawdę cholera mnie brała.

Wstał, poszedł do kuchni, przyniósł dzbanek soku i dwie szklanki.

– Wypijmy toast za prawdziwe zmiany. Za twoją mądrość i talent. Natasza, kochanie, życzę ci, żebyś zrealizowała to, co sobie na przyszłość zaplanujesz! A co powiesz na jakąś miłą podróż? Może jakieś cieplejsze miejsce na tydzień lub dwa?

– Nie mam czasu, muszę się brać ostro do pracy.

– To już coś masz na oku? Wiesz, co będziesz robić? – Nalał sok i podał mi szklankę.

– Tak, wiem doskonale. Będę rozwijać fundację „Twoja Przyjaciółka”.

– Kurwa mać! – Czerwony płyn rozlewał się, tworząc wraz z odłamkami szkła malowniczą kompozycję na parkiecie. – Co ty taka uparta jesteś! Nie pojmuję tego, naprawdę!

– I obawiam się, że nigdy nie pojmiesz. – Odstawiłam swoją szklankę i stanęłam naprzeciw niego. – Powinnaś wiedzieć od razu, ale miałam nadzieję, że naprawdę coś zrozumiałeś. Ale nie. Nie zmieniłeś się nic a nic. Interesuje cię tylko zarabianie pieniędzy. Nie myśl, że mam ci to za złe. Nie, tak może było kiedyś. Masz prawo żyć po swojemu, robić to, co cię kręci. Za to nie masz prawa narzucać tego mnie.

– Czy ja coś narzucam? Przemawiam ci tylko do rozsądku! Sama przyznaj, że zawsze starałem się być dobrym doradcą.

– Najlepiej dla siebie, a nie dla mnie.

– A to ciekawe! A pomyślałaś kiedyś, gdzie byłabyś, gdyby nie ja?! Pewnie w jakiejś poradni robiłabyś dzieciom testy i ledwo wiązałabyś koniec z końcem. Tylko mnie zawdzięczasz, że masz teraz co wydawać na głupoty! – Drżały mu mięśnie policzków, dłonie miał zaciśnięte w pięści. Jeszcze nigdy, nawet za czasów naszego małżeństwa, nie widziałam go tak zdenerwowanego.

Zauważył, że mu się przyglądałam, więc rzuciwszy mi wściekłe spojrzenie, wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Dopiero ten trzask uwolnił moje emocje. Rozpłakałam się z żalu i zdenerwowania. Chlipiąc, przyniosłam ścierkę i zajęłam się sprzątaniami rozbitej szklanki. Jakby wyczyszczenie podłogi pomogło wyczyścić też smutek, a razem z odłamkami mogły powędrować na śmietnik wszystkie żale.

*

Październik okazał się łaskawszy od września. Częściej pojawiała się słońce i chociaż nie tak już ciepłe

jak latem, to dawało radość i energię. Potrzebowałam tego, zwłaszcza że ruszył remont lokalu.

Wolontariusze, których polecił Mariusz, okazali się wspaniałymi młodymi ludźmi. Nie sądziłam, że jeszcze można takich spotkać. Najpierw zjawiała się Iza, która z miejsca wykazała się zdolnościami przywódczymi. Szybko oceniła stan pomieszczeń i spisała zakres prac do wykonania.

– Mamy na to kasę czy trzeba poszukać dobrych ludzi, co wspomogą?

– Trochę mamy, ale jeżeli znajdziesz wsparcie, byłoby cudownie.

– Okej, to działamy.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Następnego dnia przyprowadziła Kamilę i Renatę – uczennice liceum plastycznego, papużki nierozłączki, które paplając jedna przez drugą, zaczęły wypytywać o moją wizję wnętrza. Po nich dołączyli Jacek i Michał nazywany „Małym”, pewnie ze względu na dwa metry wzrostu i mocno rozbudowaną muskulaturę. Zaskoczyła mnie jego chęć pomocy, bo gdybym zobaczyła go w ciemnej uliczce, bardziej liczyłabym się z tym, że wyrwie mi torbę, niż że pomoże ją donieść do domu.

Iza poinformowała mnie o podziale zadań.

– Chłopaki będą odpowiadać za remont. Dorabiali sobie na budowach, mają trochę doświadczenia. Znajdą kogoś do pomocy. A potem się ich wygoni – puściła oczko do kolegów, a oni odpowiedzieli uśmiechem. – Dziewczyny zajmą się stroną artystyczną. Wybiorą farby, puszczą info do ludzi, że potrzebujemy mebli i innych rzeczy, a potem złożą to w całość. Chce pani nam patrzeć na ręce czy woli pani przyjść już na gotowe?

– Nie wiem, czy wytrzymam bez zaglądanja tutaj. Zresztą sama chętnie pomogę. Mogę przecież malować albo skrobać, co tam mi dacie.

– Spoko, jak pani chce. Każda para rąk się przyda – stwierdził Jacek. – Tylko od tego są odciski i można się pobrudzić.

Obiecałam nie narzekać i zostałam przyjęta do ekipy remontowo-budowlanej. Przez kolejne dwa tygodnie przeżywałam na przemian wzloty i upadki. Było wesoło, kiedy dziewczyny chlapały się wodą albo kiedy Mały potknął się i usiadł w wiadrze z farbą. Za to gdy okazało się, że trzeba wymienić rury w łazience lub gdy odpadła połowa tynku z sufitu, zaczynałam wątpić, czy kiedykolwiek to skończymy.

Muszę powiedzieć, że zaangażowanie moich wolontariuszy było naprawdę imponujące. Oprócz stałego trzonu, ciągle pojawiały się nowe osoby, które wspomagały podstawową ekipę. A to kolega, który zna się na hydraulice, a to kumpel od gładzi naścianach, po nim koleżanka, która umie kleić tapety. Drzwi w lokalu się nie zamykały, Iza ciągle odbierała telefony i podziwiałam ją, że potrafi zapanować nad tym całym bałaganem.

Wracałam do domu brudna, z połamanymi paznokciami i tynkiem we włosach, ale bardzo szczęśliwa. Zasypiałam, gdy tylko kładłam się do łóżka. Kilka razy próbowałam opowiadać Darkowi przy śniadaniu o postępach prac, ale wymownie milcząc, dawał mi do zrozumienia, że nie zmienił zdania na temat mojego pomysłu, więc przestałam. Przez chwilę czułam smutek, ale nie miałam czasu na rozmyślanie. Było tyle do zrobienia! Stwierdziłam, że kiedy zobaczy gotowe pomieszczenia, będzie musiał uznać, że to, co robię, ma jednak sens.

Po dwóch tygodniach nasz punkt doradczy był gotowy do urządzania. Świeżo pomalowane i wytapetowane ściany, nowe urządzenia sanitarne, czyste okna – efekt naszej ciężkiej pracy cieszył oczy.

– To teraz akcja „Meble” – zarządziła Iza.

Kamila i Renata zgodnie pokiwały głowami. Okazało się, że miały już opracowany plan i nawet wiele

udało im się już zorganizować. Kolejne siedem dni wyglądało tak, jakbyśmy urządziły nie fundację, ale komis meblowy. Przychodzili młodzi i starsi, przyjechał nawet samochód, który przywiózł dwa kredensy, biurko i trzy stoły. To ojciec Jacka, właściciel firmy transportowej, pomógł przewieźć większe gabarytowo meble z domów i piwnic przeczesywanych przez młodzież.

– Bardzo panu dziękuję – uścisnęłam męską dłoń ojca Jacka. – Mam nadzieję, że nie był to dla pana zbyt duży kłopot.

Wąsaty mężczyzna uśmiechnął się.

– Syn mnie już przyzwyczał do takich akcji. Zresztą, jak cel dobry, to czemu mam nie pomóc. Już wozilem węgiel do domu samotnej matki i kostkę brukową do hospicjum. Mam wprawę. – Rozejrzył się po pomieszczeniu. – Widzę, że jeszcze żyrandole niezamontowane. Jakby trzeba było, to mogę to zrobić. Niech się młodzi do prądu nie dotykają.

Zajrzała też staruszka, której pomagałam zbierać zakupy. Ucieszyła się na mój widok. Wypytywała, co tu będzie i następnego dnia przyniosła kilka własnoręcznie robionych serwetek. Wzruszyłam się bardzo, wyściskałyśmy się serdecznie i nawet uroniłyśmy kilka łez.

– Proszę do nas zaglądać. – Iza nikomu nie pozwalała się smucić. – Może zorganizujemy jakiś kurs dla dziewczyn. Nauczy nas pani robić takie odlotowe serwetki.

Wkrótce lokal wyglądał jak skład starych mebli. Stoły, stoliki, szafki, krzesła – każde z innej epoki, w innym stylu i kolorze. Patrzyłam na to z lekkim przerażeniem. Młode przyjaciółki uspokajały mnie, jak umiały.

– Parę dni i będzie w porządku. Mamy koncepcję artystyczną i to wszystko się w nią wpisuje.

Musiałam im wierzyć, nie miałam wyjścia. Co najdziwniejsze, okazało się, że nie kłamały. Zabrały się do pracy. Papier ścierny, farby, jakieś specyfiki w buteleczkach, folie do oklejania – za pomocą tych środków i własnej fantazji zamieniły zużyte przedmioty w ciekawe i przyciągające wzrok elementy wystroju. Ich koleżanki donosiły resztki materiałów, kawałki firanek, poduszki, narzuty i sama nie wiem, co jeszcze, bo nawet nie pozwalały mi tego oglądać.

Trzy dni później zastałam drzwi do lokalu zamknięte, chociaż umawiałam się z Izą, że będzie od rana. Kilka razy zastukałam w szybę, ale w środku panowała cisza. Już miałam dzwonić, gdy jak spod ziemi wyrosła przy mnie szefowa wolontariuszy. Otworzyła drzwi i przepuściła mnie przodem. Weszłam i... nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Byłam w przytulnym salonie, pokoju z klimatem i domową atmosferą. Białe meble kontrastowały z ciemniej pomalowanymi ścianami, na krzesłach wyłożono poduszki, w oknach zawieszono firanki i w fantazyjny sposób upięto zasłony. W jednym z kredensów stały kubki i filiżanki, na stolikach leżały ręcznie robione serwetki. W kąciaku dzieciennym stał mały stolik i niewielkie taboreciki, a na regaliku ułożono zabawki, gry i przybory do rysowania. Nawet w moich marzeniach nie wyglądało to lepiej.

Zza parawanu oddzielającego pozostałe pomieszczenia z piskiem i śmiechem wybiegli wolontariusze. Co mogłam zrobić w takiej chwili? Nie wiem, ale rozplakałam się. Ścisnęłam i całowałam każdego po kolei, dziękując im za wszystko, co zrobili. Nie umiałam znaleźć słów, bełkotałam coś chaotycznie, ocierając łzy szczęścia. Wesoły korowód oprowadził mnie po pozostałych pokojach i na końcu usadził za wielkim biurkiem na starym krześle z rzeźbionymi poręczami.

– To gabinet pani prezes – poinformowała Iza, starając się przekrzyczeć wybuchy śmiechu. – Czas świętować.

Na biurku pojawiły się słodkości przyniesione przez dziewczyny. Dołożyłam coś od siebie, zamawiając pizzę. „Twoja Przyjaciółka” mogła zacząć funkcjonować. Nie pamiętam, kiedy byłam tak szczęśliwa. Nawet gdy wszyscy już rozeszli się do domów, chodziłam jeszcze od pokoju do pokoju, dotykałam mebli, poprawiałam serwetki i podziwiałam wszystko. Wypełniało mnie poczucie spełnienia i wdzięczność dla tych, którzy zechcieli nam bezinteresownie pomóc. I duma z samej siebie. Nie poddałam się, zrobiłam to, co zaplanowałam, pokonałam tyle przeciwności i chwil zwątpienia. Zadowolenie z siebie było nowym uczuciem i musiałam przyznać, że niezwykle miłym. Lubiłam tę Nataszę od fundacji dużo bardziej niż tę od robienia interesów.

Kiedy wróciłam do domu, Darka jeszcze nie było. Zjadłam kilka plasterków wędliny, popiłam wodą mineralną i natychmiast po wzięciu prysznicza zapadłam w głęboki sen. Zdążyłam tylko pomyśleć, że jutro muszę koniecznie przesłać zdjęcia dziewczynom.

*

– Naprawdę nie wiem, skąd ty wzięłeś tych młodych ludzi! – Nie czekałam nawet, aż Mariusz zaprosi mnie do zajęcia miejsca. Byłam tak pełna emocji, że musiałam dać im jakieś ujście.

Energia, jaką dała mi kameralna uroczystość otwarcia lokalu fundacji nadal mnie nie opuszczała. Wciąż miałam przed oczami ogromną zmianę, jaka dokonała się z pomocą młodzieży i za każdym razem, gdy o tym myślałam, miałam wrażenie, że wyrastają mi skrzydła, na których zdołam dolecieć dokądkolwiek zamarzę.

Do tej pory spotykałam oczywiście ludzi, którzy gotowi byli ciężko pracować, realizować założone cele, nawet jeśli wydawały się trudne i mało realne. Jednak z jedną różnicą – nie za darmo. Doskonale wiedziałam, że odpowiednio wysoka kwota może zmotywować do działania. Nigdy nie współczułam pracownikom, nie uważałam, że należy im się specjalne traktowanie tylko dlatego, że dobrze wykonują swoje obowiązki. Uznawałam, że wystarczająco dobrym wynagrodzeniem jest comiesięczny przelew. Nie byłam skąpa i tym, którzy byli dobrzy w swojej robocie, nie żałowałam. Wiadomo było, że w naszej agencji można dobrze zarobić, lepiej niż w pozostałych firmach, ale w zamian trzeba było dać z siebie wszystko. Taki układ wydawał mi się sprawiedliwy i prosty.

Nie sądziłam jednak, że ktoś chciałby dobrze pracować, wiedząc, że nie może liczyć na nic poza poczuciem zrobienia czegoś przydatnego czy pożytecznego. Nie wierzyłam w altruizm, dużo bardziej w moc chęci posiadania. Może dlatego początkowo trudno mi było zaufać poleconym przez Mariusza młodym ludziom. Zastanawiałam się chwilami, dlaczego to robią. Przychodziły mi do głowy różne wyjaśnienia, najczęściej takie, że liczą na pracę w przyszłości albo inne finansowe korzyści, gdy fundacja zacznie działać.

W związku z tym nie oczekiwałam od nich zbyt dużego zaangażowania i z każdym spędzonym razem dniem moje zdziwienie było coraz większe. Przyjmowałam pomoc, ale w głębi duszy pozostawałam nieufna. Czekałam, kiedy, mniej lub bardziej wprost, zażądają zapłaty. Nic takiego się jednak nie działo. A wieńczące naszą pracę przyjęcie spowodowało, że pękła we mnie kolejna bariera, która utrudniała mi relacje z innymi.

Jeszcze niedawno uznałabym za niemożliwe zbyt spoufalenie się z kimkolwiek. Tymczasem ja, która zawsze zachowywałam chłodny dystans, ścisłałam i całowałam młodych ludzi. Dziękowałam im i były to

słowa płynące z głębi serca, szczere i nieudawane, a o ich prawdziwości świadczyły łzy wzruszenia, których nie potrafiłam i nie chciałam ukrywać.

I cały czas zadawałam sobie pytanie: skąd się biorą tacy ludzie?

Mariusz patrzył na mnie i uśmiechał się.

– Widzę, że cię nosi, ale może jednak usiądziesz? – zaproponował.

– Dobrze, usiądę. Bo prawdę mówiąc, to jestem skonana. Zmęczona bardzo, wykończona, zawalona robotą, brakuje mi czasu, marzę o godzinnej kąpieli w wannie z pianą, o obejrzeniu głupiego filmu. Umie-ram! Ale jestem szczęśliwa!

– Właściwie to wszystko widać, ale miło i posłuchać. Rozumiem, że dobrze idzie?

– Dobrze? Mało powiedziane. Jest dużo lepiej, niż mogłam sobie wyobrazić! Lokal gotowy. I wygląda naprawdę pięknie. Umówmy się, że Hilton to nie jest – roześmiałam się – ale biorąc pod uwagę to, od czego zaczęliśmy... Co ci będę opowiadać – wyciągnęłam z torebki telefon – sam zobacz!

Wspólnie obejrzelśmy zdjęcia. Opowiadałam mu o każdej rzeczy, opisałam przeznaczenie każdego pomieszczenia. Czułam się jak młoda matka, mówiąca o swoim dziecku – mogłabym to robić bez końca i wszystko było dla mnie wciąż cudowne, jedyne i niepowtarzalne.

Terapeuta słuchał, patrzył, potakiwał, pomrukiwał i spokojnie przyjmował moje entuzjastyczne komentarze. Wreszcie zdjęcia się skończyły, a ja opadłam na fotel.

– Ufff, chyba cię całkiem zagadałam. Masz dość?

– Nie ma sprawy. Lubię takie spotkania, podczas których pacjent sam mówi. Dzięki temu się nie napracuję.

– Jasne! – Nie potraktowałam osobiście tej drobnej złośliwości. – Co ja zrobię, że mnie to tak zakręciło? Sama się nawet dziwię, ale dobrze mi z tym, więc nie zastanawiam się zbytnio, żeby nie popsuć. No, ale teraz dam ci szansę na odrobinę, jak to określiłeś, pracy. Muszę, po prostu muszę wiedzieć, skąd oni się wzięli.

– To takie ważne? Jakie to ma znaczenie? Są, chcą pomagać i robią to.

– Mariusz, ja żyję na tym świecie ponad czterdzieści lat i trochę widziałam. Mogę powiedzieć, że nawet sporo. Ale z czymś takim, to się nie spotkałam. Ty im coś za to obiecałeś czy jak?

Mariusz popatrzył na mnie uważnie.

– A gdybym ci powiedział, że niczego nie obiecałem, to uwierzysz?

Zastanowiłam się.

– Chyba nie będę miała innego wyjścia – wzruszyłam ramionami.

– Ja nie pytałem, czy będziesz miała wyjście, tylko czy uwierzysz.

– Sama nie wiem – przyznałam. – Z jednej strony to bardzo kuszące, taka wiara w ludzką dobroć...

– A z drugiej?

– Czy ty musisz być taki dociekliwy?

– Taki mam zawód. Zadaję ci pytania, które ty sama zadajesz. Różnica jest tylko taka, że mnie odpowiadasz, a przed samą sobą robisz uniki. To co z tą drugą stroną?

– Druga strona jest taka, że uwierzyć znaczy zaufać. A zaufać to ryzyko. Można się rozczarować, zawieść... Wolałabym jasne układy – ja im coś, oni mi coś i jesteśmy kwita.

– Interes ubić?

– Coś takiego, mniej więcej.

– Natasza, ty chcesz podobno ludziom pomagać, prawda? I chciałabyś, żeby te kobiety, dla których założyłaś fundację, ci zaufały. To nie czujesz w tym jakiegoś braku konsekwencji? Ktoś ma ufać tobie, a ty sama nie ufasz innym. I tak odbieram twoje słowa, jakbyś mówiła, że zaufanie to naiwność, że lepiej z relacji zrobić biznes. Coś za coś. A co te kobiety mogłyby ci zaoferować?

– Ja niczego od nich nie chcę! – zaprotestowałam. – To co innego.

– To dokładnie to samo. Skoro ty możesz działać, dawać coś komuś i nie żądać zapłaty, to dlaczego nie potrafisz przyjąć do wiadomości, że na świecie jest jeszcze sporo ludzi, którzy myślą podobnie?

– Bo nigdy takich nie spotkałam.

– Czyżby? A może ich nie zauważałaś? Albo nie chcesz pamiętać? Choćby pani Stasia.

To wspomnienie zabolalo. Mariusz miał rację. Była pani Stasia. Pewnie byli i inni. Choćby Kora. Robili dla mnie wiele, nie prosząc nawet o podziękowanie. A ja, w swojej chorej dumie, w młodzieńczym, a potem biznesowym egoizmie, odtrącałam, nie chciałam widzieć, nie doceniałam.

– Chyba powinnam już iść. Strasznie się zasiedziałam, a ty pewnie masz kolejnych pacjentów – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

– Uciekasz?

– Po prostu muszę pomyśleć.

– Oczywiście, jak chcesz. Mogę ci jeszcze, na odchodne, udzielić pewnej rady. O ile oczywiście chcesz.

– Proszę bardzo. – Tak naprawdę nie chciałam już żadnych rad. Miałam dość na dzisiaj. I wiedziałam, że Mariusz to czuje. Jednak z jakiegoś powodu chciał mi coś powiedzieć. Niech więc mówi i wreszcie będę mogła wyjść – powiedziałam sobie w duchu.

– Chciałbym ci zasugerować, żebyś mniej skupiała się na myśleniu. Sądzę, że już dość się namyślałaś. Właściwie nawet za dużo. Czy nie pora zamienić to na odczuwanie? Nie myśleć, a czuć. Sama zobacz, jak ci dobrze to wychodzi. Przyszłaś tu radosna, szczęśliwa, pełna planów i sił do ich realizacji, gotowa na naprawianie świata. A potem zaczęłaś myśleć. Powiem więcej – wymyślać. I naprawdę sporo zrobiłaś, żeby zepsuć sobie całą radość.

– Ja sobie zrobiłam? – naprawdę byłam oburzona. – Ja?!

– A ja?

Prychnęłam ze złością. Chociaż wiedziałam, że ma rację. Tak długo grzebałam, aż wygrzebałam sobie powód do smutku.

– To co ja mam robić?

– Przeszłości nie zmienisz. Skup się na tym, co jest teraz. Na to masz wpływ. – Chciałam wstać, ale powstrzymał mnie gestem. – A co do naszych wolontariuszy, to nie ma tu żadnej tajemnicy ani ukrytych historii. To normalne dzieciaki. No, może nieco bardziej wrażliwe. A my tutaj, odpowiednio ukierunkowaliśmy ich wrażliwość. Zanim obróciłyby się w coś destrukcyjnego dla nich samych albo dla otoczenia. Młodzi, wrażliwi ludzie zawsze chcą zmieniać świat. No to niech zmieniają, jak mają ochotę. Chyba nawet nieźle im wychodzi, co?

– Całkiem nieźle – wspomnienie lokalu trochę poprawiło mi nastrój. – To mówisz, że oni po prostu robią to, co chcą?

– Dokładnie tak. Nic więcej.

– Dobrzy tu jesteście – powiedziałam z uznaniem.

– Staramy się. – Mariusz zrobił skromną minę, a potem mrugnął do mnie.

Wróciłam do domu pełna sprzecznych emocji. Darek czekał z pytaniem, czy będziemy coś pichcić na kolację, bo chciał jechać na zakupy. Było mi to na rękę. Potrzebowałam chwili, żeby jakoś sobie to wszystko poukładać. Zrobiłam szybko listę zakupów i poszłam do łazienki z nadzieją, że wymarzona kąpiel będzie tym, co przywróci mi dobry nastrój i pozwoli zamknąć kolejne drzwi z przeszłości. Odkręciłam kurki i zerknęłam do lustra. Na jego brzegu nadal wisiała żółta karteczka.

„Bądź szczerą!”, „Pytaj, gdy chcesz wiedzieć!” i „Proś o pomoc!”. Przypomniała mi się Milena, jej optymizm, zaufanie do innych. Nie wyglądała na nieszczęśliwą, chociaż sama mówiła, że często jej się nie udaje. To chyba lepsze niż moja ciągła frustracja i lęk. Trzeba będzie zaryzykować – stwierdziłam.

*

Każdego dnia jeździłam do naszego lokalu, który nazwaliśmy punktem doradczym. Iza pomogła mi w załatwieniu formalności związanych z umowami dla wolontariuszy. Miała w tym doświadczenie, bo od pierwszego roku studiów działała w różnych organizacjach. Stała się moją prawą ręką. Ceniłam jej zdolności lidarskie i umiejętność zjednywania sobie ludzi. Studiowała zarządzanie i na moje oko była doskonałym materiałem na przyszłego menadżera. Świetnie rozplanowała dyżury w głównej sali, szukała osób chcących prowadzić warsztaty. Nie było łatwo, bo większość chętnych oczekiwała wynagrodzenia, ale na początek Kamila i Renata obiecały zrobić mały kurs robienia biżuterii, a nowa wolontariuszka Zuza, studentka resocjalizacji, zaproponowała warsztat asertywności. Nie było to może wiele, ale przynajmniej miałyśmy coś do zaproponowania.

Dzięki Izie mogłam zająć się szukaniem środków na finansowanie naszej działalności. Dowiedziałam się, że programy unijne dobiegają końca, ale znalazłam jeszcze kilka możliwości. Większość wymagała częściowego, jak to nazywano, wkładu własnego, ale moje środki powinny wystarczyć. Jola przysłała obrazy, których część wstawiłam do galerii, a kilka powiesiłam w naszym fundacyjnym salonie jako lokatę kapitału na gorsze czasy.

Wolontariuszki zrobiły ulotki i rozwiesiły je w zaprzyjaźnionych ośrodkach i poradniach, ale pierwsze zaczęły do nas zaglądać kobiety z sąsiedztwa. Najpierw znajoma staruszka, pani Janina, przyprowadziła kilka koleżanek. Siadywały przy jednym ze stolików, piły herbatę i rozmawiały. Czasami któraś przynosiła robótkę, inna upieczone przez siebie ciasto albo paczkę herbatników kupioną w pobliskim sklepie. Z radością patrzyłam, jak nawiązują kontakt z wolontariuszkami. Dziewczyny słuchały ich opowieści z czasów młodości, pomagały im w zakupach, a w zamian dostawały ozdobione haftem chusteczki do nosa albo serwetki. „Stolik babć”, jak go nazwały wolontariuszki, stanowił żywy dowód na sens moich działań.

Później, gdy wieść o punkcie zaczęła się rozchodzić, przyszły pierwsze odważne kobiety. Chciały opowiedzieć o swoich problemach. Słuchałam każdej z nich, chociaż ich trudności były podobne – brak pracy, pijący mąż, bieda. W zasadzie wiedziały, gdzie iść, żeby uzyskać zasiłek, pieniądze na książki dla dzieci albo paczki żywnościowe. Przychodziły, bo dowiedziały się, że u nas można spokojnie posiedzieć, odetchnąć, na chwilę zapomnieć o codzienności i po prostu porozmawiać. W urzędach i ośrodkach pomocy nikt nie miał czasu na słuchanie ich historii, na wyrażenie współczucia czy troski. A przecież one były żywymi istotami, czującymi i pełnymi emocji. Słuchałam więc cierpliwie, częstowałam herbatą

i kawą, czasami podpowiadałam, co robić. Najbardziej uderzające było to, że lata skrywania emocji, ciężkiego życia i biedy zupełnie zabijały w nich wiarę w możliwość zmiany. Tak żyły ich matki, tak żyją one – widocznie tak musi być – twierdziły. Nie widziały dla siebie szansy, nie wierzyły w swoje możliwości, nie potrafiły odnaleźć żadnego potencjału, z którego mogłyby skorzystać. Wysłuchując relacji z ich szarego i smutnego świata, utwierdzałam się w przekonaniu, że jak najszybciej muszę podjąć działania, które pomogą im przynajmniej trochę pokolorować rzeczywistość. Patrzyłam w zmęczone oczy i widziałam w nich bezmiar rezygnacji. To ona była przyczyną ich bierności i to z nią należało przede wszystkim walczyć. Moje podopieczne były przykładami na to, że za kolorową fasadą bogatego kapitalizmu i wielkich pieniędzy ukrywa się jego ciemna strona – bezradność, bieda i ból. Oglądałam inny świat. Świat, o którego istnieniu wiedziałam, ale dopiero bezpośredni kontakt pokazał mi ogrom tej piekielnej czeluści, w której giną słabsi, mniej zaradni, niewykształceni.

– Pani Nataszo, jakaś pani chciałaby porozmawiać. – Sandra, z powodu chudości i okularów w wielkich oprawkach zwana Kobrą, przerwała moje rozmyślenia.

– Oczywiście, poproś panią tutaj. I podaj nam dwie kawy, proszę.

– Jasne! – Kobra błysnęła szklami i zniknęła za drzwiami.

Po chwili usłyszałam pukanie.

– Proszę. – Wstałam zza biurka, żeby przywitać gościa.

Ledwie ją poznałam. Z dawnej urody niewiele zostało, ale jakaś iskierka w spojrzeniu albo gest sprawiły, że w głowie otworzyła mi się odpowiednia klapka.

– Kaśka!

Uściskałam zgubę, której szukałyśmy z dziewczynami od dawna. Ślad po niej zaginął, a teraz niespodziewanie pojawiła się u mnie. Los bywa nieprzewidywalny!

– Siadaj, proszę. Zaraz będzie kawa. Jak tutaj trafiłaś? – Miałam nadzieję, że to pytanie pozwoli mi dowiedzieć się coś więcej o jej losach. Ostatnie spotkanie nie wróżyło najlepiej, a to, jak teraz wyglądała, wskazywało, że nie miała za sobą dobrych dni. Zniszczona cera, brązowe podkówki pod oczami i lekko opuchnięta twarz pozwalały mi bez cienia wątpliwości rozpoznać, że Kaśka jest alkoholiczką. Teraz jednak była trzeźwa.

– Chodzę na terapię grupową – powiedziała, nie patrząc mi w oczy. – I tam prowadzący powiedział, że jest fundacja, która może mi pomóc.

– Mariusz?

– Skąd wiesz? – podniosła wzrok.

– Sama do niego chodzę – powiedziałam wprost. Przed nią nie musiałam niczego zatajać.

Kaśka głośno westchnęła i wyraźnie się rozluźniła. Kobra akurat przyniosła kawę, więc napięcie opadło i odnaleziona przyjaciółka mogła opowiedzieć swoją historię. Nie pamiętała, że się widziałyśmy, była wtedy zbyt pijana. Myślała tylko o tym, żeby znaleźć alkohol, nie obchodziło ją nic więcej. Nocowała w melinach, czasami budziła się nawet na klatkach schodowych czy w krzakach.

– Jediną rzeczą łączącą mnie z przeszłością był ten biały lis. Kiedy i jego sprzedałam za pół litra, nic mnie już nie trzymało. Razem z nim oddałam resztki nadziei. Wtedy popłynęłam całkowicie. Nawet nie wiem, ile to trwało. Ocknęłam się pewnego dnia na szpitalnym łóżku. Podobno zgarnęli mnie z jakiegoś przystanku. – Ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę milczała. Czekałam cierpliwie, aż znajdzie siłę do dalszej opowieści.

– Odrzuli mnie i zaproponowali odwyk w ośrodku. Było mi wszystko jedno, ale chciałam mieć dach nad głową, chociaż na kilka dni. Byłam wyczerpana, miałam nawet trudności z chodzeniem, nie mogłam jeść, bo wszystko zwracałam... Nie od razu się udało. Dopiero za czwartym razem, kiedy na oddziale powiedzieli, że kolejnego zapicia nie przeżyję – wystraszyłam się. Poczułam, że nie chcę umierać jak śmieć.

Ogromna łza stoczyła się po głębokiej bruzdzie na jej twarzy.

– Od dwóch miesięcy jestem poza ośrodkiem, chodzę na grupę, ale boję się, że nie dam rady. Dociera do mnie, jakie mam problemy, nie udźwignę tego. Potrzebuję pomocy.

Okazało się, że Kaśka nie ma nawet gdzie mieszkać. Nocowała kątem u koleżanki z ośrodka, ale jej rodzina coraz częściej dawała do zrozumienia, że taki stan nie może trwać wiecznie. Dzieci nie chciały z nią rozmawiać, mąż siedział u rodziców i był na prostej drodze do zapicia się. Do tego komornik tylko czekał, aż znajdzie jakąkolwiek pracę, bo długi mieli ogromne. Chciała się rozwieść i jakoś podzielić te należności, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

– Co cię będę oszukiwać – wiele lat nie miałam kontaktu z rzeczywistością. Przerażają mnie urzędy, sądy, pisanie pism...

– Rozumiem. Oczywiście możesz liczyć na naszą pomoc. Dobrze, że przyszłaś. Zaraz wyskoczymy gdzieś na obiad i zastanowimy się co dalej. Zapraszam, więc nie odmawiaj.

– Wolałabym zjeść coś tutaj. Natasza, ja mam świadomość, jak wyglądam. Nie nadaję się do restauracji. Dobrze pamiętam, jak na mnie patrzyli ludzie na ulicy.

Zrozumiałam, że cienie przeszłości są jeszcze bardzo świeże, więc nie nalegałam. Poprosiłam Kobrę, żeby znalazła jakąś jadłodajnię dowożącą obiady i zamówiła coś dla nas. Podczas oczekiwania na posiłek opowiedziałam jej o sobie, o reaktywacji naszej paczki i o powstaniu fundacji.

– Wiesz, myślę, że na początek zamieszkaś u mnie – zdecydowałam między jednym a drugim kęsem schabowego. – Zorientujemy się w twojej sytuacji prawnej. Masz jakieś papiery?

– Nie obraź się, ale raczej nie wprowadzę się do ciebie. Znam Darka i jestem pewna, że się nie ucieszy. Nie chcę psuć ci życia, wystarczy, że swoje zepsułam.

Chciałam zaprotestować, ale w jej głosie było coś, co mnie powstrzymało. Intuicja podpowiadała mi, że Kaśka nie oczekuje żadnej łaski, a tak odczytała moją propozycję. Czułam, że chce zachować resztki dumy, bo to jedyne, co ma. Jedząc sałatkę, wymyśliłam więc kolejny plan.

– Dobra, to zrobimy tak: skombinujemy jakiś materac albo łóżko polowe i będziesz na razie nocowała tutaj. Ale nic za darmo. Będziesz miała dyżury w saloniku i zajmiesz się sprzątaniami. Co ty na to?

Kaśka w milczeniu przeżuwała obiad i moją propozycję. Wreszcie pokiwała głową.

– Dziękuję, Nata. Potrzebuję czegoś do roboty. Muszę się czymś zająć, żeby nie myśleć...

– Wiem – skwitowałam krótko. Nie chciałam zmuszać jej do zwierzeń, sama dobrze pamiętałam, jakie to trudne. – Nie ma sprawy. Jest tylko jedna zasada i ty wiesz jaka.

I tak Kaśka zamieszkała w naszym punkcie. Żadna z wolontariuszek nie zadawała pytań. Wystarczyło im krótkie wyjaśnienie, że to moja przyjaciółka z dawnych lat, która ma chwilowe kłopoty. Wyjaśniły jej zasady funkcjonowania punktu, pokazały, gdzie co jest. Kaśka na początku była trochę spięta, ale bezpośredniość i dobry humor moich pomocnic szybko ją rozluźniły. Po kilku godzinach, kiedy przechodziłam do toalety, zobaczyłam, że podaje herbatę do stolika babć i uśmiecha się do pani Lusi. Wszystko w porządku – pomyślałam. – Mogę iść do domu.

Moje listopadowe życie toczyło się zgodnie z rytmem pogody, czyli zmiennie. Nareszcie udało mi się znaleźć księgowego. Zamieściłam ogłoszenie na portalu dla organizacji pozarządowych i zgłosił się pan Marek – właściciel biura rachunkowego. Spotkaliśmy się, opowiedziałam mu o fundacji i zgodził się prowadzić nasze sprawy bezpłatnie.

– Mnie też kiedyś ktoś pomógł. Chcę to jakoś oddać światu – wyjaśnił krótko powody swojej decyzji. – A kiedy zdobędziecie jakieś środki, porozmawiamy o wynagrodzeniu.

Byłam też w Krakowie na kolejnym zjeździe. Każdy z nich wiele mi dawał, coraz lepiej poznawałam siebie. Udało mi się zamknąć pewne sprawy z przeszłości i to przyniosło mi ogromną ulgę. Cieszyła mnie też coraz większa więź z grupą – polubiłam wszystkie dziewczyny, spędzałyśmy razem wieczory po zajęciach, prowadząc niekończące się rozmowy o sobie i świecie, wygłupiając się czy odwiedzając knajpki na Kazimierzu.

Niestety, nie wszystko szło tak dobrze. Problemy Kaśki były bardzo zagmatwane, próbowaliśmy wspólnie ustalić stan faktyczny wielu spraw, ale szło to bardzo opornie. Na razie załatwiłyśmy dla niej obiady i celową zapomogę, za którą kupiła kilka nowych ciuchów. Chwilami też czułam się zmęczona przyjmowaniem kolejnych kandydatek na podopieczne i coraz częściej myślałam o znalezieniu osoby, która mogłaby zajmować się takimi wstępnymi konsultacjami. Wtedy ja mogłabym skupić się na szukaniu pieniędzy, bo środki, które przeznaczyłam na fundację malały z każdym miesiącem, a nie miałam czasu nawet na zastanowienie się nad listą sponsorów.

Szłam na spotkanie z Mariuszem w niewesołym nastroju. Zadzwoiłam do niego rano i znalazł dla mnie czas, chociaż byliśmy umówieni dopiero za dwa tygodnie. Zrozumiał, że potrzebuję tej wizyty. Poprzedniego wieczoru Darek wyprowadził się. Nie było awantury, krzyków czy wymiany niemiłych słów. Rozstaliśmy się ostatecznie z takim spokojem, że aż trudno to zrozumieć.

Zaczęło się od tego, że zobaczyłam go w centrum. Szedł z młodą kobietą, rozmawiali i śmiali się. Niby nic, ale czy na pewno? Od razu pomyślałam o zdradzie. Po raz kolejny. Miałam dość tych niejasności. „Bądź szczerą!” – przypomniałam sobie pierwszą z moich zasad.

– Kim była ta kobieta, z którą dziś szedłeś przez plac Defilad? – zapytałam przy kolacji.

– Klientka. Byliśmy umówieni na służbowy lunch. – Nie wyczułam fałszu w jego głosie, ale i tak nie uwierzyłam.

– Nie wierzę ci – wyrwało mi się jakoś tak samo.

Darek odstawił deskę z serami i popatrzył mi w oczy.

– Czuję to – odpowiedział i zajął się smarowaniem kanapki.

Jedliśmy w milczeniu. On pierwszy je przerwał.

– Nie sądzisz, że to nie ma sensu?

Wiedziałam, o czym mówi. Niby byliśmy ze sobą, a tak naprawdę nic nas nie łączyło. On był zajęty swoją pracą, ja fundacją. Mijaliśmy się. Oczywiście bywało też miło – wspólne wieczory przy kominku, weekendowe wypady za miasto, czasami kolacje w ciekawych restauracjach. Wtedy rozmawialiśmy, było wesoło, ale żadne z nas nie wspominało o drażliwych kwestiach. Omijaliśmy sprawy, które mogły nas poróżnić. Nie byliśmy szczerzy wobec siebie, staraliśmy się stworzyć coś, ale oboje budowaliśmy na

piasku. Najwyraźniej nie tylko mnie to męczyło.

– Myślę, że masz rację. Jesteśmy chyba bardziej parą znajomych niż ludźmi żyjącymi w związku.

Dokończyliśmy kolację i Darek poszedł się spakować. Obejrzelismy jeszcze film i pojechaliśmy do swojego mieszkania. A ja zapakowałam mu wałówkę, żeby miał co zjeść na śniadanie. Kiedy wyszedł, pomyślałam, że było w tym coś niesamowicie smutnego. Rozstanie odarte z emocji, obojętne jak zakończenie niezobowiązującego spotkania w przedziale pociągu, które co prawda pozwoliło umilić podróż, ale nie poruszyło serca.

Ile razy słyszałam, jak ktoś mówi: „Rozstali się spokojnie, jak kulturalni ludzie”. Błąd! Powinno się mówić: „jak obcy sobie ludzie”. Bo spokój możliwy jest wtedy, gdy jedynym uczuciem, które pozostało jest obojętność.

Powinłam się cieszyć, bo nie miałabym chyba dość sił na powtórkę uczuciowego kataklizmu, który przeżyłam przy rozwodzie, ale i tak było mi źle. Bardzo źle. W głębi duszy liczyłam, że uda nam się odtworzyć coś, co kiedyś czuliśmy, posklejać skorupy małżeństwa w całość, która choć może będzie miała rysy, to stanie się naczyniem, z którego obydwójce będziemy mogli czerpać siłę i wsparcie do dalszego życia.

– Mówią, że nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. – Mariusz podsumował filozoficznie moją opowieść. – Podjęłaś próbę i nie udało się. Rozumiem twój żal, ale czy nie uda ci się znaleźć w tym wszystkim nic dobrego?

– Cóż, przynajmniej wiem, że z Darkiem na pewno się nie uda.

– To cenna wiedza. Oszczędzi ci w przyszłości wielu rozterek, nie sądzisz?

– Może...

Wychodziłam z gabinetu lżejsza o ciężar zwierzeń, ale i tak nie było mi wesoło. Listopadowa plucha nie poprawiała nastroju. Słone krople mieszały się z jesiennym deszczem na moich policzkach.

Nawet niebo płacze razem ze mną – pomyślałam. – I dobrze, przynajmniej nie widać łez.

Przy wejściu na parking zderzyłam się z wielkim czarnym parasolem.

– Proszę uważać! – podniosłam głos ze złością, bo ostry koniec drutu mignął mi o włos od oka.

– Bardzo przepraszam, tak zacina, że nie zauważyłem... Natasza! To ty?!

Zza czarnej płachty wyjrzała głowa z kasztanową czupryną, a zielone oczy wesoło patrzyły na mnie. Jeszcze i on! – pomyślałam.

– Tak, ja. Ale bardzo się spieszę. Zresztą pogoda nie nastraja do pogawędek na chodniku – burknęłam, starając się nadać głosowi lodowaty ton.

– Przepraszam po raz drugi – roześmiał się Mateusz i przesunął parasol nad moją głowę. – Odprowadzę cię do samochodu, co ochroni ci fryzurę, ale nie za darmo. Poczekasz na mnie dziesięć minut. Mam tu do załatwienia jedną sprawę, a bardzo chciałbym usłyszeć co u ciebie, to znaczy co z fundacją – perorował jak prawdziwy prawnik, nie pozwalając mi dojść do głosu. – Wiesz, to też trochę jakby moje dziecko i często zastanawiam się, czy rośnie i jak się sprawuje.

Pod osłoną parasola dotarłam do auta. Mateusz rzeczywiście nie zabawił długo w ośrodku. Patrzyłam, jak wraca szybkim krokiem, sprawnie przeskakując kałuże. Jak on to robi, że w taką pogodę ma nienagannie czyste buty? – pomyślałam.

Wsiadł do samochodu, wpuszczając przy tym zimny powiew listopadowego wiatru.

– Brrr, pogoda nas nie rozpieszcza – powiedział, rozcierając dłonie. – Dziękuję, że poczekałaś. Byłam

w Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, załatwiałem wnioski o przymusowe leczenie dla klientki. To znaczy dla jej męża. To jej rejon, a ona jest znaną i wpływową osobą. Nie chce być widziana w takim miejscu. No, ale do rzeczy. Co tam w fundacji? Działasz już?

Opowiedziałam krótko o punkcie, ale to nie był mój dobry dzień, więc nie zdołałam wykrzesać z siebie wiele optymizmu. Blado wypadła relacja o odnawianiu lokalu, a szczególnie kiepsko opowieść o pomocy dla Kaśki.

– Dlaczego nie dzwoniłaś do mnie? – Mateusz zmarszczył brwi. – Przecież rozwody to moja specjalność.

– Jasne, tylko wiem najlepiej, ile to kosztuje. Bez urazy, ale fundacji nie stać na taki wydatek, a Kaśki to już z pewnością nie. Natomiast nasze, nazwijmy je prywatnymi, kontakty, ostatnio chyba się rozluźniły i każde z nas ma swoje priorytety – podkreśliłam dwa ostatnie słowa. – Nie miałam więc śmiałości się narzucać.

– Mam wrażenie, że próbujesz mnie obrazić. Jednak jako prawnik mam skórę nosorożca i udam, że tego nie słyszałam. A moje priorytety, wbrew temu, co sądzisz, oceniając wybiórczo i po pozorach, wcale się od dłuższego czasu nie zmieniły. – Wyjął z teczki kalendarz i przewrócił w nim kilka kartek. – Przyślij ją do mnie pojutrze o jedenastej. Niech zabierze te papiery, które ma. Zobaczę, co się da zrobić.

Poczułam ulgę i wdzięczność dla Mateusza. Zdjął mi z barków spory ciężar. Czasami naprawdę miło przerzucić odpowiedzialność na kogoś innego. Wiedziałam, że oddaję sprawę Kaśki w dobre ręce i przynajmniej część rozwodowa powinna zakończyć się szybko i skutecznie. O reszcie pomyślimy później. No i, co tu kryć, bardzo mnie ucieszyła informacja o priorytetach. I żeby być szczerą, musiałam przyznać, że tak samo mnie ucieszyła, jak świadomość, że pomogę Kaśce. A może nawet bardziej.

*

Nie mogłam pozwolić sobie na zbyt długą chandrę, bo punkt doradczy rozwijał się i coraz pilniej potrzebowaliśmy zastrzyku gotówki. Co prawda dwa obrazy Joli znalazły nabywców, ale te środki natychmiast wykorzystaliśmy. Iza nawiązała kontakt z firmą kosmetyczną, która zgodziła się zorganizować dla naszych podopiecznych pokaz połączony z nauką makijażu. Każda z uczestniczek otrzymała niewielki pakiet podstawowych kosmetyków. Nie mogłam wyjść z podziwu dla cierpliwości wizażystki, która została dwa razy dłużej niż to było umówione i udzielała naszym podopiecznym rad i wskazówek. Dziesięć kobiet opuściło nasz punkt nie tylko odmienionych makijażem, ale i z nowym błyskiem w oczach.

– Nawet nie wiedziałam, że jestem ładna – powiedziała jedna z nich. – Popłakałabym się ze szczęścia, ale boję się, że mi tusz spłynie.

Podczas warsztatu Kaśka przypomniała sobie o swoim wyuczonym zawodzie. Znalazły się dwie ryzykantki gotowe podjąć wyzwanie, w ruch poszły nożyczki i efekt był naprawdę dobry. Panie wycelowwały Kaśkę, a ona umówiła się z następnymi ochotniczkami.

Po pierwszym udanym warsztacie wciąż przybywało chętnych do poddania się wizerunkowej przemianie. Niestety, za kolejne warsztaty i kosmetyki musieliśmy już zapłacić. Uznałam, że Jola poparłaby ten projekt i w ten sposób pieniądze z obrazów znalazły swoje przeznaczenie.

Moje przyjaciółki cieszyły się z rozwoju fundacji. Relacjonowałam im wszystko na bieżąco.

Powiedziałam też o rozstaniu z Darkiem.

– Od razu wiedziałam, że to idiotyczny pomysł! – Agnieszka jak zawsze była szczerą do bólu. – I dobrze, że się wyprowadził. Już ja wiem, że najlepiej bez facetów. Żaden nie jest wart takich kobiet jak my.

– Samotność bywa trudna – powiedziała Jola. – Dobrze mieć przy sobie osobę, którą się kocha i która kocha ciebie. Jestem pewna, że i ty taką znajdziesz.

– Nic na siłę – dodała Agata. – Na razie masz nas.

Tak czy inaczej, nie miałam czasu na analizę swojej sytuacji uczuciowej. Postanowiłam poruszyć stare kontakty i poszukać sponsorów wśród firm, z którymi współpracowałam. Dwa tygodnie spędziłam na pisaniu e-maili, telefonowaniu i spotkaniach. Jeżeli na początku wydawało mi się, że dam radę zebrać całkiem sporo pieniędzy, bo znałam możliwości właścicieli i prezesów wielu firm, to rzeczywistość szybko zweryfikowała moje przekonania. Okazało się, że większość tych, którzy wydawali setki tysięcy złotych na kampanie reklamowe i bez mrugnięcia okiem godzili się na ogromne honoraria gwiazd reklamujących ich produkty, ci właśnie ludzie twierdzili, patrząc mi prosto w oczy, że nie mają pieniędzy, żeby wesprzeć fundację. A nie prosiłam o wielkie kwoty, ale o promile tego, co każdego miesiąca wydawali na działania promocyjne.

Po każdym takim spotkaniu przypominały mi się słowa Mariusza: „Kto ma miękkie serce...” i jeszcze bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie mogę się poddać. Wykręcałam kolejny numer i umawiałam się na następne spotkanie. Nie mogę powiedzieć, że wszyscy odmawiali. Prezeska firmy konsultingowej zachęciła do pomocy pracowników i zgłosiła się dwójka z obietnicą przygotowania i przeprowadzenia kilku warsztatów pomagających uczestnikom poznać swój potencjał. Właściciel firmy odzieżowej dał pieniądze na dwie maszyny do szycia i obiecał przekazać nam końcówki materiałów, a firma produkująca ekologiczne kosmetyki zdecydowała się dostarczać nam swoje produkty po cenach hurtowych, jeżeli zdecydujemy się na ich sprzedaż. Drobnе sukcesy motywowały mnie do pracy, a kiedy widziałam, ile radości sprawiają naszym podopiecznym – czułam, że naprawdę robię coś dobrego.

Tego dnia umówiłam się z Heleną Marczewską. Kiedy do niej zadzwoniłam, myślała, że mam ochotę na plotki i szybko zgodziła się na spotkanie. Przyjęła mnie u siebie w domu, z dumą prezentując nowe meble i pokazując zdjęcia z ostatnich wakacji. Pozwoliłam jej się wygadać i dopiero kiedy wyczerpała zapas historii o wspólnych znajomych, zdradziłam prawdziwy cel spotkania.

– Pani Nataszo, naprawdę kontaktuje się pani z takimi ludźmi? – Wyglądała na autentycznie zaskoczona. – Przecież to prymityw. Podziwiam, chociaż nie rozumiem. Ja nie umiałabym chyba z nimi rozmawiać.

– To w większości mili ludzie. Może rzeczywiście mają pewne braki, ale czy można ich za to winić? Kiedy bieda aż piszczy, nie ma się ochoty na myślenie o rozwoju. I właśnie dlatego chcę im pomóc. Może zachęci pani jakos męża do wsparcia tych kobiet. Znam pani dobre serce i dlatego tu jestem – próbowałam małego szantażu emocjonalnego.

Miałam jednak do czynienia z twardą zawodniczką. Mogła udawać, że współczuje, ale najważniejsze dla niej było stanie na straży własnego majątku.

– Pani Nataszo, znamy się tyle lat, że mogę być z panią szczerą – zatrzepotała przedłużanymi rzęsami. – Uważam, że te panie powinny po prostu wziąć się do pracy. Proszę sobie przypomnieć, jak my zaczynaliśmy. Wszyscy od zera. Dlaczego mam dawać pieniądze darmożjadom? Oni się przyzwyczaili, że wszystko mają za darmo, to po co się wysilać? A powiem pani, że widziałam ostatnio w telewizji taką

firmę, którą założyli bezdomni czy jacyś narkomani, nie pamiętam. Nazywali to spółdzielnią socjalną, czy jakoś tak. Podobno są na to unijne pieniądze na początek. Może niech te pani podopieczne zrobią takie coś.

Chociaż Marczevska nie obiecała mi żadnej pomocy, to podsunęła mi pomysł, który wydawał się interesujący. Miałam kolejny temat do zgłębienia.

Krótką wizyta w fundacji jak zawsze poprawiła mi humor.

– Pani Nataszo, proszę zobaczyć, jaki piękny szalik zrobiła mi pani Janina – powitała mnie Kobra, prezentując długi i bardzo kolorowy prezent.

W salce konferencyjnej Kaśka machała nożyczkami nad głową jednej z podopiecznych, a w kątku dla dzieci dwójka maluchów rysowała coś, dyskutując zawzięcie. Zauważyłam nową poduszkę na jednym z krzeseł i dwie doniczki na parapecie.

– To melisa – wyjaśniła Kobra. – Przyniosła jedna z babć. Będziemy parzyć na uspokojenie.

Ja już nie potrzebowałam ziółek. To, co widziałam, dawało mi spokój i ukojenie. Mogłam wracać do domu i odpocząć. Marzyłam o kąpieli, ciepłym kocu i filiżance mocnej herbaty z sokiem malinowym.

Po drodze zatrzymałam się przed galerią handlową. Miałam oddać do pralni żakiet, który ubrudziłam jeszcze podczas remontu lokalu. Woziałam go w bagażniku i ciągle było mi nie po drodze. Oczywiście nie śpieszyło mi się, bo miałam jeszcze w szafie kilka innych, ale tak naprawdę liczyłam, że spotkam streetworkerkę Anię. Ciekawa byłam, co u niej słyhać. Chciałam też pochwalić się swoim sukcesem i może nawet zaproponować jakąś współpracę.

Niestety, nie spotkałam mojej znajomej. Przynajmniej żakiet będzie czysty – pomyślałam z nutką żalu. – Pewnie Ania przychodzi raczej przed południem, kiedy te dziewczynki zamiast iść do szkoły, pojawiają się tutaj.

Idąc wzdłuż sklepów, myślałam o tych nastolatkach, które zachłannie patrzą na kolorowe wystawy, na modne ubrania, buty czy elektroniczne gadzety. Zastanawiałam się, ile z nich wraca do takich domów, jakie znajdują się przy ulicy, gdzie otworzyłam fundację. Ile z nich patrzy na pijanych ojców, zmęczone i niemające nadziei matki? Pewnie siedząc tutaj, czują się jak w innym, lepszym świecie. Liczą na to, że spotkają tu tego, który stanie się księciem i pomoże zostać w tej bajce na zawsze. A może dobrze wiedzą, że tak się nie stanie? Może dawno straciły nadzieję i chcą przynajmniej materialnej namiastki szczęśliwego życia – nowej bluzki, telefonu... Chcą złapać tyle, ile się da, zanim powrócą na szarą ulicę, urodzą dzieci i staną się podobne do swoich matek.

Zjechałam do podziemnego parkingu. Idąc do samochodu, zastanawiałam się nad tym, jak wiele różnych światów krzyżuje tutaj swoje drogi. Światy bezpieczne, bogate, syte i światy biedy, rozczarowań i smutku. Mijają się tu ludzie mający zbyt dużo, z tymi, którzy nie mają nic. Przechodzą obok siebie, ale się nie widzą. Żyją obok, czasami nie wiedząc nawzajem o swoim istnieniu. Każdy zna swoje miejsce, nie przekracza granicy własnego świata, przypisanej mu rzeczywistości. Smutna to refleksja. Chyba zmęczenie mnie tak nastrajało. Mijając zakapturzonego nastolatka palącego papierosa za filarem parkingu, pomyślałam, że może uda mi się zrobić choć niewielki wyłom w tym niewidzialnym murze dzielącym te światy. Żeby taka Marczevska choć na chwilę zauważyła na przykład Kaśkę. I zobaczyła w niej człowieka. Bardzo tego chciałam. A im bardziej rozumiałam, że to nie będzie łatwe, tym bardziej tego pragnęłam.

Kaśka przywitała mnie z uśmiechem.

– Ten Sajanowicz jest niesamowity! – rzuciła z zachwytem w oczach. – Ty wiesz, że zaraz po Nowym Roku będę miała pierwszą rozprawę rozwodową? I na dodatek wysłał mnie do jakiegoś swojego kolegi, który ma zająć się sprawą tych cholernych długów. Skąd ty go wytrzasnęłaś? Miły i nawet przystojny, chociaż rudy.

– Rozwodził mnie z Darkiem.

– No to i mnie na pewno rozwiedzie – roześmiała się.

Kaśka najwyraźniej powoli wracała do równowagi. Wiedziałam, że czasami dostawała od którejś z podopiecznych drobną kwotę za obcięcie lub farbowanie włosów, ale nic nie mówiłam, bo zauważyłam, że inwestuje w akcesoria fryzjerskie. Ostatnio kupiła nowe nożyczki i suszarkę do włosów. Najwyraźniej odnalazła w sobie to, co kiedyś pozwoliło jej wyrwać się z rodzinnej wsi – upór i cierpliwość. Obserwowałam, jak podnosi się powoli i czułam, że da sobie radę. Jej życie zatoczyło koło, spadła na samo dno, otarła się o śmierć, ale zaczynała od nowa, jak kiedyś jeżdząc do klientek. Nie załamywała już rąk, nie wspominała czasów, gdy żyła w luksusie, nie traciła energii na powroty do przeszłości, ale wykorzystywała ją na budowanie nowego życia.

Nie chciała jeszcze kontaktować się z pozostałymi dziewczynami.

– Pozdrów je ode mnie i przeproś, ale jeszcze nie teraz. Nie czuję się gotowa – powiedziała, a ja nie nalegałam. Wiedziałam, że do pewnych spraw dojrzewa się powoli. Na razie cieszyłam się, widząc, jak coraz lepiej sobie radzi.

Nadal myślałam o tym, co zaproponowała Marczewska. Odnalazłam w sieci kilka przykładów spółdzielni socjalnych i idea wydała mi się interesująca. Gdyby udało się stworzyć coś takiego, nasze podopieczne miałyby szansę spróbować swoich sił w biznesie. Okazało się, że można uzyskać wsparcie finansowe na założenie i pierwsze miesiące działania spółdzielni, a to w przypadku naszych kobiet miało niebagatelne znaczenie.

Z drugiej strony miałam wątpliwości. Trafiłam na artykuły prasowe opisujące upadek kilku takich przedsięwzięć. Rynek jest trudny, właściwie w każdej dziedzinie, konkurencja duża, a spółdzielnia socjalna nie ma zbyt wielu przywilejów. Na wsparcie władz nie ma co liczyć, zwłaszcza w dużym mieście, gdzie decydenci myślą głównie o zapewnieniu sobie głosów w kolejnych wyborach, a nie o grupce zagubionych w kapitalistycznej rzeczywistości kobiet.

Zastanawiałam się, czy podjęcie ryzyka ma sens. Druga sprawa, która ciągle była dla mnie niejasna, to aspekt formalny przedsięwzięcia. Znalazłam kilka poradników dla osób chcących założyć spółdzielnię, ale nadal wiele pojęć było dla mnie niejasnych. Nie potrafiłam odróżnić funduszu założycielskiego od zapasowego, nie rozumiałam podziału zysku, udziałów i wielu innych terminów, na które co rusz natrafiałam podczas lektury. A co powiedzą na to moje podopieczne?

Kilka dni rozmyślałam i po wielu wahaniach postanowiłam zadzwonić do Mateusza. Nie znałam żadnego innego prawnika, a fundacja była dla mnie jak dziecko i nie chciałam powierzać jej spraw komuś nieznanemu. Miałam opory, bo wiedziałam, że Mateusz nie przyjmie wynagrodzenia. Dla fundacji było to co prawda korzystne, ale ja osobiście już teraz czułam, że mam wobec niego ogromny dług wdzięczności.

Ostateczną decyzję podjęłam podczas wieczoru mikołajkowego. Zaprosiłyśmy znajome kobiety z okolicy i ich pociechy. Wolontariuszki przyniosły upieczone przez siebie i życzliwe mamy ciasta. Nieoceniona Iza tak długo wydzwaniała do hurtowni spożywczych, aż znalazła jedną, której właścicielka zgodziła się przekazać nam trochę słodyczy dla dzieciaków w zamian za umieszczenie jej firmy na liście przyjaciół, którą prowadziliśmy na stronie internetowej. Jako Mikołaj wystąpił Mały i trzeba przyznać, że zrobił na maluchach wielkie wrażenie swoją posturą. Impreza była wspaniała. Wolontariuszki zorganizowały zabawy i tańce, panie ze „stolika babć” snuły wspomnienia, a nasze podopieczne popijając kawę, robiły świąteczne ozdoby pod okiem Kamili i Renaty.

W pewnej chwili w drzwiach stanęło dwóch mocno zataczających się panów.

– Maryśka, do domu! – wrzasnął jeden.

Wspomniana Maryśka zerwała się z krzesła, a przy jej nogach natychmiast znalazła się dwójka maluchów.

– Marek, co ty tutaj robisz? – zapytała z przerażeniem.

– Ja? Co ty robisz? Kawkę sobie popijasz, a kolacji nie ma! Człowiek wraca zmęczony z pracy – czknął głośno i zachwiał się. Kolega pomógł mu utrzymać równowagę i Marek ciągnął niezrażony – wraca zmęczony i nie ma co zjeść. Do domu! Bo jak ci przyłożę...

Nasz Mikołaj stanął na wysokości zadania i nie dał mężczyźnie dokończyć pogroźki. Stanowczo ujął go pod ramię i wyprowadził na zewnątrz.

Maryśka ubierała dzieci, przepraszając za męża.

– Proszę zostać, nic się nie stało – próbowałam ją zatrzymać.

– Lepiej pójdę – pokręciła głową. – Bo mi ani grosza nie da. Wszystko przepije i za co ja będę żyć?

Wtedy zrozumiałam, że tym kobietom nie pomogą same szkolenia i nowe fryzury. Potrzeba im własnych pieniędzy. Dopiero wtedy będą mogły same decydować o swoim losie. Dopóki tak się nie stanie, wciąż będą wracały do domów ze spuszczoną głową, dwa kroki za pijanym mężem, z wystraszonymi dziećmi trzymającymi je kurczowo za ręce, z duszą na ramieniu i nadzieją, że pan i władca zaśnie, zanim przyjdzie mu ochota na wymierzenie żonie kary za marzenia i ochotę na lepsze życie.

*

– Pani Nataszo, nie ma u pani tych dużych nożyczek? – Iza wpadła do mojego gabinetu jak burza. – Sorki, że przeszkadzam – zamachała rękami, widząc, że siedzę nad papierami – ale robimy ozdoby choinkowe i rąk jest dużo, ale nożyczek za mało.

Nie byłam zła. Gdyby w agencji ktoś tak bez pukania wpadł do mojego pokoju, musiałby się liczyć z bardzo niemiłym przyjęciem. Tutaj było inaczej. I zdążyłam się już do tego przyzwyczaić. Jak mogłabym się gniewać za radość, spontaniczność i dobro? Chciałam, żeby tego było u nas jak najwięcej, więc cieszyłam się. Marzyłam, że fundacja będzie jak drugi dom, a przecież w domu wszyscy czują się bezpiecznie, na luzie, bez strachu...

– Nie wiem, nie widziałam – odsunęłam dokumenty na bok. – Może i są, ale na pewno nie w zasięgu wzroku.

Iza odrzuciła grzywkę i obrzuciła spojrzeniem blat.

– Rzeczywiście, trudno tu coś znaleźć. Współczuję tych papieruchów, naprawdę. Jak pani to ogarnia?

– Mam wieloletnią wprawę – mrugnęłam do niej. – Ale rzeczywiście już mnie to dziś zmęczyło. Powiedz, co wy tam robicie?

– Nic specjalnego. – Dziewczyna zrobiła niewinną minę, po czym spojrzała szelmowsko. – Mamy plan, żeby zrobić łańcuch choinkowy, który będzie taki długi jak cała ulica. Tomuś to wymyślił, spodobało się, więc kleimy.

– A dla jeszcze jednej pary rąk znajdzie się robota?

– Ale tylko z nożyczkami – roześmiała się Iza. – Bo tych małych, ubrudzonych klejem, to mamy aż nadto. Brakuje dużych, którymi można ciąć paski.

Obróciła się na pięcie i pobiegła.

Rozejrzałam się po gabinecie, podniosłam wszystkie sterty dokumentów, ale nożyczek nie było. Gotowa byłam nawet pojechać do najbliższego sklepu po to niezbędne narzędzie, ale z radością odkryłam zaginiony sprzęt w jednej z szuflad. Pojęcia nie miałam, skąd się tam wzięły, bo wiedziałam, że dziewczyny bardzo pilnują, żeby nikt tu nie wchodził pod moją nieobecność. Naprawdę starały się, żebym miała jak największy komfort pracy i z własnej woli okazywały mi, że jestem tu szefem. Miło było wiedzieć, że ktoś ceni cię tak po prostu, za to co robisz, a nie dlatego, że go zatrudniasz i mu płacisz.

Pewnie sama je tu włożyłam – pomyślałam. – Odruchowo, i zapomniałam.

Poszłam do głównej sali. Widok naprawdę mógł wprowadzić w dobry nastrój i dać zastrzyk pozytywnej energii. Wszystkie stoliki zostały złączone. Nikt nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak to, że każdy z nich ma inny kształt i inną wysokość. Stały na środku, a wokół nich zebrali się uczestnicy projektu Tomusia – równie z pozoru niedobrani jak sprzęty. Były tu dwie nasze „babcie”, trzy wolontariuszki – jedna wyglądała jak aniołek, druga dla odmiany jak fanka jakiegoś zespołu heavymetalowego, a trzecia całkiem normalnie, jeśli nie liczyć wściekle różowej grzywki. Do tego zgięty wpół Mały, u którego na kolanach siedział wspomniany Tomuś i z poważną miną wydawał wszystkim polecenia, których nikt nie słuchał. A między tym wszystkim pięcioro dzieciaków, z zaferowanymi minami i językami na brodach klejących papierowe paski.

Sięgnęłam po stojące pod ścianą krzesło i dołączyłam do rozbawionej gromadki. Zająłam się cięciem na paski przyniesionych przez dziewczyny gazet i czasopism.

– Dobry pomysł – pochwaliłam.

– To też kolorowe. I dostępne za darmo. A radość taka sama. – Iza wskazała głową na dzieci. – A jak komuś mało, jak Misi, to maluje farbami.

Rzeczywiście, mała Marysia, zwana Misią, z uporem godnym lepszej sprawy malowała gazetowe paski na różne kolory. Nikt jej nie przeszkadzał, mogła swobodnie realizować własną wizję. I to mi się właśnie podobało. Dziewczyny dawały naszym najmłodszym podopiecznym pole do kreatywności. Myśl przewodnia była wspólna, ale sposób dojścia do celu dowolny.

– Czy to fundacja pani Nataszy? – usłyszałam głos zza pleców.

W tym gwarze rozmów i śmiechów nawet nie zarejestrowałam, że ktoś wszedł. Zanim zdążyłam zareagować, Iza odpowiedziała na pytanie:

– Tak. A o co chodzi? Kogoś szukasz?

Wstałam i odwróciłam się. Przede mną stał nie kto inny jak Ania.

– Witaj! Jak tutaj trafiłaś?

Dziewczyna roześmiała się.

– Nie poznałam pani. Jakoś tak, no, nie myślałam, że może pani siedzieć w stercie gazet.

– Mogę jeździć bez kasku na rowerze, to mogę i siedzieć w gazetach. Chodź, zapraszam do mojego gabinetu. – Strzepnęłam ze spodni resztki papierowych pasków.

– Gabinet to bardzo poważnie brzmi. Nie możemy tutaj porozmawiać? Tym bardziej że nie jestem sama... – wskazała wzrokiem za siebie.

Dopiero teraz dostrzegłam jej towarzysza. W pierwszej chwili go nie poznałam, ale kiedy podszedł bliżej, ponaglony gestem Ani, zobaczyłam, że to znany mi, biegający gładki łoś.

– Tak, to on – potwierdziła Ania, widząc moje zdziwienie. – Tylko brodę zgolił. Przyzna pani, że teraz wygląda lepiej?

Przyznałam, bo tak było. Gładki łoś został mi oficjalnie przedstawiony jako Rafał. W jeszcze większe zdumienie wprawiło mnie to, że natychmiast zatroszczył się o krzeselka dla mnie i Ani, a ona z kamienną twarzą, ale zadowoleniem w oczach przyjęła ten wyraz troski i dobrego wychowania. Nie komentowałam niczego, ale w głowie zapaliła mi się mała żaróweczka. Chyba zaczynałam rozumieć, co widzę.

– To jak mnie tutaj znalazłaś? – zapytałam po raz drugi, gdy już siedzieliśmy w kącie sali z kubkami herbaty.

– Jedna z dziewczyn opowiedziała mi, że u niej na ulicy powstało takie miejsce dla kobiet. I jak opowiadała, to od razu mi się skojarzyło z tym, co mówiłaś. Postanowiłam sprawdzić. Przyszłabym wcześniej, ale Rafał nie chciał, żebym sama tu chodziła, więc musiałam czekać, aż go kiedyś wcześniej wypuszczą z tego obozu pracy. Jakbym nie potrafiła sobie radzić z różnymi ludźmi!

– Bo co innego galeria, a co innego tutaj. Tam jest ochrona i zawsze ktoś pomoże. A tu... Lepiej uważać. – Rafał powiedział to stanowczo, ale w oczach miał jakąś miękkość, zupełnie niepodobną do tego, z czego znałam go do tej pory.

– A wiesz, że ja cię nawet szukałam – zwróciłam się do Ani. – Ale jakoś nie miałam szczęścia.

– A ma pani jakąś sprawę?

– Nie, nic specjalnego. Szczerze mówiąc, to chciałam się tym – wskazałam ręką wokół – pochwalić. Że zrobiłam to, co planowałam. I że nie tylko robię zakupy i brawurowo jeżdżę na rowerze – roześmiałam się.

Rafał najwyraźniej wziął mój żart do siebie.

– Pójdę zobaczyć, co z samochodem. W tej okolicy to nic nie wiadomo – burknął i wyszedł.

Spojrzałam pytająco na Anię.

– On nie jest taki zły. Jak się go lepiej pozna, to nawet sporo zyskuje – powiedziała.

– Rozumiem, że poznałaś go bliżej? – uśmiechnęłam się domyślnie.

– Jeszcze nie bardzo blisko, ale bliżej to tak. – Miałam wrażenie, że się zaczerwieniła. – Wpadliśmy kiedyś na siebie w galerii i nerwy mi puściły. Bo wie pani, on dilował. Nie bardzo, tylko tak dorabiał, ale jednak. I wkurzało mnie, że małodatom sprzedaje. Nawrzeszczałam na niego strasznie. Serio, poniosło mnie jak nigdy wcześniej. A on, niech sobie pani wyobrazi, przyszedł następnego dnia, znalazł mnie i zaprosił na kawę. I to nie do galerii, ale do takiej kawiarni co to ekskluzyw i w ogóle. Wcale mu nie przeszkadzało, że on w tym gajerku firmowym, a ja tak jak zawsze. Wszyscy się gapili, a on nic. Przyznam, że mi zaimponował. No i tak jakoś poszło.

– To znaczy, że polubiłaś gładkiego łosia?

– Ciszej, żeby nie usłyszał – roześmiała się Ania. – Tak, polubiłam. Chyba nie muszę mówić, że dilerka

już nie wchodzi w grę? No i nie jest taki głupi, tylko ma trochę w głowie od kasy przewrócone.

– Ale widzę, że powoli mu ustawiasz jak trzeba?

– No raczej. I jakby coś było do zrobienia, takiego, do czego facet potrzebny, to niech pani do mnie dzwoni. Przyjedziemy i Rafał pomoże. Niech się uczy życia, nie?

– Jasne, będę pamiętać. Tylko zostaw numer, a ja ci dam swój, żebyśmy się już nie szukały.

Rafał wrócił z kurtką, którą niby od niechcienia zarzucił Ani na ramiona.

– Chłodno tutaj – stwierdził.

– Rzeczywiście. To stara kamienica, grube mury i wysokie pomieszczenia. Niełatwo ogrzać. Że o kosztach nie wspomnę.

– Nie trzeba było. – Ania najwyraźniej postanowiła nie okazywać zbyt dużej radości z troski chłopaka, ale widziałam w jej oczach, że podobają jej się takie gesty. Zresztą której dziewczynie nie podobałoby się, gdy przystojny blondyn okrywa jej ramiona własną kurtką. Ech, młodość! – pomyślałam ze wzruszeniem. Mogli się zapierać, ile chcieli, ale ja widziałam doskonale, jak między nimi iskrzy. Zanosilo się na związek, a kto wie, może i na wielką miłość. Ciekawe, czy im się ułoży? Co ich popchnęło ku sobie, skoro byli tacy różni? Najwyraźniej każde z nich miało coś, czego drugie potrzebowało. To dobry początek. Jeżeli będą umieli dalej budować na tej podstawie, może im się udać. Życzyłam im tego z całego serca. Tak, gładkiemu łosiowi także, bo naprawdę zyskiwał przy bliższym poznaniu.

Dopiliśmy herbatę, wymieniliśmy się numerami telefonów i poszli. Zauważyłam, że w pewnej chwili spojrzenia Ani i Pauliny-aniołka spotkały się na krótką chwilę. Żadna z nich nie dała niczego po sobie poznać, ale lata pracy z klientami wyczuliły mnie na takie z pozoru nic nieznaczące drobiazgi. I byłam pewna, że dziewczyny się znały, że spotkały się już wcześniej.

Mogłam się tylko domyślać okoliczności, w których się zetknęły. Wiedziałam jednak, że nie będę o nic pytała. Ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna. Paulinę przyprowadziła do nas Iza kilka tygodni temu, jako wolontariuszkę ze swojego dawnego liceum. Dziewczyna dobrze radziła sobie z dziećmi, starała się, a to mi wystarczało. Jakakolwiek była jej przeszłość – tutaj nie miało to znaczenia. A jeśli kiedyś się tego dowiem, to tylko dlatego, że sama będzie chciała mi powiedzieć.

*

– Przepraszam, że przeszkadzam panu mecenasowi, ale zajmę tylko chwilkę...

– Natasza, miło cię słyszeć! Wiesz, że nigdy nie przeszkadzasz.

Ucieszyłam się, bo najwyraźniej dobrze trafiłam. Nie chciałam przerywać rozmowy z klientem, bo i tak miałam wyrzuty sumienia, że znowu zawracam mu głowę.

– Przypomniało mi się, że nie wywiązałam się z pewnego zobowiązania wobec ciebie.

– Niemożliwe! I ja o tym nie pamiętam? Musiałś się pomylić. Żaden prawnik nie spocznie, dopóki nie wyegzekwuje wszystkiego, co mu się należy. – Śmiech w słuchawce sprawił, że i ja poczułam się weselej.

– A jednak. Obiecałam ci obiad, kiedy zarejestruję fundację. Biję się w piersi, bo działamy już na całego, a nadal nie spełniłam obietnicy.

– Teraz rozumiem, dlaczego jestem taki głodny. Czuję, że czegoś mi brakuje, a teraz już wiem. Jak

zamierzasz odkupić swoje zapominalstwo i uspokoić sumienie? Ostrzegam, że nie pójdzie ci łatwo.

– Domyślałam się – roześmiałam się. Lubiłam jego poczucie humoru. – Proponuję zamianę obiadu na kolację u mnie w domu i to w trybie ekspresowym, czyli dziś. Czy pan mecenas znajdzie w swoim kalendarzu czas? Przypominam, że w grę wchodzi sumienie klientki.

– Dziś? – Najwyraźniej był zaskoczony, ale zanim zdążyłam zaproponować przełożenie spotkania, dodał: – W porządku. Może być, ale najwcześniej o dziewiętnastej.

– Jeżeli jesteś z kimś umówiony, to nie chciałabym zepsuć ci planów – powiedziałam spokojnie, ale wizja Jolanty sprawiła, że serce mi załomotało.

– Nie umawiam się z nikim wieczorami – uciął krótko. – Tylko...

– Tak?

– Czy twój... czy pan Dariusz nie będzie miał nic przeciwko siedzeniu przy jednym stole z prawnikiem, który pozbawił go połowy firmy?

Zupełnie zapominałam o spotkaniu przed kancelarią Mateusza. I o tym na Starówce. Straszna gapa ze mnie!

– Mieszkam sama. – Pomyślałam, że takie wyjaśnienie na razie wystarczy. On też nie mówił wprost. – Zapraszam o dwudziestej.

*

Poinformowałam Izę, że nie będzie mnie po południu i zostawiłam fundację pod jej opieką. Dziś miały odbyć się pierwsze warsztaty o odkrywaniu swoich zasobów. Zgłosiło się dziesięć kobiet, co nas ucieszyło. Byłam pewna, że Iza sobie poradzi. Ja musiałam dziś zająć się kuchnią.

O dziewiętnastej wszystko było gotowe. Wszystko, oprócz mnie. Stół nakryty, płyta Herbiego Hancocka czekała w odtwarzaczu, sałatka nabierała smaku w lodówce, a schab ze śliwką i pieczone ziemniaczki powoli dochodziły w piekarniku, rozsiewając zapach, od którego czułam ściskanie w żołądku i ślina napływała mi do ust. Postarałam się i miałam nadzieję, że trafię w jego gust. Zdecydowałam się na klasykę, bo właściwie nie znałam upodobań kulinarnych Mateusza i wolałam nie ryzykować eksperymentów z egzotycznym jedzeniem.

Miałam akurat tyle czasu, żeby wziąć prysznic, zrobić makijaż i przebrać się. Czułam miłe podekscytowanie. Byłam przecież kobietą i czekałam na mężczyznę. Nie miało znaczenia, że to tylko podziękowanie za pomoc, a on jest po prostu moim prawnikiem, skoro co rusz po plecach przebiegał mi dreszczyk, patrzyłam w lustro, zastanawiając się, czy dobrze wyglądam, i bardzo chciałam, żeby smakowało mu to, co ugotowałam.

Kilka minut po ósmej usłyszałam dzwonek domofonu, a po chwili pukanie do drzwi. Serce zabiło mi szybciej. Otworzyłam. Na progu stał Mateusz z bukietem kwiatów, a tuż obok niego wierciła się z niecierpliwością dziewczynka licząca mniej więcej dwa albo trzy latka. Była ubrana w czerwony kombinezon i granatową czapkę uszatkę.

Znieruchomiałam z wrażenia i nawet nie zaprosiłam ich do środka.

– Przepraszam za tę niespodziankę, ale nie miałem z kim zostawić Zosi – powiedział Mateusz. – Opiekunka miała już plany na wieczór, więc... Mam nadzieję, że to nie problem? Jest naprawdę grzeczną dziewczynką. Prawda, Zosiu? – zwrócił się do małej, a ona z zapałem pokiwała głową.

Opanowałam zaskoczenie i odzyskałam głos.

– Oczywiście, nie ma żadnego problemu. Wejdźcie, proszę. Tutaj możecie się rozebrać, a potem zapraszam do salonu – wskazałam ręką kierunek. – Ja was na chwilę zostawię, muszę dołożyć nakrycie.

Uciekłam do kuchni, gdzie przyłożyłam głowę do chłodnej obudowy lodówki. Mała dziewczynka. Tego nie przewidziałam. Zdałam sobie sprawę, że dotąd żadne dziecko nie przekroczyło progu tego domu. Czułam pulsowanie w skroni. To chyba ze zdenerwowania.

Opanuj się – pomyślałam. – Nie myśl o przeszłości. Dasz radę, Nataszo!

Niepewna i spięta wróciłam do salonu. Mateusz siedział na kanapie, a obok niego usadowiła się córka. Usiadłam w fotelu i przyjrzałam się dziewczynce. Miała rude włosy, nie kasztanowe jak jej ojciec, ale ogniście rude, jasną cerę i sporo piegów. A oczy niebieskie. Wpatrywała się we mnie, jakby czegoś oczekiwała. Nie wiedziałam, co robić. Normalnie kontakt z dziećmi nie sprawiał mi kłopotów, ale obecność malucha w moim domu wywołała jakiś paraliż emocjonalny. Na szczęście Mateusz przejął inicjatywę.

– Powiedziałem Zosi, że nie wolno jej niczego dotykać, dopóki jej na to nie pozwolisz. Ale chyba wstydzi się zapytać.

– Chciałabyś coś obejrzeć? – zapytałam, mając nadzieję, że głos mi nie drży.

– Pusio. – Mała rączka wskazała na drewnianą figurkę kota stojącą obok kominka.

– Proszę, możesz się nim pobawić.

Mała zsunęła się z kanapy i pobiegła do zwierzaka.

– Mamy w domu czarnego kota, który ma na imię Pusio – wyjaśnił Mateusz. – Zosia go uwielbia, a on ze stoickim spokojem znosi jej niezbyt delikatne pieszczoty.

– Ten też zniesie wszystkie – uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

Przez chwilę obserwowaliśmy dziewczynkę, która przemawiała do kota w swoim własnym języku kilkulatki. Powoli oswajałam się z tym, co widziałam. Z każdą chwilą sytuacja stawała się bardziej zwyczajna. Dziecko było grzeczne, zachowywało się naturalnie, wyglądało na to, że dobrze się czuje w nowym miejscu. Z zapałem ciągnęło drewnianego kota za sobą, co rusz upadając na dywan i podnosząc się, żeby z uporem kontynuować drogę do siebie tylko znanego celu. Z rozbawieniem przyglądałam się poczynaniom Zosi. Kiedy dociągnęła figurkę do naszych stóp i z dumą popatrzyła mi w oczy, oznajmiła:

– Zosia i Pusio som tu. – Nie mogłam się powstrzymać i zaklaskałam w ręce z uznaniem.

– Pięknie, Zosiu!

W nagrodę otrzymałam uśmiech, którym zupełnie mnie zawojowała. Napięcie minęło i przypomniałam sobie o obowiązkach gospodyni.

– Po takim wysiłku pora coś zjeść! – zdecydowałam. – Zapraszam do stołu.

– Z Pusiem – oświadczyła Zosia stanowczym głosem.

– Dobrze – ze śmiechem wyraziłam zgodę. – Damy Pusiowi osobne krzeselko i talerzyk.

Nie tak wyobrażałam sobie tę kolację, ale muszę powiedzieć, że było naprawdę miło. Siedzieliśmy we czwórkę: ja, Mateusz, Zosia i drewniany kot. Zamiast dyskusji o polityce, sztuce czy literaturze – rozmowy o kotach, odpowiedzi na pytania o dosłownie wszystko, krojenie schabu na drobne kawałki, wycieranie soku z obrusu, ocieranie małej buzi serwetką i wiele innych atrakcji. Jedyne, co pozostało z moich planów to Hancock.

Po kolacji wróciliśmy do salonu. Zrobiłam kawę i korzystając z tego, że Zosia zaciągnęła Pusia pod

ławę, gdzie wdała się z nim w niezrozumiałą dla nas dyskusję, wypytałam Mateusza o sprawę związane ze spółdzielnią.

– Moja wiedza na ten temat jest nieco powierzchowna – podsumował naszą rozmowę. – Mogłaś mnie uprzedzić, miałbym czas, żeby się przygotować. A ty wzięłaś mnie z zaskoczenia – zażartował.

– To samo mogę powiedzieć o tobie – odpowiedziałam żartobliwie, mając na myśli małą.

– A gdzie Zosia?! – Mateusz poderwał się z kanapy.

Rzeczywiście, teraz zdałam sobie sprawę, że od jakiegoś czasu nie słyszę cieniutkiego głosiku dziewczynki. Żeby tylko nic się nie stało! – pomyślałam z przerażeniem.

Na szczęście nie zdążyłam bardziej się zdenerwować, bo zobaczyłam, że Mateusz z uśmiechem kiwa na mnie ręką z drugiego końca pokoju. Podeszłam do niego i zobaczyłam Zosię leżącą w kącie za kredensem. Spała, tuląc się do drewnianego kota.

– Ależ jesteście bezmyślni! Już prawie jedenasta. Ona pewnie o tej porze już dawno powinna spać. Wstydź się, tato! Jak wrócicie do domu, mama Zosi z pewnością powie ci, co sądzi o takiej opiece.

– Mama Zosi nie żyje – powiedział cicho Mateusz.

– Przepraszam, nie wiedziałam...

– Oczywiście, wiem.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Stałam, patrząc na śpiącą dziewczynkę i zrobiło mi się bardzo smutno.

– Joanna była trenerką. Prowadziła szkolenia. Dużo jeździła, ale starała się wracać do domu na noc. Wtedy też chciała wrócić. – Mateusz mówił bardzo cicho. Nie wiedziałam, czy dlatego, że trudno mu o tym opowiadać, czy nie chce obudzić dziecka. – Tamten wyprzedzał na trzeciego. Przeżył, a ona nie. Zosia nie miała wtedy jeszcze roku. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to się stało. Już wcześniej sięgałem po alkohol – wiesz, świętowanie sukcesu z klientem, dobre koniaki w prezencie – ale nigdy się nie upijałem. Po śmierci Joanny wpadłem w straszny dołek. Nie potrafiłem się z tym pogodzić. I piłem. Żeby zapomnieć.

Kucnął i pogładził rude włosy córeczki.

– Dobrze, że była opiekunka i teściowa. Ta druga w końcu nie wytrzymała. Zagroziła, że zabierze mi dziecko. To mnie przeraziło. Straciłem Joannę, ale nie chciałem stracić Zosi. Zacząłem walczyć. Nie muszę ci tego tłumaczyć, prawda? Na szczęście udało się i mam nadzieję, że tak pozostanie. Mam na imię Mateusz, mam czterdzieści pięć lat, jestem samotnym ojcem i alkoholikiem – powiedział bez uśmiechu. – Teraz już wiesz.

Wyszłam do kuchni. Potrzebowałam chwili, żeby spokojnie zebrać myśli. Wkładałam naczynia do zmywarki, ale wykonywałam tę czynność mechanicznie. Myśli kłębiły mi się w głowie, nie mogłam w żaden sposób ich uporządkować.

– Chyba będziemy już jechać. – W drzwiach kuchni stanął Mateusz z Zosią na rękach.

– Chyba zwariowałaś! Chcesz w środku nocy ciągnąć dziecko taki kawał drogi? Przecież tu jest pokój dziecienny – powiedziałam to spontanicznie, ale gdy zdałam sobie z tego sprawę, wcale nie żałowałam tych słów. Pora, żeby wreszcie jakieś dziecko tam spało – pomyślałam.

– Zostajecie! – zdecydowałam.

W dziecinny był jedynie małe łóżeczko, więc Mateusz przeniósł na górę materac z kanapy. Ułożyliśmy Zosię w pościeli w misie, a obok niej położyliśmy drewnianego Pusia. Widok był

wzruszający. Mateusz chyba myślał podobnie, bo wyciągnął z kieszeni marynarki telefon i zrobił zdjęcie.

– Takie piękne chwile trzeba uwiecznić – powiedział.

Zostawiliśmy w pokoiku zapaloną lampkę i uchylone drzwi.

– A gdzie ja będę spał? – zapytał Mateusz szeptem.

Spojrzałam w zielone oczy stojącego przede mną mężczyzny. „Bądź szczerą!”, „Pytaj, gdy chcesz wiedzieć!” – zabrzmiało mi w głowie.

– Kiedyś napisałeś mi w e-mailu o początku czegoś pięknego na dłużej. Czy to nadal aktualne?

Skinął głową.

– W takim razie dziś będziesz spał tutaj – otworzyłam drzwi do mojej sypialni.

Nie doszliśmy nawet do łóżka. Ręce Mateusza objęły mnie i poczułam jego wargi na swoich ustach. Znałam to uczucie, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo za nim tęskniłam. To była jedna z takich chwil, w których choćby się chciało, to nie da się myśleć, zastanawiać, czy liczyć na rozsądek. Wszystko przestało istnieć, nie było świata poza naszymi ciałami. Był tylko dotyk, pocałunki, bliskość...

Poddałam się temu wszystkiemu bez wahania. Pożądanie poniosło mnie w przestrzeń tak cudowną, że nie sposób jej wyrazić. To można było wyłącznie czuć. Wiedziałam, że jesteśmy tam razem i nie potrzebowałam niczego więcej. Zamknęłam oczy, wyłączyłam myśli, oddałam się temu, co nadchodziło. I mężczyźnie, którego pragnęłam tak bardzo jak nikogo dotychczas...

*

Obudziłam się kilka minut temu, ale nie chcę się poruszać, żeby nie przerwać snu Mateusza. Leżę przytulona do jego boku, czuję męską dłoń na plecach. Dłoń, która niedawno obdarzała mnie pieścizkami, poznawała każdy kawałek mojego ciała, dawała rozkosz. Jestem zmęczona, ale niezwykle szczęśliwa, tak szczęśliwa jak tylko może czuć się zaspokojona i bezpieczna kobieta.

Wsluchuję się w nocną ciszę, żeby nie umknął mi żaden dźwięk. Wiem, że za ścianą śpi mała dziewczynka. Dziecko, na które tamten pokój czekał wiele lat. Mam nadzieję, że wypełni go swoją obecnością, sprawi, że ożyje, przestanie być tylko obrazem moich niespełnionych marzeń, a stanie się częścią szczęśliwej codzienności.

Oddycham powoli i spokojnie, delikatnie wodzę palcem po brzuchu Mateusza. Nawet nie staram się zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło. Chyba po raz pierwszy nie mam potrzeby analizowania wydarzeń. Chcę po prostu odczuwać, przeżywać, poddać się z ufnością i nadzieją temu co nadeszło.

Pierwsze płatki śniegu wirują na tle ciemnego nieba i opadają na szybę okna dachowego. Obserwuję ich taniec w powietrzu. Może spadnie go aż tyle, że rano będziemy mogli ulepić bałwana? Nie pamiętam, kiedy robiłam to po raz ostatni, ale z pewnością wiele lat temu. Czy to nie ciekawe, że dziecko pozwala nam w pewien sposób przeżyć po raz drugi dzieciństwo? Na samą myśl o tym poczułam, jakby ubyło mi lat.

Oczywiście, że trochę się boję. Nie wiem, czy nam się uda, ale kto, zaczynając nowy związek, wie takie rzeczy? Jest we mnie niepewność, ale i zaciekawienie połączone z ekscytacją. Jakbym wybierała się w podróż w nieznane. Nie wiem, co mnie czeka po drodze, ale mimo to chcę w nią wyruszyć. Dasz radę, Nataszo! – myślę, ale tym razem nie po to, żeby dodać sobie odwagi. Po raz pierwszy to po prostu potwierdzenie pewności, którą czuję. Pewności, że droga, jaką wybrałam jest dobra. A najważniejsze, że

mam towarzysza, który mi ufa i pragnie iść ze mną.

Nie chcę się zastanawiać, przewidywać, wyobrażać sobie przyszłości. Mam zamiar po prostu żyć. Wierzę, że czekają na nas dobre chwile. Na razie natomiast wiem, że Boże Narodzenie w tym roku będzie wspaniałe. I to mi wystarcza.

KONIEC

O autorce



Karolina Wilczyńska to zodiakalna Panna i numerologiczna jedenastka. Prowadzi podwójne życie – w jednym jest prezesem własnej fundacji, trenerką i terapeutką, w drugim – żoną, matką i właścicielką jamnika z charakterem. Posiada dar nieograniczonego rozciągania czasu i dzięki temu w wolnych chwilach haftuje, ozdabia przedmioty techniką decoupage’ u i tworzy biżuterię, rozmyślając przy tym o rzeczach ważnych i błahych. *Z tych rozmyślań powstają historie, które potem opisuję – jak sama mówi.*

Autorka powieści: *Performens* (2006), *Ta druga* (2011), *Anielski kokon* (2013) oraz wydanych przez Czwartą Stronę: *Jeszcze raz*, *Nataszo* (2014) i z serii *Stacja Jagodno: Zaplątanej miłości* (2015) i *Marzeń szytych na miarę* (2015).

Laureatka konkursów literackich (Secretum Caligo, Littera Scripta, Kryminalna Piła).

POLECAMY

Kojąca książka, która rozgrzeje serce każdej kobiety.

Natasza miała wszystko: kochającego męża, piękny dom, spektakularną karierę i własną agencję reklamową. Życie Nataszy wielu osobom mogłoby wydać się perfekcyjne i takie właśnie było... Do czasu.

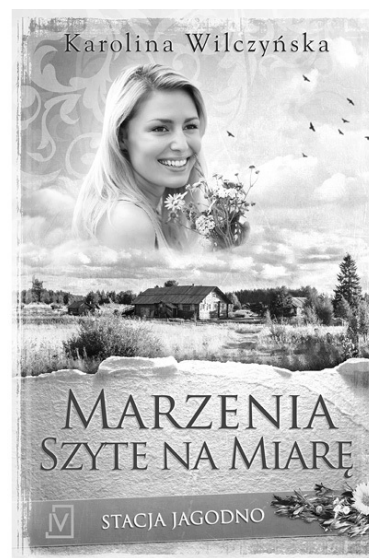
Jeszcze raz, Nataszo to opowieść o kobiecie, która kochała zbyt mocno. Swojego odbicia i akceptacji szukała w oczach ukochanego. Teraz musi iść przez życie sama. Czy odnajdzie utracone szczęście i spokój?



Ciepła, mądra opowieść osadzona w niepowtarzalnej scenerii Jagodna w Górach Świętokrzyskich.

W najnowszej powieści Karoliny Wilczyńskiej powracają bohaterki znane z *Zaplątanej miłości*, ale na ich drodze pojawiają się nowe, intrygujące postaci. Co łączy doktor Ewę z babcią Różą? Kto mieszka w tajemniczym dworku? Czy Tamara odnajdzie miłość? Urokliwe Jagodno skrywa wiele rodzinnych sekretów sięgających czasów II wojny światowej...

Marzenia szyte na miarę to porywająca powieść o miłości, trudnych relacjach rodzinnych i próbie przełamania własnych słabości. Każda czytelniczka będzie mogła w niej odnaleźć cząstkę siebie.

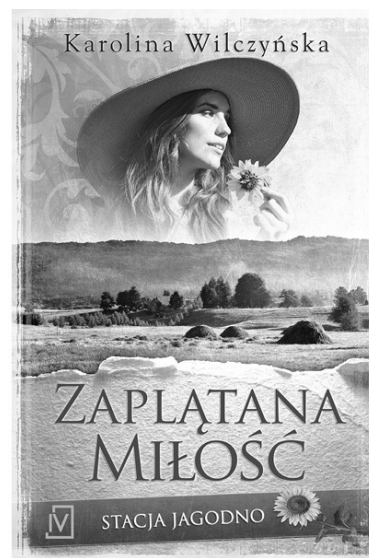


Zatrzymaj się na chwilę w urokliwej miejscowości w Górach Świętokrzyskich. Tutaj czas płynie inaczej.

Od pierwszej do ostatniej strony tę fascynującą powieść czyta się jednym tchem. To przejmująca historia o różnych rodzajach miłości i relacji rodzinnych, przedstawionych w ciekawej, niebanalnej formie. Na pewno każdy odnajdzie w niej odniesienie do własnych przeżyć, wspomnień i emocji.

Laura Łącz

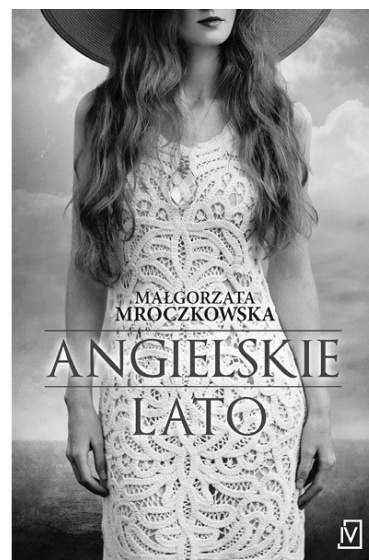
Trzy generacje kobiet i smak konfitur z fiołków, które potrafią osłodzić nawet najbardziej gorzkie życie. Ta książka Karoliny Wilczyńskiej to pełna ciepła opowieść o miłości, szczęściu i poszukiwaniu własnego miejsca na ziemi.



Życie pełne jest niespodziewanych zbiegów okoliczności...

Anna wyjechała z Polski dwadzieścia lat temu. Mieszka w Londynie. Ma męża Anglika, przy boku którego prowadzi spokojne, ustatkowane życie. Pewnego dnia odbiera telefon od dawnej przyjaciółki z Krakowa szukającej wakacyjnej pracy dla swojego syna. Wojtek właśnie dostał się na uniwersytet i chce zarobić na studia. Anna postanawia zatrudnić chłopaka do pomocy w remoncie starego domu odziedziczonego przez jej męża. I choć Wojtek przylatuje do Anglii razem ze swoją dziewczyną, życie napisze dla całej trójki zupełnie inny, zaskakujący scenariusz.

Angielskie lato to przepiękna i wzruszająca opowieść o skrywanych tęsknotach i niespodziankach, które oferuje nam los.



Gdy cichną weselne dzwony, nadchodzi proza życia.

Monika nie wierzy własnemu szczęściu. Wystawny ślub, którego zazdrości jej cała wieś, bogaty i przystojny mąż oraz wspaniałe życie w okazałej willi teściów na warszawskim Żoliborzu. Wielkie miasto otwiera przed dziewczyną nowe możliwości, ale kryje też wiele pokus. Coraz częściej ulega im Robert, który nawet w oczach żony przestaje być księciem z bajki. Młodych łączy jednak marzenie o dziecku. Gdy więc w wigilijny wieczór Monika ujawnia rodzinie wynik testu ciążowego, nic jeszcze nie zapowiada tragedii...

Pozytywka to słodko-gorzka opowieść o marzeniach, które potrafią się spełniać w zaskakujący sposób. O samotności pośród ludzi, którzy nie potrafią ze sobą rozmawiać. Wreszcie o stracie, która wyzwala najgorsze instynkty, ale też wielką siłę.

